

✓ „ORZEŁ BIAŁY”  
(White Eagle)  
(L'Aigle Blanc)

May 1966

Price 3/6

Cena 3/6  
\$ 0.50; 2.50 F.



B.D.I.C

# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca o wolność*

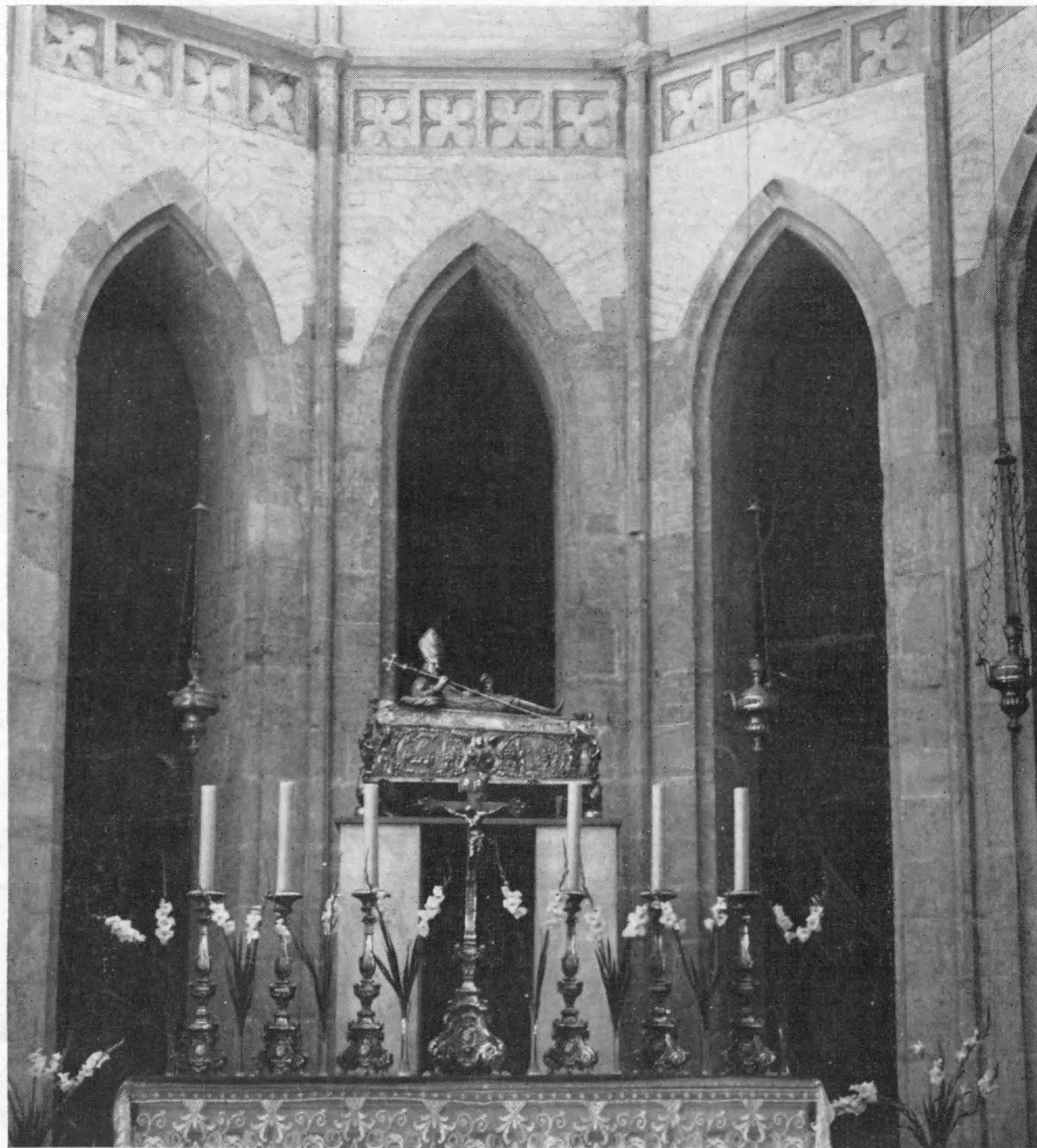
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

SYRENA

M A J

1966

Nr 22/1169



TRUMNA ZE ZWŁOKAMI ŚWIĘTEGO WOJCIECHA  
W KATEDRZE GNIEZNIŃSKIEJ

FP 2156

## LISTY DO REDAKCJI

### WAJDA I RADŁO

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielkim zajęciem przeczytałem artykuł Michała Radły pt. „Spopielić Wajdę za 'Popioly'“. Wyrok może i zasłużony, ale ja nie widziałem filmu. Za to wielokrotnie czytałem „Popioly“. P. Radło film widział, a pisze jakby także czytał „Popioly“. Chyba nie do końca, skoro pisze że u Żeromskiego „Rafał idzie pełen nadziei na Moskwę, a ginie w zaśnieżonych pustkowiach Rosji...“ U Żeromskiego? Ależ on żywego Rafała ukazuje gdzieś w r. 1822 w Wyrwach („Wszystko i nic“), każe mu ginąć w roku 1846 w Stokłosach z rąk rzezuniów Szeli („Turoń“) a jego syna Huberta i jego zgon ukazuje w „Wiernej rzecze“.

Z czego wynika, że film diablo się rozszedł z Żeromskim.

Marian Kukiel

### UMIARKOWANY

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule p. Zbigniewa Grabowskiego pt. „Francja 1966“, zamieszczonym w numerze kwietniowym „Orla Białego“ znalazłem zdanie, które wymaga komentarzy. Brzmi ono: „Niemniej jednak de Gaulle w nowej kadencji nie będzie mógł poczynać sobie tak bezceremonialnie jak w poprzedniej, albowiem wie on dzisiaj, że nie ma za sobą większości społeczeństwa francuskiego“. Zajmę się najpierw drugim, a potem pierwszym członem tego zdania.

De Gaulle uzyskał w wyborach w drugiej turze głosowania 55 procent głosów. Czy to nie jest większość? Przecież Prezydent Kennedy miał mniej niż jeden procent więcej głosów niż Nixon, a żadna partia w W. Brytanii od wojny nie uzyskała ponad 50 procent głosów; nikt jednak nie twierdzi, że Kennedy lub Wilson to byli lub są przedstawiciele mniejszości i nikt im nie odmawiał ani nie odmawia prawa do prowadzenia polityki w imieniu narodu. Gdyby Francja miała amerykański czy angielski system wybierania swoich najwyższych władz, to trzeba by uznać, że wybraniec reprezentuje naród nawet, gdyby miał 50 procent, jak to się w tych systemach zdarza. Dlaczego zaś de Gaulle'owi z 55 procentami głosów odmawiać prawa reprezentowania większości narodu? Dziwna byłaby taka logika.

Myślę, że p. Z. Grabowski, który ma oczywiście pełne prawo do negatywnej oceny polityki de Gaulle'a, ulega emocjonalnej postawie, gdy wbrew oczywistości nie chce się pogodzić z uzyskaniem przez niego większości w wyborach. To prowadzi na manowce w ocenie przyszłości.

Są trzy sposoby dochodzenia do sądów o przyszłości — 1) wyciąganie wniosków ze stwierdzonych faktów i tendencji, co jest metodą ekstrapolacji teraźniejszości w przyszłość; 2) rzucania kostki do losowania, pieniążka (orzec czy reszka) lub wreszcie patrzenia w kryształową kulę; 3) uznanie własnych życzeń za oblicze przyszłości. Jeśli się nie stosuje metody pierwszej, to chcąc nie chcąc, używa się drugiej lub trzeciej. Pan Z. Grabowski w niezgodzie z faktami, uznał, że de Gaulle ma za sobą mniejszość i w ten sposób nie mógł zastosować metody ekstrapolacji i musiał się oprzeć na metodzie, którą wyliczyłem jako trzecią. Ta zaś najczęściej prowadzi do pomyłek. P. Zbigniew Grabowski ocenił, że de Gaulle nie będzie mógł poczynać sobie tak bezceremonialnie jak w poprzedniej kadencji. A jak się stało? W polityce Fran-

cji nie widać zmian. Właśnie w swojej drugiej kadencji przystąpił de Gaulle do konkretnych posunięć w sprawie NATO, o czym tylko mówił poprzednio. Nie wchodzi tu w to, czy jest to polityka dobra czy zła, chodzi mi o fakty. Te zaś wydają się niezaprzeczalne. Przepowiednia p. Grabowskiego zupełnie się nie sprawdza.

Musimy być realistami w polityce, bo przyjmowanie własnych życzeń czy emocji za rzeczywistość prowadzić może tylko i wyłącznie do błędów, a więc do rozczarowań i porażek. Nie ma chyba zagadnienia w polityce międzynarodowej, które by prasa amerykańska i angielska oceniały tak emocjonalnie jak politykę Francji. Doprowadziło to już do szeregu anglosaskich rozczarowań i niepowodzeń. Nie możemy się my, Polacy, poddawać tym nastrojom amerykańskim i angielskim, bo w wielu sprawach polityka gen. de Gaulle'a jest dla nas korzystniejsza niż polityka innych państw Zachodu. Pozwolę sobie wymienić przykładowo uznanie granicy na Odrze i Nysie i sprawę udziału Niemiec w decyzjach atomowych zachodniego sojuszu.

Łączę wyrazy poważania

Zygmunt Stermiński

### TRAFNA OCENA

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Aczkolwiek jestem już dziennikarzem na emeryturze, chwytam za pióro, by powitać artykuł red. Zdzisława Stahla w „Orle“ z marca br. Nareszcie trzeźwy głos emigracyjny na temat posunięć gen. de Gaulle. Ogromna większość opinii polskich, jakie dane mi było usłyszeć, oceniało je jak najbardziej hegatywnie, co wydaje mi się sprzeczne z elementarną logiką.

Zasadniczą treścią wypowiedzi Prezydenta Francji jest:

— Nie chcę mieć na terytorium Francji wojsk i baz obcych, nad którymi Francja nie miałaby żadnej kontroli;

— Nie dam wojsk francuskich pod amerykańskie dowództwo.

No i wrzask: kryminal!

A ciż sami Polacy wyli by z zachwytu, gdyby Gomulka oświadczył:

— Nie chcę wojsk i baz sowieckich w Polsce;

— Nie dam polskich wojsk pod sowieckie dowództwo.

Dlaczego podwójna miara? Dlaczego polskie dążenie do niezależności jest słuszne i dobre, a francuskie — mylne i złe?

Czy nasi Polacy stali się niepostrzeżenie anglosaskimi patriotami czy też uważają, że Polska do samostanowienia dojrzała, zaś Francja jeszcze nie?

Drugi punkt: twierdzą niektórzy, że de Gaulle chce „przysłużyć się“ Sowietom w związku z wizytą, jaką ma złożyć w Moskwie. Nonsense! Czy Kreml poda go swym satelitom jako przykład do naśladowania, czy im powie: bądźcie jak on, nie gódźcie się na żadną obcą kuratelę?

O jakimkolwiek „odwróceniu aliansów“ czy nawet wystąpieniu Francji z Sojuszu Atlantyckiego nie ma mowy. Francja nie chce tylko: a) nie mieć innej obrony, niż amerykańska bomba atomowa, b) być ewentualnie wciągniętą wbrew woli w konflikt, który ją nie obchodzi.

Sądzę, że stosunek de Gaulle'a do Ameryki jest w gruncie rzeczy uczciwszy, niż tych przedstawicieli francuskiej „opozycji“, którzy — jeśli dobrze pomyśleć, wyrażają zdanie, że własna broń atomowa jest bardzo kosztowna, więc lepiej, by (Dok. na przedostatniej stronie okładki)

## W NUMERZE:

- |   |    |
|---|----|
| Światowy Zjazd Wolnych Polaków  | 1  |
| Józef Łobodowski: Na drugie Ty-siąclecie (wiersz)                             | 1  |
| Uroczystość millenijna na White City w Londynie                               | 3  |
| Uroczystości millenijne w Paryżu  | 3  |
| Antoni Czułowski: 20 lat SPK  | 4  |
| Zdzisław Stahl: Francja, Przymie-rze Atlantyckie i koegzystencja z Sowietami  | 6  |
| Tadeusz Podgórski: Związki Zawo-dowe w Polsce pod naciskiem ma-sy robotniczej | 9  |
| W. Opolski: W jakich warunkach kształci się młodzież w Polsce                 | 12 |
| Zdzisław Stahl: Partyjny Kongres bez oczekiwanych sensacji (Sovietica)        | 14 |
| Michał Radło: Polska w dzierzawie „pozytywnych bohaterów“                     | 16 |
| Józef Łobodowski: Epopeja pasją skażona                                       | 17 |
| Zbigniew Grabowski: Historia lite-ratury i jak jej redagować nie należy       | 20 |
| Marian Czarnecki: Dzieje korespon-dencji Paryża z Waszyngtonem                | 22 |
| P. H.: Dwie katedry — Gniezno i Poznań  | 24 |
| Jan Claude: EIGER — Tragiczna pokusa i drogo okupione zwy-cięstwo             | 26 |
| W. Lewandowski: Złoto   | 28 |
| Dr Michał: Gawęda lekarska — Kamica nerkowa                                   | 29 |
| Wojciech Stefański: „Pop - Art“   | 30 |
| T. P.: Ludzie emigracji — Pani Anna maluje                                    | 32 |
| Paweł Hęciak: Kto będzie piłkar-skim mistrzem świata?                         | 33 |
| Jan Ostrowski: Życie kulturalne polskiego Londynu                             | 34 |
| Paweł Hęciak: Pod własnym da-chem — Klub Młodzieży Polskiej w Londynie        | 37 |
| M. F.: 15-lecie Związku Polskich Ziem Zachodnich                              | 38 |
| S. Wóycicki: Evelyn Waugh — gorzki humorysta                                  | 39 |
| Stanisław Błaszczak: I cud się stał... 40                                     |    |
| Tamara Karen: „Pierwiastek z mi-nus jeden“                                    | 41 |
| Paula Powileńska: „Mrs. Midnight“ — opowiadanie                               | 42 |
| Uczczenie zasłużonego pracownika  | 47 |
| Dopiął swego — ma dużą fabrykę  | 47 |
| Listy do redakcji — Krzyżówka — Fraszki                                       |    |

# ŚWIATOWY ZJAZD WOLNYCH POLAKÓW

W DNIACH od 19 do 21 maja br. odbędzie się w Londynie jedna z największych i najdonioślejszych w sensie politycznym manifestacji. Wielkość i znaczenie tej manifestacji nie będzie polegała na liczbie uczestników, bo nie to jest najważniejsze, a na jej reprezentatywności. Zjadą się bowiem w tych kilku dniach do Londynu czołowi przedstawiciele życia politycznego i społecznego z różnych krajów polskiego osiedlenia na Zachodzie, by na wspólnych obradach w tym stosunkowo krótkim czasie przedyskutować i razem zastanowić się nad rolą emigracji, by w szczerej i otwartej dyskusji ustalić zasady dalszej walki o odzyskanie niepodległości.

Spotkają się więc Polacy z wielu krajów, częstokroć po raz pierwszy a nieraz po długiej rozłące w wyniku osiedlenia się w różnych krajach. Istnieje przeto choćby i dlatego właśnie konieczna potrzeba dokonania rewizji nieco przestarzałych już poglądów i ocen, gdyż od czasu zakończenia drugiej wojny światowej wiele się na tym świecie zmieniło. Nie zmieniła się tylko jedna rzecz: nie zakończyły się obowiązki emigracji, bo zakończyć nie mogły, gdyż Kraj znajduje się nadal pod jarzmem komunistycznym, gdyż Krajem rządzą nadal narzucony przez Moskwę — w wyniku haniebnych układów jałtańskich i teherańskich — system, z którym nigdy żaden wolny Polak się nie zgodzi i zgodzić się nie może. Uprzymiennie sobie raz jeszcze tego naczelnego zadania: walki o odzyskanie wolności i niepodległości, zadania od wypełnienia którego nikt nas zwolnić nie może, jest z pewnością główną intencją Światowego Zjazdu Polski Walczącej, zwołanego i zorganizowanego przez Egzekutywę Zjednoczenia Narodowego. Tej naczelnej myśli podporządkowane są wszystkie inne zadania i problemy, które rozważyć zamierza Zjazd.

Dlatego w tych kilku dniach, w których obradować będzie w Londynie wielu Polaków, których witamy całym sercem i z największą życzliwością, rodacy nasi, rozsiani po wszem świecie, kierować będą swe u-

B.D.I.C



# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM  
WSPÓŁCZESNYM

Nr 22/1169

MAJ 1966

Rok XXVI

JÓZEF ŁOBODOWSKI

## NA DRUGIE TYSIĄCLECIE

I.

*Noc przystaje znużona, a dęby jej szumią: — Odpocznij!  
Pochylałaś się rankiem nad radością niewczesnych kotysek,  
potykałaś się zmierzchem na progach pogrzebów i rocznic,  
gwiazdy łez księżycowi krwawemu strącając na misę.*

*I płonącej miedzi alarmem chlustałaś ku dzwonom,  
zaciosując blizny na krzyż na bierwion rwących się ścięgnach;  
gdy krzyczałaś, to kneblem popiołu kertań ci dławiono,  
z ziemi ogniem zoranej zatruta mgła się wylęgła.*

*Widzisz? Znowu zasiałi twe pola piotunem i siarką.  
Słyszysz? Znowu twe wierzby niby wiedźmy w splątanych kudkach.  
Otworzyły się karczmy przydrożne pijanym szynkarkom:  
miód szalejem nasycać i blekot wylewać do źródła.*

*Miałaś być tym strumieniem, co śpiących po pracy orzeźwia,  
miałaś być jak gwiazdzista rannych obłoków zapowiedź.  
Jeśli noc jest melodią, dzień wypukły staje jak rzeźba,  
pełna lwów, którym grzywy  
zaczynają pod słońcem już ptowieć.*

*Siedzisz — stopy zbolale kąpiesz w popiołach i żuźlach,  
wiatr waruje u nóg, wierny pies, od szczekania ochrypty;  
tylko księżyc pod ręką, zastuchany i czujny jak muszla,  
co się z burzy poczęła i czeka stęskniona na przyptyw.*

II.

*Jeszcze krew nie ostygła na krzemiennym nożu,  
jeszcze Scytów zagony ku wiljom, ku ikwom,  
a już ręka anielska  
na piersiach ściągnęła mu kozuch,  
abyś piersi złocistą ostonił relikwią.*

*Już się teraz ta pierś na szarugach nie podrze,  
idzie wieść bardzo prosta  
do Pomorców, Kaszubów, do Prusów —  
to ramiona rozpostarł  
świętokrzyski żywiczny modrzew  
i obłoki wiosenne na płat święconego obrusu.*

czucia w stronę Tamizy i oczekiwać przyjęcia nie tylko różnych i na pewno doskonale przemyślanych uchwał, ale i wskazówek: jak kontynuować tę walkę, jak przyspieszyć odzyskanie niepodległości, jakimi środkami dążyć do wspólnego celu. To zagadnienie, ujęte w specjalnym referacie politycznym pod tytułem: *stan sprawy polskiej w świecie* — dominować będzie nad całym Zjazdem. Znalezienie właściwej odpowiedzi i ustalenie wspólnego programu działania będzie zasadniczym osiągnięciem Zjazdu, tak starannie i od wielu miesięcy przygotowywanego przez Egzekutywę Zjednoczenia Narodowego i Radę Jedności Narodowej.

Problemem drugim — co wcale nie znaczy mniej ważnym — będzie właściwa ocena sytuacji w Kraju. Dokonanie takiej oceny jest tym pilniejsze właśnie dziś, gdy reżym wypowiedział otwartą a skazaną na przegranie walkę Kościołowi katolickiemu, którego żywym symbolem jest Prymas Polski i skupiony dokoła Jego dostojnej osoby cały Episkopat, duchowieństwo świeckie i zakonne, wszyscy wierni. Śledzimy tę walkę z największym wzruszeniem i kurczą się nam serca wobec niewybrednych, łajdackich i podłych chwytów oraz ataków kierowanych z całą premedytacją w stronę osoby ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego. Bądźmy spokojni: w tych właśnie dniach naród polski na wielkich uroczystościach w Gnieźnie czy w Poznaniu, w Warszawie czy w Krakowie jawnie, odważnie a jednocześnie z największą godnością udzielił władcom komunistycznym odpowiedzi. A odpowiedź jest tylko jedna: bronić będziemy Kościoła, bronić będziemy kultury chrześcijańskiej i cywilizacji zachodniej, którą przed tysiącem lat ze chrztem Mieszka I nie kto inny tylko właśnie Kościół wniósł w darze przez swoich wybrańców nad Wisłę czy Wartę.

Na podstawie wiadomości, które doszły do nas w tych ciężkich dniach z Kraju, stwierdzić możemy: Millennium Polski Chrześcijańskiej jest jednocześnie klęską reżymu komunistycznego. I dlatego nie będziemy się dziwić, jeśli inne ważne zagadnienia kulturalne, społeczne czy gospodarcze zejną na nieco boczny tor, bo — tak się właśnie złożyło — Millennium będzie dominować ponad wszystko. Dobrze się przeto stało, że Zjazd Polski Walczącej odbywa się właśnie w tych

*Bija młoty kamienne i w męce wykuwa się naród,  
już odmienił się, przeniósł  
ku italskim, helleńskim siostrom,  
a pierścienie i koła zausznic z balttyckiego jantaru  
sieć rzymskiego rybaka wylawia w zdumieniu  
u skał Mare Nostrum.*

*Coraz chmurniej i wietrzniej,  
coraz burzą wschód tysiackonną,  
tyś się upart  
gdzie twój hart, duma, wierność i czułość —  
na rozstajach się trzymasz  
i oczy bizantyńskim Madonnom,  
by im było od burzy bezpieczniej  
łacińską przykrywasz kopułą.*

*Wyje mrok wilczym głosem, mordą naśmiewa się lisią,  
wydziwiają widziadła:*

*— Kto im stawać śmie na zawadzie?*

*Kto oderwać się nie chce od kosy wyszczerbionej i radła,  
że być wiernym zaprzysiągł  
nawet własnym wrogom i zdradzie!*

### III.

*Nie otworzyliśmy drzwi naszego domu na oścież,  
nie zastawialiśmy stołów przybranych suto.  
Przed bramą głucho zawartą zostali goście,  
gdy zmroczył się  
dzień świąteczny niedokończoną pokutą.*

*Zbrojny żołdak okuty skobel z hukiem zatrzasnął,  
octem i żółcią namaścił szydercze słowa.  
Ale przez czarny częstokół szła sześcioskrzydła jasność,  
palce tężowe kładąc na postny korowaj.*

dniach. Nie mogło być lepszego terminu, i nie będzie lepszej okazji by dać właściwą odpowiedź komunistom, i nie ma lepszej chwili by połączyć się duchowo z całym Krajem w tych nie najłatwiejszych dla niego dniach.

W takiej sytuacji narzuca się pytanie, które wszyscy postawić sobie musimy: *a jakie będą od tej chwili zadania emigracji?* Nie mamy żadnej wątpliwości: są one w zasadzie te same jak od chwili wybuchu drugiej wojny światowej, są one takie same jak po zakończeniu tej wojny i będą one jeszcze długo takie same.

Obok czynnika politycznego wielką rolę ma do spełnienia polskie życie społeczne, te niezliczone organizacje kombatanckie, naukowe, religijne i społeczne w najszerszym tego słowa znaczeniu. Jak to już wielokrotnie podkreślano: mają one być zapleczem życia politycznego, bo w tych organizacjach ma płonąć duch polski najjaśniejszym blaskiem.

Zjazd organizuje w pierwszym rzę-

dzie pokolenie starsze, które nigdy nie zrzekło się swoich ideałów. Lecz w Zjeździe weźmie także udział pokolenie młodsze i dlatego dobrze się stało, iż powołana została do życia komisja dla spraw młodzieży, bo któż jak nie pokolenie młodsze ma przejąć pochodnię narodową z rąk pokolenia starszego! Jakie mają być obowiązki tego pokolenia młodszego i co jemu należy dać by tę pochodnię mogło wysooko dźwierżyć — to także ważne zadanie, na które Zjazd będzie musiał odpowiedzieć. Nie wystarcza bowiem otoczyć opieką organizacje i wszelkiego rodzaju szkoły, w których wychowuje się młodzież. Zadanie jest znacznie szersze: tę młodzież należy tak mocno związać z tym wszystkim co jest polskie, tej młodzieży należy dziś, *natychmiast* otworzyć podwoje do całego polskiego życia politycznego i społecznego by dzielić z nią wspólnie odpowiedzialność za walkę o odzyskanie niepodległości. Każda zwłoka, każde

Gdy głupcy w bębny grzmocić i w rogi dąć zaczęli,  
nie wiedząc, że pyszny wrzask ku rychłej zbliża ich zgub,  
przy stole ubogim siedli wędrowni anieli —  
odnowił się obrzęd  
przedwiecznych z niebem zaślubin.



Uwolni się z więzów mroku tęczowych skrzydeł pożoga,  
pióra płonące gwiazd nad ziemią rozsypie  
i runie strzaskany balwan na głowy pogan,  
tyjących i uczujących na własnej stypie.

#### IV.

Lata idące w stulonych dłoniach kotyszac,  
wpatrzeni pilnie, w słuch zamienieni i dotyk,  
potysiąckroć wspominały narodzin tysięcy  
i tysiąckrotnie z śmiertelnej ziemi odloty.

Z dniem każda noc i z nocą dzień się zazębia,  
za rokiem rok rosnący ciężar podaje.  
Płyną skutny ładowne i ciężko oddycha głębia,  
kiedy przychylne wiosta wspierają się wzajem.

Ziemia już drży, odwieczny rytm się odzywa,  
wstaje muzyka gniewna z puzonów, trąb i fletni...  
Widzicie te ognie we mgle?

To nasz wojenny biwak,  
z którego wyruszymy w następny marsz tysiącletni!

Wierności, matko mężnych! Radości, córko bogów!  
W pochodzie zechcicie nam towarzyszyć najbliżej!  
I oglądamy się wstecz i przystajemy na progu,  
czoła i usta  
żegnając Mieczem i Krzyżem.

Józef Łobodowski

wahanie, każda małość może tu przynieść największe szkody.

Jeśli te wszystkie wyżej naszkicowane problemy — a zdajemy sobie sprawę, że tych problemów jest znacznie więcej — znajdują należyte echo na Zjeździe Polski Walczącej, jeśli tam — podkreślamy — zostaną z całą powagą i z największym poczuciem odpowiedzialności należycie ustawione, to wówczas — nie wątpimy — Światowy Zjazd Polski Walczącej spełni swoje zadanie i nie zawiedzie tych nadziei, jakie z nim wiąże polska emigracja polityczna. A dla Kraju zaś stanowić będzie krzepiące źródło wiary i nadziei, że w walce jaką od lat naród polski prowadzi — nie został przez nas opuszczony, że jesteśmy z nim razem tak — jak nie mamy żadnej wątpliwości, że naród jest z nami także!

\* \* \*

Prezydium Komitetu Honorowego Zjazdu stanowią: gen. Kazimierz Sosnkowski, gen. Władysław Anders, gen.

Tadeusz Bór-Komorowski, amb. Edward Raczyński, dr Tadeusz Bielecki i prezes Adam Ciołkosz.

Poza tym do Komitetu Honorowego wchodzi delegaci z wielu krajów europejskich i zamorskich oraz delegaci wybrani przez Radę Jedności Narodowej, Radę Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, Komisje Okręgowe w Anglii, Walii i Szkocji oraz delegaci organizacji społecznych o zasięgu światowym.

Otwarcie Zjazdu nastąpi w czwartek 19 maja o godz. 10-tej, i będzie miało charakter publiczny. Na wstępie Zjazdu powita Rada Trzech, po czym dokonany będzie wybór przewodniczącego i prezydium, z kolei prezes dr T. Bielecki wygłosi przemówienie oraz jeden z delegatów zamorskich. W drugiej części wygłoszone będą 4 zasadnicze referaty, po których odpowiednie projekty wniosków przekazane zostaną do ostatecznego opracowania 4 komisjom. Wnioski przedyskutowane i przyjęte będą na dwóch posiedzeniach plenarnych. W drugim dniu Zjazdu odprawiona będzie Msza św. na intencję Polski przez ks. biskupa

dr. W. Rubina. Zjazd zamknięty zostanie w sobotę dnia 21 maja, przy czym zamknięcie Zjazdu będzie także publiczne i uroczyste. Zakończy je podsumowanie obrad przez Przewodniczącego Zjazdu.

#### UROCZYSTOŚĆ NA WHITE CITY W LONDYNIE

Polacy w Kraju i na emigracji przygotowywali się od dawna do godnego uczczenia tysiąclecia chrześcijaństwa. Nie szczędzili wysiłków, aby obchody tej wielkiej rocznicy, zakrojone na ogromną miarę, przemówiły do wyobraźni ludzi i skupiły na Polsce uwagę świata.

Niestety narzucony Polsce reżym, obcy duchowi narodu i jego tradycji dziejowej, stara się przyćmić w Kraju blask chrześcijańskiego Millennium. Małoduszna i krótkowzroczna polityka reżymu uniemożliwiła Papieżowi Pawłowi VI i najwyższemu dostojnikowi kościelnemu wzięcia udziału w głównym obchodzie religijnym w Częstochowie. Po wiekach twórczej współpracy przy budowie wspólnej cywilizacji Polska została odgradzona od Zachodu murem zakazów policyjnych.

Powaga chwili i poczucie odpowiedzialności nakładają na nas tym większe obowiązki. Winniśmy zaznaczyć w wolnym świecie obecność Polski, która niczego się nie wyrzekła: Boga ani wiary, swego dziedzictwa ani swoich praw. W W. Brytanii uczynimy to na uroczystym obchodzie na stadionie w White City w Londynie, w niedzielę 22 maja. Po Mszy św. celebrowanej przez ks. Biskupa Rubina, zobaczymy piękne widowisko historyczne, które ukaże w szeregach obrazów pochod dziejowy Polski.

W dniu wielkiej rocznicy, kiedy tak żywo uderzą polskie serca, niech nikt nie zabraknie na tym obchodzie, który będzie manifestacją naszej siły, powagi i wierności Polsce. Gorąco wzywamy wszystkich Polaków w W. Brytanii do najliczniejszego udziału.

Komitet Tysiąclecia  
Polski Chrześcijańskiej

#### UROCZYSTOŚCI MILENIJNE W PARYŻU

Staraniem Komitetu Tysiąclecia Polskiej Chrześcijańskiej odbyły się w Paryżu w dniu 8 maja br. wielkie uroczystości. Komitetowi przewodniczył ks. inf. K. Kwaśny, Rektor Polskiej Misji Katolickiej we Francji, a w skład Komitetu wchodził m.in. następujący członko-

wie władz SPK: prezes M. Czarnecki, wice-prezes dr S. Paczyński, sekretarz generalny S. Domański i dr Cz. Chowaniec.

Zgodnie z programem odprawiona została w katedrze Notre-Dame de Paris Msza św., a po Mszy św. złożenie wieńców u stóp pomnika Adama Mickiewicza na Placu De L'Alma.

W godzinach popołudniowych odbyła się w sali Pleyel wielka akademicka na której przemawiali: ks. inf. K. Kwasiński, ks. biskup dr W. Rubin, red. W. Nowosad i min. R. Triboulet. Na program składała się także bogata część artystyczna w której wystąpili: Weronika Bell, J. Gajek, chór chłopców z internatu św. Kazimierza de Vaudricourt, a tańce ludowe wykonał zespół polskiej młodzieży katolickiej z Paryża.

Szczegółowe sprawozdanie z tych uroczystości podamy w następnym numerze „Orla Białego“.

**D**OPRAWDY, zgoła niezwykłą operę historyczną w wymiarach naszej rzeczywistości otrzyma VIII Światowy Zjazd Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, którego obrady toczyć się będą w Londynie w okresie od 20 do 24 maja.

Z jednej strony będzie to nastrój odświeżony wielkiej, tysiącletniej rocznicy Polski chrześcijańskiej, nastrój udziałający się całemu społeczeństwu i sięgający w głąb dusz polskich jedynym w swoim rodzaju splotem myśli i uczuć rozpiętych pomiędzy przeszłością i teraźniejszością, pogrążonych w dociekanu istoty i sedna bytu narodowego, odnawiających przemyśle „między dawnymi a młodszymi laty“.

Zarazem tak się złożyło, że w tym wielkim oceanie czasu, jakim jest tysiąclecie, mieści się inna rocznica: jest nią dwudziestolecie naszego Stowarzyszenia. Można przypuszczać, że w atmo-

ANTONI CZUŁOWSKI

## 20 LAT

sferze millenijnego świętowania data ta w świadomości ogółu polskiego przemienie bez echa. Będą o niej pamiętać może tylko ci, dziś już mniej liczni, z których natchnienia i bezpośredniego wysiłku organizacja kombatancka została powołana do życia. Tym więcej warto może i trzeba, aby pozostał, choćby skromny ślad tej rocznicy utrwalony w słowie pisany z myślą o tych, którzy kiedyś trudzić się będą kreśleniem historii społecznej naszej emigracji.

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów powstało w maju 1946, w rok po zakończeniu drugiej wojny światowej. Słusznie powiedziano, że wypadki, które poprzedziły tę pamiętną datę w historii Stowarzyszenia, a zarazem przyczyniły się do jego narodzin, zawarły się w jednym z najtrudniejszych i najokrutniejszych okresów, jakie mogą przeżyć pojedynczy człowiek i zbiorowość ludzka. Zwycięski żołnierz polski w nagrodę zato, że był „natchnieniem świata“ został oszukany i zdradzony przez swych wczorajszych przyjaciół i niedawnych towarzyszy broni. Owocem jego zwycięstwa w dopiero co zakończonej wojnie było uczucie zawodu, rozterka i niepewność jutra.

W takim to klimacie psychicznym tworzyły się zręby nowego Stowarzyszenia kombatanckiego. Było rzeczą oczywistą, że u podstaw dążeń w tym kierunku tkwiła wola samoobrony żołnierza polskiego przed światem zewnętrznym, który w tym momencie był dla niego zimny, obcy i niechętny. Jednocześnie twórcom SPK przyswiecała nadzieja, że w ramach organizacji cywilnej będzie można nadal pracować nad ziszczeniem się dnia nieklamanej wolności kraju rodzinnego. Zarówno jedna jak i druga tendencja wycisnęły silne piętno na późniejszej działalności SPK.

Od pierwszych bowiem dni istnienia po chwilę obecną dewizą jego była służba ojczyźnie i pomoc polskiemu uchodźcy w obcym świecie. Nie więc dziwnego, że należenie do takiej organizacji wielu odczuwało jako nakaz serca i umysłu. Stąd też od samego początku SPK miało charakter organizacji masowej.

Zaczątkiem ruchu kombatanckiego była Wielka Brytania, w której po wojnie znalazła schronienie olbrzymia większość oddziałów wojska polskiego walczącego u boku aliantów. W okresie wczesnych lat powojennych życie polskie na uchodźctwie dalekie było od stabilizacji. Wysiłki łączenia rodzin, ruchy emigracyjne w różne światła części, sposobienie się do nowych zawodów

G. Tysowski, M. Piekarczyk, T. Dąbrowski, J. Dudziński, J. Kazimierski, J. Trytko, inż. E. Tuszewski, S. Wisłocki.

Z ramienia Zarządu Federacji i Spółki PCA Ltd.: — gen. K. Ziemiński, S. Wasik, H. Zabielski, S. Soboniewski, A. Pomian-Izdebski, Z. Kołodziejski, O. Marcinek, A. Treszka, S. Kaczmarczyk, S. Brewka.

Zjazd poprzedzi uroczysta Msza św., celebrowana przez ks. biskupa Władysława Rubina, w sobotę 21 maja, o godzinie 9-tej, w kościele św. Andrzeja Boboli.

W przededniu Zjazdu w piątek dnia 20 maja odbędzie się zebranie Rady Głównej Stowarzyszenia, na którym zgodnie ze statutem będzie przyjęte sprawozdanie Zarządu Federacji oraz powzięta uchwała o absolutorium dla Zarządu.

Uroczyste otwarcie Zjazdu nastąpi w sobotę 21 maja w sali „Ogniska Polskiego“. Wezmą w nim udział przedstawiciele władz politycznych, organizacji społecznych oraz szereg b. wyższych dowódców wojskowych.

Bezpośrednio po Zjeździe, 24 maja zbierze się ponownie Rada Główna celem uchwalenia budżetu oraz wyboru Zarządu Federacji na nową kadencję.

W wigilię Zjazdu 20 maja w godzinach wieczornych władze Federacji będą podejmować zaproszonych gości oraz delegatów lampką wina w salach Instytutu im. gen. Sikorskiego. Przewidziany jest również dla uczestników Zjazdu obiad koleżeński, w poniedziałek 23 maja.

W niedzielę, 22 maja wszyscy delegaci VII Zjazdu będą uczestniczyć w uroczystym obchodzie Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej.

### PREZYDIUM RADY GŁÓWNEJ I ZARZĄD FEDERACJI WITAJĄ SERDECZNIE DELEGATÓW NA VIII ŚWIATOWY ZJAZD SPK, KTÓRY BĘDZIE OBRADOWAĆ OD 20 DO 24 MAJA, 1966 R. W LONDYNIE

W VIII Światowym Zjeździe SPK wezmą udział delegaci 17 krajów:

Afryka Południowa — inż. T. Krzyżanowski, Argentyna i Brazylia — Z. Kulpiński, Austria — A. J. Chilecki, J. Kamiński, Australia — J. Dąb-Dworski, Belgia — W. Drozdowski, S. Merło, Francja — M. Czarnecki, A. Baranowski, dr S. Paczyński, K. Szabelski, Hiszpania — prof. dr A. Deryng, Holandia — inż. J. Minkiewicz, red. S. Strenk, Italia — W. Zahorski, J. Hawran, R. Szenwic, Kanada — A. Sas-Korczyński, dr T. Krychowski, inż. Błaszczak, Niemcy — S. Sochanik, W. Broniówj-Orliński, Norwegia — J. Mościński, Stany Zjednoczone — inż. S. Gierat, E. Kleszczyński, A. Klimek, W. Stępień, Szwajcaria — S. Karolus, gen. Scaewola-Wieczorkiewicz, Szwecja — inż. T. Paszkot, Z. Malik, W. Brytania — M. Brodziński, S. Brewka, W. Chodorowski, T. Krasoń, S. Kaczmarczyk, W. Kipp, dr S. Mglej, S. Soboniewski, Z. Szadkowski, J. Śniechowski, J. Wawrzekiewicz, S. Wasik, S. Wisłocki, inż. J. Żaba.

Z ramienia Prezydium Rady Głównej: Z. Szadkowski, inż. J. Żaba, Cz. Czaplinski, S. Lewicki, dr S. Benedykt, M. Chmielewski, dr K. Dłużniewski, J. Garliński, P. Heciak, K. Sabbat, M. Brodziński.

Z ramienia Gł. Komisji Rewizyjnej:

# S. P. K.

w wypadkach gdy nie można było znaleźć pracy we własnym fachu, pokonywanie trudności językowych — to tylko część obrazu ówczesnej sytuacji. Pamiętać bowiem należy, iż cały świat wtedy dźwigał się nie bez trudu ze wstrząsu, jaki mu zadała wojna i że wiele krajów przeżywało silne kryzysy gospodarcze, odczuwało dotkliwie ograniczenia różnej natury, jak mieszkaniowe, żywnościowe itp.

Mimo tych niesprzyjających warunków, tętno życia społecznego w Stowarzyszeniu od początku pulsowało żywym rytmem. W latach 1946 do 1950 następuje szybki rozrost terytorialny SPK, którego oddziały powstają we wszystkich krajach europejskich, w Afryce, w obu Amerykach, w Australii i Nowej Zelandii. Dziś Stowarzyszenie posiada swoje ogniwa w 22 krajach. W r. 1959 SPK z organizacji kierowanej centralnie przekształciło się w federację związków krajowych. Liczba członków utrzymuje się obecnie w granicach 20 tysięcy.

Rozwojowi organizacyjnemu towarzyszyła jednocześnie potęgująca się działalność społeczna. Kilkadziesiąt domów kombatanckich w różnych krajach stało się nieocenioną przystanią polskości. W nich zaczęli się gromadzić członkowie i ludzie spoza Stowarzyszenia, w nich znalazły się szkoły, biblioteki, teatry, kluby, w nich uzyskały gościnę inne organizacje.

20 lat służby społecznej i narodowej Stowarzyszenia nagromadziło dorobek, który kiedyś będzie sprawiedliwie oceniony. Spróbujmy ogarnąć choćby pobieżnym spojrzeniem ten okres, spróbujmy odnaleźć główny nurt, który złożył trwałą ślad pracy tej największej organizacji powojennego uchodźstwa polskiego.

Przede wszystkim trzeba przypomnieć, że SPK od samego początku miało i po dzień dzisiejszy zachowało zdecydowane oblicze ideowe. Przyjęło ono za swój podstawowy obowiązek przypomnianie światu, że Polska nie cieszy się swobodą i wolnością dobrowolnie obranego ustroju demokratycznego. W oczach reżymu warszawskiego ten rodzaj działania, oczywiście, jest największym grzechem SPK.

Stowarzyszenie odegrało ogromną rolę w ożywieniu tzw. starej emigracji. Ta ostatnia, jakkolwiek sięgająca wymownych rozmiarów liczbowych, nie posiadała w swym łonie dostatecznej ilości elementu kulturalnego i dynamicznego, toteż szła raczej w ogonie innych grup narodowościowych, dźwigając się z tru-

dem na wyższe szczeble życiowe. Zastrzyk jaki otrzymała od nowej fali uchodźczej, a szczególnie działał tu przykład SPK, miał, niewątpliwie, dobroczynne skutki. Poza innymi następstwami wpłynęło to na częściowe odrodzenie świadomości narodowej dawniejszego żywiołu emigracyjnego.

Groźba utraty świadomości narodowej dotyka w pierwszym rzędzie działwę i młodzież. Dostrzegając to zjawisko w całej ostrości, Stowarzyszenie od lat bierze bardzo żywy udział w organizowaniu nauki przedmiotów ojczyźtych. Jest ono pośrednio lub bezpośrednio zaangażowane w prowadzeniu około 100 ośrodków nauczania. W samej W. Brytanii SPK ma ponad 50 szkółek. Kilka tysięcy młodzieży korzysta z opieki jego w uprawianiu sportu. Taniec, teatr i chór również skupiają w ramach SPK spory odsetek młodszej generacji Polaków.

Od pierwszych chwil swego istnienia Stowarzyszenie wkroczyło pełną parą w orbitę naszego życia zbiorowego na uchodźstwie i nie zwolniło kroku po dzień dzisiejszy. Jest ono w dużej mierze inicjatorem wielkich akcyj charakteru ogólnopolskiego, zasila swymi ludź-

mi różne komitety międzyorganizacyjne, wspiera pomocą materialną szereg innych instytucji i organizacji, a w wielu krajach reprezentuje społeczeństwo polskie na zewnątrz.

Jest ono najliczniejszą i najbardziej dynamiczną organizacją świadomego uchodźstwa, stanowi zwartą, przepojoną duchem wspólnoty siłę społeczno-ideową. Bez SPK polskie życie zbiorowe poza Krajem miałoby mniej dynamizmu, mniej rumieńców, mniej osiągnięć. Członkowie Stowarzyszenia, ci wszyscy, którzy dorzucili jakąś cegiełkę do jego pięknego dorobku, mają uzasadniony tytuł do zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku.

Jubileusz z reguły jest okazją do rozrachunku z przeszłością. W wypadku jednak SPK również nie powinien być wolny od myśli o przyszłości. Dwudziestolecie to zamyka bezpowrotnie długi okres historii Stowarzyszenia, a jednocześnie odsłania perspektywę na przyszłość. Pokolenie, które dało początek Stowarzyszeniu zbliża się z wolna do kresu swych sił żywotnych i zdradza naturalną skłonność do dobrze zasłużonego spoczynku. Stowarzyszenie zaś musi w dalszym ciągu objawiać przeż-



## BAZYLIKI POZNANIA I GNIEZNA

Polska YMCA w Londynie urządziła w kwietniu i maju br. z okazji Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej wielką wystawę fotograficzną dwóch fotografów z Poznania: Władysława Ruta i Feliksa Sikorskiego. O wystawie tej poświęconej bazylikom Poznania i Gniezna, piszemy obszerniej na str. 24 i 25 „Orla Białego“.

Z wystawy tej reprodukuje trzy większe zdjęcia: z lewej — płyta nagrobkowa pierwszego biskupa poznańskiego Jordana (968—982) — zdjęcie inż. Feliksa Sikorskiego.

Z prawej — dzisiejsi gospodarze bazyliki poznańskiej: Prymas Polski ks. kardynał Stefan Wyszyński w asyście ks. arcyb. Antoniego Baraniaka i w otoczeniu grona dziewcząt poznańskich w czasie uroczystości poświęcenia i odsłonięcia pomników śp. ks. kardynała A. Hłonda — Prymasa Polski przed wojną i w czasie ostatniej wojny, śp. ks. arcybiskupa Walerego Dymka i księży pomordowanych w obozach koncentracyjnych. Uroczystość odbyła się w dniu 23 kwietnia 1964 r. Zdjęcie Władysława Ruta.

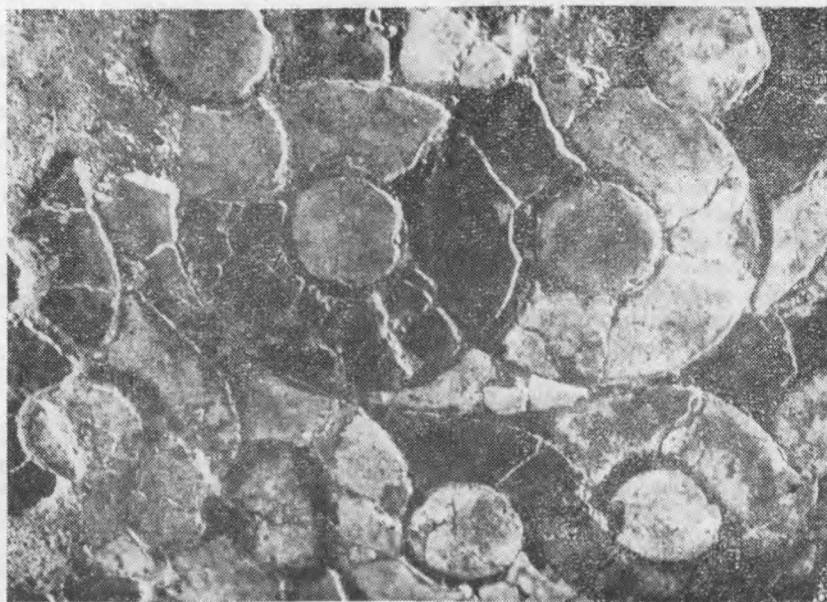
Zdjęcie u dołu przedstawia fragment mozaiki z X wieku z podziemi bazyliki gnieźnieńskiej. Mozaika jest pozostałością z romańskiej katedry Mieszka I. Zdjęcie Władysława Ruta.



### 20 LAT SPK (Dokończenie)

ność i energię na miarę wymogów naszego życia zbiorowego, innymi słowy, musi rozglądać się za nowym rezerwuarem ludzkim, sięgać do świeżych kadr działaczy, jeśli chce uniknąć zmierzchu, jeśli ma wolę przedłużenia swej egzystencji na dalszy okres. Niełatwa to rzecz znaleźć takich spadkobierców, którzy nie zmarnują dorobku, a wręcz przeciwnie pomnożą go i udoskonalą. W dniu jubileuszowym SPK należy w pierwszym rzędzie życzyć mu, aby los łaskawy pozwolił mu nadal kontynuować, chwalebna pracę społeczną zgodnie z dotychczasową dwudziestoletnią tradycją i z myślą o przybliżeniu dnia wolności.

A. Czuliński







## PRZEGLĄD POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

# FRANCJA, PRZYMIERZE ATLANTYCKIE I KOEKZYSTENCJA Z SOWIETAMI

**P**ISZE się często o wystąpieniu Francji z Przymierza Atlantyckiego, ale określenie to nie jest ściśle i idzie zbyt daleko. Francja wypowiedziała organizację wojskową tego Przymierza, podkreślając zarazem wyraźnie, że sam Traktat Przymierza, zawarty w roku 1949 w Waszyngtonie uważa dalej za obowiązujący. Stwierdzenia tego stanowiska padły ze strony najbardziej autorytatywnej, mianowicie prezydenta Francji, de Gaulle'a i ostatnio ze strony premiera Pompidou podczas parlamentarnej debaty nad tą sprawą. Rozróżnienie to należy tym bardziej podkreślić, że prasa anglo-amerykańska w swojej kampanii przeciw polityce francuskiej de Gaulle'a dopuszcza się tej nieściśłości i rozszerzającej wykładni kroku Francji, aby mobilizować niechęć narodów europejskich do tego kraju.

Wypowiedzenie przez Francję organizacji wojskowej Przymierza Atlantyckiego czyli NATO — według skrótu

prasy anglo-amerykańskiej i OTAN'u, według nomenklatury francuskiej — ma obowiązywać od 1 lipca 1966 i w związku z tym rząd paryski skierował szereg not do partnerów tej organizacji wojskowej, określając terminy dostosowania się przez nich do nowej sytuacji. Zmiana będzie polegała przede wszystkim na tym, że Francja opuszcza dotychczasową „zintegrowaną”, czyli pozostającą pod jednym dowództwem Organizację Traktatu Półn. Atlantyckiego (NATO), a gotowa jest — jako członek Przymierza Atlantyckiego w dalszym ciągu — zawierać z wszystkimi partnerami, głównie więc ze Stanami Zjednoczonymi, Niemcami Zachodnimi i W. Brytanią, układy dwustronne. Układy, które określą jej współdziałanie wojskowe w stosunku i na wypadek zagrożenia ze strony ewent. agresora czyli Rosji Sowieckiej.

## PESYMIŚCI NIE MAJĄ RACJI

Pesymiści głoszą, jakoby krok jej prowadził do rozbicia jedności Zachodu i musiał istotnie osłabić obronność zachodniej Europy, za co krytykują wyłącznie Francję. To nie wydaje mi się słuszne. Przede wszystkim, jak sądzię, prezydentowi Francji bynajmniej o to nie chodzi i przypisywanie mu tego rodzaju intencji włącznie z neutralizmem, nie jest ani trafne, ani sprawiedliwe. De Gaulle starał się od powrotu swego do władzy o reorganizację struktury wojskowej Przymierza Atlantyckiego w duchu: 1) zrównania praw Francji ze Stanami Zjedn. i W. Brytanią i 2) dalej idących gwarancji Waszyngtonu, że nie pozostawi on Europy swojemu losowi w niektórych wyjądkach agresji sowieckiej, zwłaszcza przez wstrzymanie się od obrony

jej broni atomową. I dopiero, kiedy próby te spotkały się ze stańowczym i trwałym oporem rządu amerykańskiego, prezydent Francji zdecydował się na opuszczenie NATO, ale w jakim celu? Myślę, że rezultatem takiego radykalnego kroku będzie właśnie jedynie ta reorganizacja wojskowa Przymierza, a nie praktyczne wyjście z niej Francji. Postawieni przed koniecznością, kierownicy polityki i strategii amerykańskiej będą zapewne na tyle realistyczni, że obecnie docenią wagę argumentów francuskich.

Jakie następstwa sprowadzi obecna linia zagraniczna de Gaulle'a w zakresie stosunków Zachodu z Sowietami i czy w rezultacie koegzystencja z nimi zostanie pogłębiona? Na pytanie to, najważniejsze dla Polski i innych narodów ujarzmionych przez czerwony imperializm Moskwy, musimy starać się szukać odpowiedzi i pod tym kątem rozpatrywać tendencje polityki światowej. Otóż, akcentem zbliżenia taktycznego Paryża z Moskwą, dokąd udaje się niedługo prezydent Francji, towarzyszy na całym niemal froncie kuli ziemskiej poważne zaostrenie stosunków między najpotężniejszym mocarstwem Zachodu, mianowicie między Stanami Zjednoczonymi a Rosją Sowiecką. Zaostrenie to z pewnością nie jest zaszkodzeniem ani zmartwieniem dla de Gaulle'a i jest zarazem zjawiskiem pożytecznym dla sprawy wolności głównie narodów europejskich.

### MOSKWA I WASZYNGTON NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

Zaostrenie stosunków sowiecko-amekańskich zaznacza się ostatnio również na Środkowym Wschodzie, zwłaszcza w świecie państw arabskich. Stany Zjednoczone oddaliły się od płk. Nassera i jego Zjednoczonej Republiki Arabskiej, która zresztą pozostaje w rzeczywistości dalej tylko Egiptem i stawiają na króla Fejsala Saudyjskiego. Rosja Sowiecka zaś od czasu upadku Chruszczowa pogłębiła swoją interwencję na tych obszarach, zaakcentowaną teraz przez tygodniową wizytę Kosygina, na czele bardzo reprezentacyjnej delegacji, w Kairze.

Sympatie Waszyngtonu do Nassera, jak wydaje się, skończyły się kiedy obalili on reżym monarchiczny w Jemenie i drogą interwencji wojskowej zrobił z tego małego kraju podstawę do ataku z jednej strony na bazę brytyjską w Adenie, a z drugiej strony na Arabię Saudyjską, w której bogactwach naftowych jest poważnie zaangażowana Ameryka. Opanowanie Jemenu nie powiodło się jednak Nasserowi, jak wiadomo, w całości i dziedziczny władca tego kraju Iman Badr, którego za-

machowcy nie zdołali zamordować, zorganizował na pustyni i w oparciu o Arabię Saudyjską skuteczny opór, dotąd na śródładowej części terytorium Jemenu trwający. W związku z tą egipską inwazją Jemenu doszło też wyraźnie do uzgodnienia na tamtejszych obszarach polityki amerykańskiej z brytyjską, poprzednio — głównie za Dullesa — raczej rywalizujących na Środkowym Wschodzie.

Król Fejsal, który miał lata dość bliskich kontaktów z Nasserem, w rezultacie wojny jemeńskiej i — zapewne — na skutek poczucia, że może liczyć na Stany Zjednoczone, zaczął ostatnio wysuwać się jako konkurencyjna wobec Nassera postać całego świata arabskiego. Podczas, gdy dyktator Egiptu próbuje skupiać żywioły rewolucyjne i laickie, Fejsal odwołuje się do Arabów praktykujących i religijnych oraz wiernych ustrojowym formom tradycyjnym. Na polu stosunków międzypaństwowych wyraziło się to w zbliżeniu Arabii Saudyjskiej z Jordanią i — niearabską, lecz sąsiednią i muzułmańską — Persją, a w pogorszeniu ich z Irakiem i Syrią, gdzie też doszedł niedawno do władzy rząd skrajnie lewy i korzystający z sowieckiego poparcia.

### KOSYGIN, NASSER I TITO

Wizytę Kosygina w Kairze poprzedził incydent, oświetlający szczególnie jaskrawo międzynarodowe napięcie stosunków na Półwyspie Arabskim. Nasser wygłosił 1 maja przemówienie tak gwałtowne w stosunku do Arabii Saudyjskiej, że zostało zrozumiane jako prawie wypowiedzenie wojny. Na to rząd Stanów Zjednoczonych powtórzył natychmiast swoją gwarancję integralności królestwa Fejsala, co z kolei wywołało nowy atak furii Nassera przeciw „amerykańskim imperialistom“.

„Neutralizm“ Nassera trzeba było w rzeczywistości pisać w cudzysłowie, ponieważ skłaniał się on zawsze raczej ku blokowi komunistycznemu, ale ostatnio stało się to jeszcze wyraźniejsze. Gościł on w początkach maja, tuż przed wizytą Kosygina, innego „neutralistę“ w osobie jugosłowiańskiego Tity i obaj zadeklarowali się mocniej w tym bardziej „pro-socjalistycznym“ kierunku. Na konferencji prasowej w Aleksandrii Tito oświadczył, że państwa „niezaangażowane“ powinny obecnie, na skutek wzmożenia się w ciągu ubiegłego roku akcji „kolonializmu i imperializmu“, zwłaszcza w stosunku do świeżo powstałych państw ekskolonialnych, przyłączyć się do krajów „socjalistycznych i postępowych na nowej i szerszej podstawie“. Nasser z kolei mówił w podobnym duchu.

### NIEOBECNOŚĆ MAO-TSE-TUNGA

Od kilku miesięcy powtarzane są pogłoski, jakoby 72-letni Mao był ciężko chory albo nawet zeszedł z tego świata. Pogłoski takie rozchodzą się już wszakże kilkakrotnie poprzednio i były następnie zaprzeczane przez pojawienie się publicznie „numeru pierwszego“ chińskiej partii, jeśli nie w pełnym zdrowiu, to w każdym razie przy życiu. Niemniej, tym razem sprawa wygląda poważniej. Oficjalnie Mao-Tsetung nie był widziany od 26 listopada 1965, kiedy przyjął delegację Kamboży i — co najważniejsze — nie pokazał się pekińskim tłumom 1 maja, czyli z okazji największej w roku uroczystości partyjnej. Dopiero po niej wziął udział w bankiecie na cześć premlia Albanii Szehu, ale na fotografii wyglądają bardzo niezdrowo.

Choroba Mao może też być natury politycznej, na co wskazuje szereg okoliczności i co było by co najmniej równie ważne. Mao-Tsetung, czołowy ideolog chińskiego komunizmu i zarazem główny realizator komunistycznego ustroju w swoim kraju od chwili objęcia władzy, to jakby Lenin i Stalin czerwonego Pekinu w jednej osobie. Jego osobiste losy czy polityczna rola na szczycie partyjnym w każdym wypadku muszą mieć dla Chińskiej Republiki Ludowej i całej jej polityki kapitalne znaczenie. Kiedy więc ostatnio oficjalnej nieobecności Mao towarzyszą objawy kryzysu wewnętrznego w partii, nasuwa się wniosek, że oba te fakty pozostają w związku, a ponadto że poważnym czynnikiem tego kryzysu jest konflikt Pekinu z Moskwą, łączony powszechnie od strony chińskiej z osobą Mao. Stał się on po śmierci Stalina najwybitniejszą postacią komunizmu światowego i szczególnie niechętnie jakoby znosił pierwszeństwo partii sowieckiej, reprezentowanej przez osobistości ze swego punktu widzenia drugorzędne.

### KRYZYS W CHIŃSKIEJ PARTII

Objawy silniejszych tarć wewnętrznych w chińskiej partii notowała prasa zachodnia już od dwu lat, ale dopiero ostatnio nabrały one gwałtowniejszego i głębszego charakteru. Pierwszą ważną jaskółką był raport głównego politruka chińskiej armii „ludowej“, w którym zaatakował on odosobnianie się zawodowych wojskowych od mas ludowych i lekceważenie wartości duchowych armii. Pozostawało to w związku z teoriami Mao i hasłami propagandy, że uzbrojenie jest mniej ważne od cnót żołnierskich, technika wojenna — od odwagi oraz prawidłowej

(Dokończenie na str. 46)

# ZWIĄZKI ZAWODOWE W POLSCE POD

## NACISKIEM MASY ROBOTNICZEJ

**D**OKŁADNIE pół roku, bo od listopada 1965 do marca 1966 — trwała związkowa kampania sprawozdawczo-wyborcza do rad zakładowych czyli fabrycznego przedstawicielstwa związków zawodowych. Choć pod rządami komunistycznymi zawodowy ruch robotniczy jest całkowicie kontrolowany przez partię rządzącą, więc w naszym polskim przypadku przez PZPR, nawet przebieg tej kontrolowanej kampanii, która poprzedza V Kongres Polskich Związków Zawodowych — stanowił dla kierownictwa związków dość znaczne zaskoczenie. Łatwo się o tym przekonać z dokładnej analizy sprawozdań i ocen komunistycznej prasy związkowej, takiej chociażby jak centralny organ Centralnej Rady Związków Zawodowych — dziennik „Głos Pracy“ czy miesięczniki „Przegląd Związkowy“ i „Samorząd Robotniczy“.

Aktywiści komunistycznego kierownictwa związkowego zostali tym razem wyraźnie zaskoczeni postawą związkowych zebrań fabrycznych i stanowczością wypowiedzi uczestniczących w nich robotników. I nawet nie można się temu dziwić, gdyż jesienią, a więc przed rozpoczęciem kampanii sprawozdawczo-wyborczej tacy znani publicyści związkowi jak Krystyna Wigura czy Juliusz Waclawek dość otwarcie przewidywali, że sale konferencyjne będą puste a zebrań nieme i martwe. Tymczasem wszystko było odwrotnie. Frekwencja zebrań wyborczych sięgała przeciętnie 90% uprawnionych, a dyskusja — jak już zaznaczyłem — była żywa i odważna.

O takim właśnie przebiegu zebrań zdecydowały dwa czynniki: po pierwsze CRZZ najwyraźniej obawiając się pustych zebrań, upoważniła załogi fabryczne do wysuwania co najmniej 1/4 kandydatów do rad zakładowych zgłoszeniami z sali, a po drugie wprowadzone niedawno w życie tzw. grupy związkowe, czyli najdrobniejsze ogniwa organizacyjne związków formowane z najmniejszych zespołów produkcyjnych, okazały się zdolne do wyrażenia opinii bardziej zależnej od środowiska robotniczego niż od partyjnego kierownictwa związków za-

wodowych. Jest to wydarzenie godne bacznej uwagi, gdyż kryje się w nim — przynajmniej potencjalnie — możliwość oddziaływania robotników na terenowe ogniwa administracji partyjno-rządowej. Dlatego w tym roku warto obserwować formującą się jak gdyby nową postawę mas robotniczych.

### TRZY FAZY KAMPANII ZWIĄZKOWEJ

Oczywiście, nie należy przeceniać wyników kampanii sprawozdawczo-wyborczej do rad zakładowych, bo cała kampania odnowienia władz związków zawodowych ma aż trzy kolejno kontrolowane przez partię fazy. Pierwszą z nich były właśnie wybory w poszczególnych fabrykach i zakładach pracy. Drugą są toczące się obecnie zebrań okręgowe w poszczególnych związkach zawodowych. Trzecią i ostatnią będą ogólnokrajowe zjazdy poszczególnych związków zawodowych, które dopiero w przyszłym roku „ukoronuje“ V Kongres Polskich Związków Zawodowych. Przy tym systemie partia i aktyw partyjny ulokowany w zarządach głównych związków ma duże możliwości przesiania delegatów wysuniętych przez fabryki i zakłady pracy i potrafi w dużym stopniu stuszczać ton wypowiedzi robotników jakie padały na zebraniach fabrycznych.

Wiadomo przecież, że w ogólnym statucie związków zawodowych w Polsce obowiązują dwa zasadnicze postanowienia, które całkowicie podporządkowują związki partii: jedno z nich ustala, że związki zawodowe uznają statutowo kierowniczą rolę PZPR i jej programu politycznego, a drugie, że w wewnętrznym systemie organizacyjnym kierują się komunistyczną doktryną centralizmu-demokratycznego, co przesądza o decydującej roli kierownictwa CRZZ całkowicie niezależnego od woli i kontroli dołów organizacyjnych, a zato w pełni kontrolującego organizację związkową.

Jeśli więc w należyтым stopniu uwzględnimy formy organizacji i

formy działania polskich związków zawodowych pod partyjnym i komunistycznym kierownictwem CRZZ, dopiero wówczas możemy się pokusić o właściwą ocenę przebiegu zebrań sprawozdawczo-wyborczych w zakładach pracy. Dopiero uwzględniając ten specyficzny układ organizacyjnych i politycznych zależności można sobie zdać sprawę z tego, jak znaczna jest zmiana postawy mas robotniczych i jakie są jej możliwości oddziaływania na kierownictwo CRZZ i politykę społeczną PZPR.

### WYNIKI PIERWSZEJ FAZY KAMPANII

Prasa komunistyczna podsumowując wyniki pierwszej fazy kampanii sprawozdawczo-wyborczej do władz związkowych podkreśla z uznaniem liczebność i żywotność zebrań w fabrykach, ale jednocześnie z wyraźnym zakłopotaniem omawia jej wyniki. Daje to podstawę do przypuszczeń, że centralne władze związkowe są przebiegiem tej pierwszej fazy kampanii nie tylko zaskoczone, ale i nie bardzo wiedzą jak go naprawdę ocenić i jak opanować wyraźny objaw sprzeciwu i protestu wyrażony przez robotników w stosunku do kierownictwa władz związkowych i partyjnych.

Z jednej strony CRZZ musi wyrażać zadowolenie z licznego udziału w zebraniach załóg produkcyjnych jak też jest zmuszona pozytywnie oceniać aktywność organizacyjną tych załóg, ale z drugiej strony kierownictwo CRZZ musi się czuć zaskoczone odwagą wystąpień i szeroką skalą żądań robotniczych, czego jesienią gdy kampania się zaczynała najwyraźniej nie brano tam pod uwagę, bo obawiano się raczej apatii. Dlatego też tak skromne są dotychczas wypowiedzi władz związkowych o drugiej, rozpoczętej już fazie kampanii obejmującej związkowe konferencje okręgowe. Zapewne kierowniczy aktyw związkowy wypracowuje dopiero formy otamowania żądań robotniczych i nie jest jeszcze pewien w jakim stopniu uda mu się ten system

narzucić podstawowym w tym wypadku konferencjom w okręgach.

Ustalmy sobie teraz konkretnie wyniki obrad i wyborów do rad zakładowych. Dadzą się one sprowadzić do czterech zasadniczych grup:

1. Załogi produkcyjne ostro krytykowały cały aktywny związkowy za bierność i nieporadność w stosunku do administracji przemysłowej. W wyniku tej krytyki skreślono z list wyborczych po 60% a nawet i po 70% dotychczasowego aktywnego partyjno-związkowego. Tu postawa robotników była tak stanowcza, że zdarzył się nawet wypadek skreślenia z listy partyjnego posła na sejm. Trudno o bardziej odważne skrytykowanie partii i kontrolowanych przez nią związków zawodowych.

2. Nie mniej ostrej krytyce poddano bierność związków zawodowych na codzienne potrzeby bytowe klasy robotniczej. Gdy czołowi działacze związkowi — w myśl instrukcji partii i CRZZ — kładli w dyskusji nacisk na zagadnienia produkcyjne, robotnicy żądali w pierwszym rzędzie poprawy warunków bytu. Omawiali fundusz płac, problemy podziału funduszu zakładowego — a więc premii zarobkowych, potrzeby mieszkaniowe, normy pracy i stawki zarobkowe.

3. Najobszerniejszym przedmiotem dyskusji były sprawy socjalne: ciągle niedostateczne świadczenia chorobowe, zaniedbane bezpieczeństwo pracy, złe warunki sanitarne w fabrykach, niesprawna służba zdrowia, lekceważenie przepisów o ochronie pracy kobiet i młodocianych, nadużycia z niepłatnymi nadgodzinami, które robotnicy są zmuszani wyrabiać pod przymusem administracji, niewystarczająca ilość i zły stan odzieży ochronnej, nieuporządkowany system urlopów i nadużycia z czasami pracowniczymi, zaniedbane stołówki i dziesiątki podobnych dokuczliwości.

4. Ciężar działalności związkowej przesuwa się ostatnio do warsztatów pracy, do coraz bardziej aktywnych i samodzielnych podstawowych grup związkowych. Są to małe kilkunasto lub nawet tylko kilku-osobowe zespoły robotników zatrudnionych w zwartej grupie. Ludzie ci znają się między sobą i ich interesy zawodowe są identyczne. Decyduje to jednocześnie o solidarności ich postawy organizacyjnej, bo pragną aby związek ułatwiał ich rzeczywiste potrzeby. Na-

wet „Głos Pracy“ musi już otwarcie przyznać: „Podstawowe ogniwo organizacji związkowej — grupa związkowa — staje się czynnikiem, który w przyszłości nie da się lekceważyć“.

Innym, jednak już całkowicie przemilczanym przez prasę krajową zagadnieniem, które podkreślano w kampanii sprawozdawczo-wyborczej do rad zakładowych były liczne głosy domagające się podwyżki płac. W ocenianych przez CRZZ relacjach można się ich tylko doczytać między wierszami. Jest jednak rzeczą całkowicie pewną, że ogół robotników otwarcie stawia żądania podwyżek, a jako samoobronę przed postępującym wyczerpaniem przy stosunku obniżenia wydajności pracy. W pierwszym kwartale nowego planu gospodarczego zagadnienie to stało się dla kierownictwa PZPR tak naglące, że poruszano je na wszystkich posiedzeniach komitetów wojewódzkich partii. Na odcinku związkowym, aby chociaż częściowo nadrobić niepowodzenia w planowanym wzroście wydajności pracy, partia zastosowała na skalę niespotykaną od roku 1955 tzw. „czyny produkcyjne“, „zobowiązania pierwszomajowe“ i „zobowiązania tysiąclecia“. Wszystko to ma podnieść wydajność pracy. Wiadomo jednak, że tego typu rozwiązania już nie jeden raz komunistów zawiodły.

Fakt jednak pozostanie faktem, że organizacje partyjna i związkowa mają z robotnikami coraz większe kłopoty, z którymi nie mogą sobie poradzić.

### NA CZYM POLEGA ZMIANA POSTAWY

Jeśli sięgniemy pamięcią do roku 1956 i przeobrażeń „polskiego października“, to jednym z ich charakterystycznych owoców był częściowy samorząd robotniczy wprowadzony wówczas do fabryk. Zręby tego samorządu stanowiły powstałe wtedy rady robotnicze, które uformowały się spontanicznie poza organizacją związków zawodowych, a nawet — jak to przyznał sam Gomułka — jako przeciwstawienie się związkom zawodowym. Kiedy jednak zreorganizowana przez Gomułkę PZPR ograniczyła ustawowo i organizacyjnie działalność rad robotniczych, o czym przesądziła głośna ustawa z 20 grudnia 1958, rady robotnicze opanowane i uzależnione przez partię straciły dla robotników

istotną wartość. Wynikiem tej zmiany była bierność i apatia robotników tak w samorządzie robotniczym jak i w związkach zawodowych.

Dotychczasowa decyzja kierownictwa PZPR czyli ustalona na IV plenum częściowa decentralizacja zarządzania przemysłem, której powodzenie uzależnione jest od włączenia się załóg produkcyjnych w koordynację produkcji, otwiera przed klasą robotniczą nowe możliwości przynajmniej częściowego uniezależnienia się od administracji partyjno-rządowej. Decyduje o tym stosunek robotników do produkcji. Ponieważ partia chce aby ten stosunek był pozytywny, wypływający z dobrej woli robotników — a tylko taki stosunek może rzeczywiście poważnie poprawić wyniki produkcji — stara się zjednać środowisko robotnicze dla postulatów usprawnienia produkcji. Temu właśnie celowi miały służyć grupy związkowe w fabrykach i zakładach pracy. Partia zakładała, że będą one w stanie łatwiej zmobilizować postawę załóg produkcyjnych po linii wskazań i zaleceń kierownictwa PZPR. Stało się jednak inaczej.

Okazało się, że aparat aktywny partyjnego nie jest w stanie sięgnąć w sposób naturalny do mas robotniczych. Partia potrafi i umie opanować aparat organizacji związkowej, ale nie jest w stanie przezwyciężyć nieufności mas robotniczych w stosunku do polityki gospodarczej komunistów. Zawodzi ją ostatnie ogniwo transmitowania inspiracji. Nie pomogło przechwycenie kierownictwa organizacji związkowej w zakładach pracy, nie pomogło opanowanie rad robotniczych, bo w obu wypadkach masy robotnicze odwróciły się od tych organizacji. Teraz coś podobnego, tylko w odwrotnym kierunku, ma miejsce z grupami związkowymi. Okazało się, że gdy kierownictwo partii musi odwołać się do woli robotników, ci — jako swoich przedstawicieli — wybierają niezależnych mężów zaufania a nie wskazywanych im przez komórki partyjną jej aktywistów. I na to partia nie ma już żadnej rady.

Teraz zagadnienie sprowadza się do tego czy ci niezależni mężowie zaufania robotników potrafią się oprzeć naciskom organizacji partyjnej. Nie ma potrzeby aby bawić się w prorocztwa, bo sprawa nie polega na zgadywaniu. Wydaje się mało prawdopodobne aby robotnicy zrezygnowali

z nadarżającej się okazji wywarcia presji na kierownictwo związkowe i partyjne. Partia wie, że łamanie postawy przedstawicieli robotników metodami administracyjnymi powoduje nieprzyjemne konsekwencje gospodarcze, bo obniża wydajności pracy. A teraz właśnie na tej wydajności tak bardzo kierownictwu partii zależy. Jest więc poważna szansa, że wyrażona ostatnio wola robotników w znacznym stopniu zostanie uszanowana. Kierownictwo związków mając do wyboru apatię mas robotniczych i spadek wydajności oraz oddanie robotnikom chociaż częściowego wglądu w kierownictwo ruchu związkowego — może się zdecydować na to drugie. Przekonamy się o tym w drugiej fazie kampanii sprawozdawczej na konferencjach okręgowych związków zawodowych.

Jeśli konferencje okręgowe odbędą się w tej samej atmosferze w jakiej odbyły się konferencje fabryczne, wtedy robotnicy poszerzą swój wpływ na organizację związkową. Są dane

#### WNIOSKI NA MARGINESIE

Chociaż nie jest to wszystko, co można powiedzieć o obecnym stanie polskiego ruchu zawodowego, można jednak stwierdzić, że mamy tu do czynienia ze zmianą postawy mas robotniczych. Jest przy tym charakterystyczna tendencja nacisku dołów związkowych na kierownictwo CRZZ. W stosunku do tego co było w roku 1956, kiedy to masy robotnicze odwróciły się od oficjalnej organizacji związkowej, teraz wszystko wskazuje na to, że ich postawa jest w zasadniczy sposób odmienna. Robotnicy nadal zdają sobie sprawę z uzależnieniem od partii kierownictwu CRZZ, ale w dostępnych im granicach starają się wpłynąć na jej poczynania. Próbują zmusić kierownictwo związków do pewnej niezależności od PZPR.

Ta postawa, jeśli tylko jej skutki będą miały pożądane przez robotników wyniki — może mieć również duże znaczenie polityczne. Byłaby to bowiem próba uniezależniania instytucji zawodowej od całkowitej kontroli i dyspozycji partii. A ponieważ słaba struktura organizacyjna PZPR nie na wszystko może sobie obecnie pozwolić, jest szansa, że — jeśli nawet nie tym razem to w jakiejś dalszej przyszłości — ruch zawodowy uzyska w PRL prawo częściowej niezależności.

wskazujące na to, że tak właśnie być może. Przykładem mogą tu być Węgry, gdzie po styczniowych demonstracjach robotników przemysłowych przeciwko podwyżce cen i ograniczeniu płac, centrala węgierskich związków zawodowych zdecydowała się na zajęcie stanowiska sprzecznego z polityką partii, a solidaryzującego się z postawą robotników. Zapowiedziano bowiem oficjalnie, że od tej pory węgierski ruch zawodowy nie pogodzi się z żadnym więcej ograniczeniem stopy życiowej robotników. Przy napięciu sytuacji jaka ma miejsce w Polsce w związku z kampanią wydajności pracy — powtórzenie się sytuacji węgierskiej jest w dużym stopniu możliwe.

Zasadniczą cechą tej nowej postawy mas robotniczych w Polsce jest próba wykorzystania obecnych trudności totalitarnego reżimu komunistycznego i wymuszenia na partii ustępstw organizacyjno-zawodowych oraz przynajmniej częściowej poprawy warunków bytu.

Tu trzeba postawić kropkę nad i. Na pewno znajdują się tacy znawcy ustroju komunistycznego, którzy tego rodzaju przeobrażenie z miejsca wyinterpretują jako przejaw reformizmu. Jako otwarcie drogi do przeobrażeń ustroju komunistycznego. Dlatego lepiej będzie od razu stwierdzić, że tego rodzaju rozwiązanie czy wydarzenie w komunistycznym ruchu zawodowym byłoby pierwszym dowodem znalezienia sposobu na przezwyciężenie dynamiki terroru komunistycznego. Dynamiczny terror komunistyczny ma bowiem możliwość działania tylko w pewnych warunkach. Jest skuteczny tak długo, jak długo steroryzowane społeczeństwo przejęte jest strachem. W warunkach polskich terror strachu skończył się bezpowrotnie w roku 1956. Od tej pory komuniści polscy jeśli chcą coś osiągnąć muszą sobie zagwarantować współdziałanie społeczeństwa i to współdziałanie niewymuszone.

W ruchu zawodowym, przynajmniej w środowisku robotniczym, system nacisków „centralizmu-demokratycznego“ dawno już przestał być skuteczny. Proces historyczny dojrzał teraz do odwrócenia. Odtąd nie robotnicy przed partią i jej aktywem, ale aktyw i partia będą musiały ustępować przed postulatami ludzi

pracy. Nie można przewidzieć jak szybki będzie to proces i jaki będzie miał przebieg, bo zależy to od zbyt wielu czynników często jeszcze trudnych do ustalenia. Pewne jest tylko to, że proces ten już się rozpoczął. I to należy uznać za najważniejsze.

Tyle uwag nasuwa pierwsza faza obecnej kampanii sprawozdawczo-wyborczej w polskich związkach zawodowych. Ale na marginesie poruszonego tu zagadnienia narzuca się jeszcze uwaga innego rzędu. Ta mianowicie jakie skutki w skali ogólnokrajowej pociągnie za sobą ta nowa postawa klasy robotniczej. Wiemy, że w roku 1956 postawa inteligencji twórczej wyzwoliła falę protestów przeciwko systemowi stalinowskiemu. Od słynnych wypadków poznańskich postawa mas robotniczych dołączyła do tego nurtu przemian. Teraz stoimy wobec odwróconego porządku rzeczy. W ostatnich latach środowisko inteligentkie zdaje się być bardziej uzależnione od partii za cenę stopniowej poprawy warunków bytu. Czy w tych warunkach zdecyduje się na poparcie słusznych żądań robotniczych? Czy dostrzeże szansę następczących się przemian?

Znowu stajemy przed niewiadomą której dziś jeszcze niepodobna odczytać. Jedno jest wszakże pewne i nie podlega dyskusji: im szersza będzie presja społeczeństwa na dogmatyczne pozycje partii, tym łatwiej będzie można poszerzyć margines swobód obywatelskich i tym istotniejsze mogą być wszelkie przemiany. Rzecz w tym w jakim stopniu poszczególne grupy społeczeństwa potrafią być solidarne w realizowaniu postulatów stawianych komunistom.

Nie zawsze postulaty poszczególnych grup są ze sobą zgodne. Tak np. poszerzenie uprawnień technokratów, co partia zdaje się w jakimś stopniu akceptować, bardzo często koliduje z interesami robotników. Być może, że w tym wypadku solidarna z robotnikami postawa inteligencji twórczej mogłaby otworzyć możliwość zasadniczych ustępstw partii i nawet wyrzec pożądany wpływ na środowisko techniczne. Są to wszystko zagadnienia godne szerszej dyskusji. Tym razem ograniczam się jedynie do ich zamarkowania na tle usztywniającej się postawy robotników.

Tadeusz Podgórski

# W JAKICH WARUNKACH

Jednym z ulubionych tematów propagandowych, którym reżim komunistyczny operuje w radio i przez rozsyłanie bibuły, szczególnie do państw afrykańskich, jest gigantyczny wprost rozwój szkolnictwa wszystkich typów. Jednak podobnie jak przedstawia się gigantyczny rozwój gospodarczy z pominięciem danych o podniesieniu się stopy życiowej polskiej mas pracujących, tak w propagandzie o szkolnictwie, pomija się warunki materialne młodzieży studiującej w ogóle, w szczególności zaś tej części, której przyznano miejsce w szkolnych internatach.

O stosunkach panujących w poważnej części internatów dla młodzieży akademickiej pisaliśmy już na łamach naszego pisma porównując warunki w jakich żyje młodzież polska, z warunkami studentów afrykańskich. Dzisiaj postanowiliśmy omówić inny typ szkolnictwa i wdzięczni jesteśmy ministrowi szkolnictwa Tułdzieckiego oraz Sztańdarowi Młodych i Trybunie Ludu za dostarczenie nam autentycznego materiału.

## SZKOLNICTWO ZAWODOWE

Socjalistyczny rozwój kraju, pisze Tułdziecki w Sztańdarze Młodych z 18 lutego br., wymaga coraz to większej ilości, wyszkolonych w różnych zawodach robotników wykwalifikowanych. Przyznaje, że pod adresem tego właśnie szkolnictwa, wysuwane są stale zarzuty, że nie jest dostosowane do potrzeb chwili, bo i warsztaty szkolne i park maszynowy są przestarzałe, ale reforma organizacyjno-programowa jest już w toku. Ostatnio stworzyliśmy międzyresortową komisję planowania, która ustali potrzeby kadrowe gospodarki aż do 1975 r.

Szkoły zawodowe, według Tułdzieckiego, kształcą mają młodzież w 210 zawodach i mają dać absolwentom możliwość uzyskania dyplomu robotnika wykwalifikowanego. Mają zatem zaspokoić potrzeby kadrowe i przemysłu terenowego i dla wsi i wychować dla miasta i wsi kadry rzemieślników.

Ale, mówi Tułdziecki, warunki są tu trudne, bo prawie wszystkie pomieszczenia wykorzystywane są na dwie zmiany. Ale wszystko będzie dobrze w 1970 r., wtedy nawet skrócimy czas nauki w tych szkołach z trzech na dwa lata.

Jednak minister nie mógł pominąć znanego już ogólnie najbardziej istotnego wymogu, jeśli jego nowy program nie ma, jak to wykazały już wcześniejsze plany, pozostać reformą na papierze. Wspomniał o konieczności budowy nowych internatów szkolnych i rozbudowy istniejących. W okresie dwóch tylko lat tj. 1966 i 1967 trzeba stworzyć 40.5 tysięcy nowych miejsc internatowych, z czego część ma służyć rozgęszczeniu w istniejących internatach. Dla samej tylko młodzieży dojeżdżającej i zamieszkałej na stacjach potrzeba 150 tysięcy miejsc internatowych.

Program Tułdzieckiego uzupełniła Trybuna Ludu z 14 lutego. Z jej artykułu dowiadujemy się że w 1963/64 r., na ogólną liczbę 726 tysięcy uczniów szkół zawodowych, młodzieży dojeżdżającej czyli zamiejscowej było 451 tysięcy, z czego mniej niż połowa znalazła miejsce w internatach, podczas gdy większa część zmuszona była albo dojeżdżać codziennie albo zamieszkać na stacjach. Miejsc w internatach było wtedy 186 tysięcy, uczniów zaś przyjętych do nich było 220 tysięcy. Zasadniczo na 100 miejsc przyjmuje się 128 uczniów.

## ZYCIE MŁODZIEŻY W ZAGĘSZCZONYCH „INTERNATACH“

Gdy jest mowa o internatach, wtedy mamy zawsze na myśli budynek wyposażony w sypialnie dla kilku tylko mieszkańców, w umywalnie i inne urządzenia higieny, pokoje w których uczniowie mogą odrabiać lekcje, nie mówiąc już o dostatecznej ilości szaf, stołów i krzeseł.

A jak w rzeczywistości wyglądają te pomieszczenia, które nazywa się internatami, o tym dowiadujemy się z Głosu Pracy z 6 lutego br.

Dla setek tysięcy młodzieży ze wsi, miasteczek, i osad robotniczych, pisze dziennik, uzyskanie miejsca w internacie jest szansą życiową. Autor artykułu przedstawia następną sytuację w 47 internatach, rozrzuconych po całym kraju, a opiera fakty na sprawozdaniu delegatów

Najwyższej Izby Kontroli. Tak np. w niektórych internatach w województwie kieleckim, norma powierzchni mieszkalnej, została ustalona kilka lat temu na 4.5 metra kw. na osobę. Normę zmniejszono później o 15 procent tj. na 3.8 metra kw., a urzędowo zezwolono przyjęcie 115 uczniów do internatów posiadających 100 miejsc.

Komisja NIK stwierdziła m.i. że internat przy zasadniczej szkole zawodowej w Ostrowcu Świętokrzyskim, mieści się w starych, rozpadających się barakach. Sale sypialne zatłoczone są łózkami piętrowymi, przez co automatycznie obniżono powierzchnię mieszkalną na wychowanka do 1.9 m. kw. W salach sypialnych mieszka od 11 do 31 uczniów, a jest w nich tylko jeden stół. Na dwóch chłopców przypada jeden taboret. Szafy stoją długim rzędem w korytarzach baraku, a stołówka jest jedynym miejscem, gdzie między spożywaniem potraw uczniowie mogą odrabiać lekcje.

W zasadniczej szkole zawodowej w Sandomierzu, na 45 miejsc normowanych, przyjęto 140 uczniów. Stwierdzono braki nie tylko w wyposażeniu, ale i wyżywienie nie jest tam zgodne z normami, brak jest higieny i opieki lekarskiej. W wymienionych i w innych zbadanych internatach połowa przestrzeni zajęta jest przez lokatorów, nie mających nic wspólnego ze szkołą, których z powodu braku mieszkań, rady narodowe umieściły w szkolnych budynkach.

Komisja zbadała również i tzw. stancje, a pismo podaje dwa przykłady, w jakich to warunkach żyje młodzieżowa biedota, która nie mogła uzyskać miejsca w internacie. W jednej takiej stancji w Sandomierzu, w pokoju przedzielonym zasłoną, mieszkało pięciu uczniów szkoły zawodowej oraz właściciel pokoju z żoną i dziećmi. W innej stancji w Końskich pięciu chłopców zamieszkiwało w pokoju z 70 letnią niewiastą, w warunkach nieopisanego bru-

# KSZTAŁCI SIĘ MŁODZIEŻ W POLSCE

du, bez pieca, stołu i krzesel. Lekcje odrabiali chłopcy siedząc na łóżkach.

## STRAJK BEZ PRECEDENSU

W Polsce ludowej wybuchają często sporadyczne strajki, o których prasa partyjna milczy. Ale strajk który wybuchł w zasadniczej, przyzakładowej szkole zawodowej w Kołobrzegu nie miał precedensu. Szkoła o której mowa, jest pod patronatem kołobrzeskiego przedsiębiorstwa budowlano-montażowego. Uczęszcza do niej 200 uczniów w wieku 15 do 17 lat, których szkoła miała w ciągu trzech lat wyuczyć na kwalifikowanych murarzy, cieśli i monterów.

Jak zatem doszło w tej szkole do strajku? Sprawę przedstawił szczegółowo *Sztandar Młodych* z 27 grudnia ub.r.: pod wielkim nagłówkiem „Bunt“.

W mroźny dzień, który, jak pisze korespondent, ścinał krew, gdy po przerwie śniadaniowej, instruktor wezwał uczniów do pracy, nikt z nich się nie ruszył. Na pytanie co się stało, chłopcy chórem odpowiedzieli: Mamy dziurawe buty, jest nam zimno, chcemy się uczyć zawodu, bo po to przyszliśmy do szkoły. Zamiast nauki kopiemy doły, a przecież do kopania mogliśmy się najać bez szkoły.

Chłopcy wybrali delegację, złożoną z trzech kolegów, z których dwóch było członkami Związku Młodzieży socjalistycznej i wysłali ich do rady pedagogicznej szkoły. Tu określono zachowanie uczniów jako bunt i dwóch delegatów ukarano obniżeniem stopni z nauki zawodu.

Korespondent pisma, który był obecny w czasie przesłuchania uczniów przez radę pedagogiczną, dowiedział się wtedy, jakie były istotne przyczyny strajku. Stwierdził, że m.in. chłopcy pracują codziennie osiem godzin na budowie przy kopaniu fundamentów i rowów, na mrozie, w rozmokniętej ziemi, i we własnych dziurawych butach. Są stale głodni i proszą o jedną tylko więcej kromkę chleba i o mydło. Wielu z nich kopie doły już od trzech lat, bo przedsiębiorstwo, które ma ich kształcić musi wykonać plan.

Nauczyciele przyznali, że chłopcy są stale głodni. Stawkę wyżywienia ustalono na 12,80 zł, co starczy tylko na opłacenie kosztów obiadu. Otrzymują tylko 600 gramów chleba na dzień. Normy noszenia ciężarów dla małoletnich robotników ustalone urzędowo na 16 kilogramów nie są wcale przestrzegane — chłopców zmusza się do noszenia worków cementu 50 kilogramowych. Nie otrzymują ani ubrań roboczych ani obuwia. Ich własne jedyne ubranie, które przynieśli ze wsi przeżarte jest wapnem i cementem.

A jak wygląda ich internat? Są to baraki z dziurawym dachem, przez który w czasie deszczu, woda przecieka i opada na łóżka. Pościel jest zawsze wilgotna. W małych klitkach mieszkają po sześciu. Na osobę wypada 3 metry kw.; przejścia między łózkami mają 30 centymetrów szerokości.

Chłopców wezwano jeszcze przed inny „trybunał“, przed powiatowy zarząd ZMS, gdzie zrozpaczeni powtórzyli raz jeszcze swoje żale w tych oto słowach: Mielibyśmy nabyć w szkole zawód wykwalifikowanych murarzy. Od trzech lat kopiemy doły. Chcielibyśmy po nauce budować solidne domy, któreby nie jak to jest teraz, waliły się zaraz po wykończeniu. Jaki więc jest cel naszej nauki? Przecież do kopania dołów nie potrzeba nam szkoły.

A w czasie „rozprawy“, gdy chłopcy prosili o przydział mydła, padło ze strony przewodniczącego takie pytanie: A co zrobiliście z mydłem, które dostaliście w ubiegłym roku? Okazało się, że ostatni przydział, który wynosił pół funta na kwartał, otrzymali półtora roku temu.

## WYCHOWANIE „SOCJALISTYCZNEGO“ CZŁOWIEKA

Oto mamy autentyczne przykłady nauki w tzw. przyzakładowych szkołach zawodowych i obraz, jak wyglądają internaty tych szkół, tak szeroko reklamowane w radio i w bibule propagandowej, rozsyłanej do krajów nierozwiniętych. Pod pretekstem nauki zawodu, wyzyskuje się pracę

chłopców 15 do 17 letnich, do wykonywania pracy przewidzianej dla dorosłych, których chroni prawo pracy. Biedota wiejska, która przychodzi do szkoły aby nabyć kwalifikacje, opuszcza szkołę bez kwalifikacji. Zato minister Tułdziecki przepowiedział, że już ten problem rozważy międzyresortowa komisja. Zobaczycie, mówi, co będzie w 1970, a co dopiero w 1975 roku.

Z pewnością zobaczymy więcej jeszcze rozpadających się baraków „zagęszczonych“, więcej wyzyskiwanych i wygłodniałych uczniów nie objętych prawem pracy. Nic nie wskazuje na to aby pod tym względem Polska ludowa stała się krajem rozwiniętym.

A przecież partia zamierza wychować tych chłopców na „socjalistycznych ludzi“, podobnie jak Sowiety wychowują swoją młodzież na „ludzi radzieckich“.

Bunt w szkole w Kołobrzegu ujawnił ponad wszelką wątpliwość jaki to z tych szkół wyjdzie „socjalistyczny człowiek“.

W. Opolski

PIOTR GUZY

## ŻYWOT BOHATERA POZYTYWNEGO

Wyd. Instytut Literacki  
w Paryżu

Cena: 15/-

GRYF/SPK — 16, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W.7.

## MIĘDZY LONDYNEM I WARSZAWĄ

to tytuł nowej książki

Józefa Garlińskiego

poświęconej bardzo mało znanym fragmentom działalności Armii Krajowej.

Książka, uzupełniona fotografiami i szkicami, ukaże się już w niedługim czasie.

W przedpłacie można ją nabyć po niskiej cenie, bo tylko za 14 szylingów lub za 2 dolary.

GRYF PUBLICATIONS LTD.  
171, Battersea Church Road,  
London, S.W. 11.

Sensacji tych nie zapowiadała czytelnikom „Orla“ niniejsza rubryka. Były one natomiast przewidywane i spodziewane przez znaczną część prasy zachodniej, która wliczała rozmaite prawdopodobieństwa, następnie przez rzeczywistość marcowego kongresu — nie potwierdzone.

Nie doszło więc do oczekiwanej walki o władzę i para Breżniew-Kosygin, której rychły upadek zachodni rzeczoznawcy przewidują od chwili objęcia przez nią rządów w październiku 1964, utwierdziła na kongresie bez kłopotu swoją pozycję. Nie nastąpiły „dramatyczne“ zmiany w oficjalnym stosunku partii do Stalina i wreszcie, co najważniejsze, nie doszło, ani do zerwania Moskwy z Pekinem, ani do wyklęcia chińskiej partii z światowego komunizmu i powstania konkurencyjnej międzynarodówki pekińskiej. Nie zaszło więc to, co sowietologia — głównie amerykańska — od dawna prorokuje i co miało stać się, upragnioną przez entuzjastów czerwonego drutu Biały Dom—Kreml, wielką sensacją XXIII kongresu.

W rezultacie, jakby urażeni na nowe dowody wielkiego dystansu, dzielącego sowiecką rzeczywistość od obrazu, który malują oni zachodniej opinii, sowietologowie nazywają marcowy kongres nudnym i bez znaczenia, co wydaje mi się poglądem powierzchownym i dalekim od prawdy. Kongres ten nie przyniósł wprawdzie tematów do sensacji prasowych, jak XX-ty z lutego 1956 czy XXII z października 1961, ale posiadał znacznie więcej interesujących elementów, niż np. XXI-y z lutego 1959, który potwierdził tylko ówczesną supremację Chruszczowa.

Ostatni kongres marcowy, aprobując rządy pary Breżniew—Kosygin, nawiązywał rozmaite cechy interesujące obecnej sytuacji personalnej na Kremlu. Odsłonił dalej linię rzeczowej i umiarkowanej, choć niedemonstracyjnej re-stalinizacji, jaką wykreśliła sobie ekipa następców Chruszczowa, przyniósł dość dużo elementów dla oceny linii gospodarczej, wyrażonej w 5-lacie 1966—1970, wreszcie ujawnił czy potwierdził wytyczne, jakie przyjęto ostatnio na Kremlu w zakresie polityki wewnętrznej i na zewnątrz bloku komunistycznego. Kongres XXIII mógłby stać się dla sowieckich rzeczoznawców zachodnich nie tylko interesujący ale instruktynny, gdyby zechcieli wysunąć należyte wnioski z świeżo ujawnionej — w jego świetle — błędności stosowanych przez siebie metod.

Zawód zachodniej sowietologii, w odniesieniu do spodziewanej na marco-

SOVIETICA

## PARTYJNY KONGRES BEZ OCZEKIWANYCH SENSACJI

wym kongresie walki o władzę, dotyczył przede wszystkim osoby Szeliepina. Jak wiadomo, niespełna 50-letni ten pupil Chruszczowa i przez niego zrobiony superpolicjantem, który następnie wraz z Semiczastym załatwił technicznie bezkrwawą likwidację swego protektora, cieszy się niezupełnie zrozumiałą popularnością zachodniej prasy.

### SZELIEPIN I INNE PERSONALIA

Mimo, że został on w grudniu ub. roku wyraźnie odsunięty od steru wykonawczej władzy wicepremiera i szefa komisji kontroli, choć utrzymany na szczycie partyjnym w prezydium, rzeczoznawcy zachodni uparcie przepowiadali mu objęcie szczytowego kierownictwa już na marcowym kongresie. Jeszcze 7 kwietnia, czyli w przeddzień wyborów, Wiktor Zorza w londyńskim „The Guardian“ kończył swój artykuł pt. „Kłopoty na szczycie“ stwierdzeniem, jakoby „nie było wcale pewnym, że Breżniew będzie nowym sekretarzem generalnym, ponieważ młodszy rywal, p. Szeliepin, który został w ub. roku zesunięty o szczebel czy dwa w dół, oraz inni konkurenci do władzy czekają za kulisami“.

Wbrew wspomnianym przypuszczeniom, jak pisałem w tej rubryce na początku marca, walka o władzę została rozegrana na długo przed kongresem i Breżniew z Kosyginem uzyskali już tylko aprobatę masówki 5—6 tysięcy delegatów kongresowych. Szeliepin, jeśli nawet — w co należy wątpić — rzeczywiście czekał na coś za politycznymi kulisami, to w każdym razie spoza nich podczas obrad nie wyszedł. Nie zazna- czył się nawet zabranieniem głosu. Możliwe, że w przyszłości czeka go wielka kariera, ale chyba dopiero w dalszej.

Prezydium Centralnego Komitetu wróciło do dawnej nazwy Politbiura, ale przeprowadzone na Kongresie zmiany nie były znaczne. Także i w tym wypadku najważniejsze zaszło już przedtem: w miejsce Chruszczowa, Kozłowa i Kuusineny weszli Szeliepin, Mazurow i Szelest. Na Kongresie, emerytów Mikojana i Szewernika zastąpili Kirylenko i Pelsze, co było spodziewa-

ne lub nie bardzo istotne. Kirylenko awansował normalnie ze stanowiska kandydata, a Pelsze jedynie swoim łotewskim pochodzeniem wzbudził zainteresowanie. Nowymi członkami-zastępcami zostali: sekretarz partyjny z Kazachstanu Kunajew (odsunięty za Chruszczowa) i sekretarz białoruski Maszerow. W rezultacie lista członków nowego Politbiura brzmi w oficjalnej kolejności: L. Breżniew, A. Kosygin, M. Podgorny, M. Susłow, G. Woronow, A. Kirylenko, A. Szeliepin, C. Mazurow, D. Polianskij, P. Szelest i A. Pelsze. Breżniew przyjął dawny tytuł „sekretarza generalnego“, czego znaczenie będzie dalej omówione.

Dokonując niewielkich zmian personalnych na szczycie, XXIII kongres odstąpił też od zasady płynności, przyjętej za Chruszczowa przez poprzedni kongres z października 1961. Przewidywała ona, że przy każdych nowych wyborach do centralnego komitetu co najmniej 1/4 winna być odnowiona, a członkowie prezydium-politbiura mogą sprawować swoje mandaty najwyżej przez trzy kolejne okresy. Nie zastosowano tej zasady w żadnym z wspomnianych organów i wyraźnie odrzucono jej liczbowe rygory przy ogólnym tylko teoretycznym zachowaniu reguły pożądanego odnawiania składu władz partyjnych. Liczne zmiany dokonane zostały natomiast przed kongresem na niższych szczeblach partyjnego aparatu, gdzie usuwano ludzi, podległych kłicie Chruszczowa. W ten sposób zmieniono m.in. około 70-ciu sekretarzy partyjnych w oblastnych i analogicznych okręgach administracyjnych, zabezpieczając tak sobie posłuszeństwo masówką kongresowej.

Przechylenie się od zasady płynności składu władz partyjnych ku ich stabilizacji przez następców Chruszczowa jest zrozumiałe. Nikita w roku 1961, kiedy narzucał posłusznemu sobie kongresowi XXII konieczność odnawiania się CK i Prezydium, czuł się jedynowładcą, któremu wygodna była łatwość pozbywania się członków naczelnych organów. Breżniew i Kosygin reprezentują tymczasem „kierownictwo zbiorowe“, które zaledwie usadziło się w siedzibie władzy i myśli



teraz o utrzymaniu się w nim a nie o zmianach.

### UMIARKOWANA RE-STALINIZACJA ALBO NEO-STALINIZM

Pod względem stosunku do osoby i reżymu Stalina marcowy kongres był również potwierdzeniem linii, nakreślonej już poprzednio przez następców Chruszczowa, a nie przyniósł żadnych przewidywanych pro-stalinowskich manifestacji, może na skutek przedkongresowego listu „liberalnych“ pisarzy i nacisku partii zachodnich. Linia pary Breżniew—Kosygin polegała od początku na zaprzestaniu ataków na „okres stalinowski“ i przyznaniu mu obok błędów wybitnych zasług, zwłaszcza wojennych. O zasługach wojennych zaczęli pisać w ciągu roku 1965 niektórzy marszałkowie, a historycy uznali teorię zasadniczej błędności osiągnięć partii pod kierunkiem Stalina za „niemarksiistowską“. W tym samym duchu mówił na kongresie najwymowniej przewodniczący moskiewskiej organizacji M. Jegoryczew, przedstawiciel młodszego pokolenia, wyglądający w świetle kongresu na wschodzącą co najmniej gwiazdkę Kremla, może na konkurencję dla Szeliepina i Semiczastnego.

Najważniejsze, bo w zakresie organizacyjnym, reformy „re-stalinizacyjne“, przywracające ustrojowi partyjno-państwowemu kształt z okresu rządów zmarłego tyrana, zostały przeprowadzone już w roku 1965 i XXIII kongres je tylko zatwierdził. Mam tu na myśli przywrócenie centralnych ministerstw gospodarczych, zlikwidowanie na rzecz prowincjonalnych sow-narchozów przez Chruszczowa oraz podział organizacji partyjnej na dwa „sektory“, wiejski i miejski czyli przemysłowy, z czym również skończono. Podczas kongresu przywrócono natomiast tylko dwie nazwy, pamiętne z czasów Stalina, mianowicie Politbiura i Sekretarza Generalnego, chociaż pierwsza z nich zniesiona została jeszcze za jego życia, mianowicie na XIX kongresie z jesieni 1952, kiedy naczelny organ wykonawczy partii został nazwany Prezydium Komitetu Centralnego. Wprawdzie nomenklatura jest rzeczą drugorzędną, zmiany te zostały przez szerszą opinię zachodnią przyjęte jako główny objaw „neo-stalinizmu“.

#### OSKARŻENIA I OBIECANKI

Kongresowy referat gospodarczy, który wygłosił Kosygin (po Breżniewie jedyny przedstawiciel prezydium-politbiura, jaki zabierał głos na marcowym zjeździe), uderzył w dwie stereotypowe nuty, powtarzające się stale w

sowieckich enuncjacjach ekonomicznych: zwalania na kogoś winy za dotychczasowe niepowodzenia i różowych widoków na przyszłość. Dobrobyt w systemie komunistycznym jest kwadraturą koła, ale tego żaden przywódca partyjny nie może przyznać.

Podobnie jak dla Chruszczowa kozłem ofiarnym była polityka ekonomiczna — zwłaszcza rolna — Stalina, Kosygin — bez wymienienia jego nazwiska — przypisał wszystko złe minionego 7-lecia Chruszczowowi. Argumenty, wysunięte na kongresie i lista niepowodzeń okresu Nikity, który obiecywał w zakresie produkcji żywności przegonić Amerykę a doprowadził do tego, że od kilku lat Rosja musi kupować zboże głównie... w Ameryce, nie były nowością. Od referatu Breżniewa na komitecie centralnym z marca 1965 r. zarzuty te i oskarżenia Chruszczowa (o „subiektywizm“ i brak „metod naukowych“) były przez następców wielokrotnie powtarzane.

Kosygin wprawdzie nie obiecał sowieckiej ludności „prześcignięcia Ameryki“, ale widoki 5-latki 1966-70 wypadły mu także w różowym świetle. Ogólna produkcja ma wzrosnąć o 40%, dochód narodowy o 38—40%, a indywidualny „na głowę“ o 30%. Mimo, że ciężki przemysł z powodu sytuacji międzynarodowej i „agresywności amerykańskich imperialistów“ zachowa pierwszeństwo, obywatelom sowieckim także obiecano niemało. Przede wszystkim 2 do 2½ milionów nowych domów mieszkalnych na wsi i 480 m. kw. nowej przestrzeni mieszkalnej w miastach, co ma wystarczyć łącznie na 65 milionów ludności; ponadto premier sowiecki zapowiedział ułatwienia dla budownictwa prywatnego. Po wtóre, obiecał ogromne zwiększenie produkcji dóbr konsump-

cyjnych z 18½ milionami telewizorów i tyłomaż lodówkami na czele, wreszcie apelował o zwiększenie produkcji rolnej o 25%.

Zobaczymy, kto i kiedy z kolei będzie wymyślał parze Breżniew—Kosygin za niepowodzenia ich pięcioletki! Czy długo ostoi się „zbiorowe kierownictwo“, tak odbiegające od tradycji Kremla i sprzeczne z naturą moskiewskiej, białej czy czerwonej, tyranii?!

#### SPÓR MOSKWA—PEKIN

W zakresie stosunków Moskwa—Pekin XXIII kongres nie tylko nie doprowadził do zapowiadanej rozgrywki, ale ze strony Kremla stał się okazją nowej próby pojednania. Było to niespodzianką, ponieważ bezpośrednio przed tym prasa zachodnia reklamowała tajny list partii sowieckiej do „bratnich partii“, w którym postawiono jakoby „towarzyszom chińskim“ ciężkie zarzuty m.in. „imperialistycznego i drobniemieszczkańskiego nacjonalizmu“, na co Pekin odpowiedział powtórzeniem oskarżeń Moskwy o „rewizjonizm“, „współpracę z imperialistami amerykańskimi“ itp. Rozpuszczano też pogłoski, że z okazji moskiewskiego kongresu dojdzie do światowego zjazdu komunistycznego pod hasłem pomocy dla Wietnamu, na którym Kreml zaproponuje wyklęcie partii chińskiej.

W rzeczywistości, nie tylko do tego wszystkiego nie doszło, ale Breżniew w wielkim referacie wstępnym wyraził gotowość spotkania z przedstawicielami Pekinu, nawet wyjazdu do „chińskich towarzyszy“ celem wyrównania różnic i następnie dopiero zwołania światowej konferencji partyjnej. Kontrast między informacjami, rozpuszczonymi przez prasę w tej sprawie, a rzeczywistością jeszcze raz potwierdził, jak mylnym jest trop zachodnich dociekań istoty sporu Moskwy z Pekinem.

Zdzisław Stahl

### POPIERAJ POLSKIE FIRMY

LWÓW
1782
WIEDEŃ

# J. A. BACZEWSKI

WÓDKI I LIKIERY  
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI  
ST. BERNHARD  
Likier ziołowy



KRUPNIK  
STARKA

WIŚNIAK  
WIŚNIOŹKA

**J. A. BRUCE & CO.**  
9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W. 7.  
Tel. FRE 5808  
(Koło stacji kolejki podz. Gloucester Road)

# Polska w dzierzawie „Pozytywnych Bohaterów“

„Wciórności“ — mawiał w takich wypadkach mój przedwojenny sąsiad, majster z warszawskiej gazowni miejskiej. Te „wciórności“ były wszystkim: przekleństwem, krytyką i programem działania. Myślę, że chyba podobnie musiałby zareagować na artykuł Andrzeja Magdonia z „Gazety Krakowskiej“, zatytułowany „D o s y ć“.

Nie będę streszczał artykułu, lecz od razu powiem w rzecz. Idzie mianowicie o bezkarność komunistycznych działaczy partyjnych, którzy latami jawnie rozkradają mienie publiczne, a włos nie spadnie im z głowy, bo przeciętny obywatel lęka się nawet zwrócić na te niegodziwości uwagę.

Otóż Andrzej Magdoń napisał swoje „D os y ć“ pod adresem partyjnej szajki złodziejskiej z Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni w Dąbrowie Tarnowskiej. Szajka działała wiele lat i nie tylko miasto, ale nawet władze spółdzielcze i partyjne w województwie także dobrze wiedziały jak działa. Dopiero gdy nadużycia przekroczyły ogromną, jak na ten biedny powiat, sumę 2 milionów 600 tysięcy złotych, władze partyjne stwierdziły, że „przebrała się miarka“ i winnych, z prezesem spółdzielni i członkiem powiatowej egzekutywy partyjnej na czele wylały i z partii i ze spółdzielni.

Godny uznania jest fakt, że wzięto się za łobuzów: wylano, ale dziwniejsze jest przy tym to, że nie pociągnięto ich do prawdziwej odpowiedzialności, bo nie się nie mówi o sprawie sądowej. Wszystko wygląda na to, że sprawa została automatycznie załatwiona w drodze kary partyjnej. Kto wie, może to na ludowo-komunistyczne stosunki rzeczywiście najwyższy wymiar kary. Przecież w ten sposób „zasłużonych towarzyszy“ — jak ich ciągle jeszcze nazywa „Gazeta Krakowska“ — pozbawiono możliwości łatwego i wygodnego życia. Jednego tylko, radcę prawnego spółdzielni, podobno najbardziej w tym wypadku „zasłużonego towarzysza“, Marccelego Weissbarda, skierowano pod opiekę prokuratury. Zasłużył sobie na to wyróżnienie wyjątkowym wyrobieniem obywatelskim, bo jako przykładowy i wieloletni budowniczy Polski Ludowej, gdy już dyscyplinarnie został zwolniony ze stanowiska radcy prawnego Spółdzielni Powiatowej, nie rozstał się mimo wszystko ze swoimi obowiązkami, lecz „podjął się służyć spółdzielni poradą bez wynagrodzenia... w czynnie społecznym“. I gdzie tu sprawiedliwość

ludowo-gomułkowska? Taki wzór cnót komunistycznych oddano w ręce prokuratora!

Jak można zlekceważyć tak budujący zaiste przykład obywatelskiej obowiązkowości, godny chyba uczczenia medalem Budowniczego Polski Ludowej I Klasy. Nic też dziwnego, że przy takim poświęceniu ideowo-partyjnym „miał w mieście opinię człowieka, który ‘dużo może’, a dla niektórych nawet takiego, ‘który wszystko może‘. A tu masz babo placek!

Ale jak to mówią: „Dopóty dzban wodę nosi póki się ucho nie urwie“. Za dużo i za długo chciał dzban wodę nosić i ucho nie wytrzymało. Podobno o generalnej czystce w komitecie powiatowym PZPR w Dąbrowie Tarnowskiej zdecydował osobiście własnym autorytetem moralnym sam pierwszy sekretarz wojewódzki PZPR. Powiedział: „D os y ć!“ — i koniec. Później mógł już to powiedzenie powtórzyć w „Gazecie Krakowskiej“ nawet Andrzej Magdoń. Szkoda tylko, że nie powtórzył argumentacji, na podstawie której pierwszy sekretarz wojewódzki partii, który też niejedną samowolę ma na wysłużonym sumieniu, zdecydował się na ten wyrok. A argumentacja była rzeczywiście ciekawa.

Gdy odpowiednio uhonorowani łapówką protektorzy z komitetu wojewódzkiego partii bronili „zasłużonego towarzysza“ radcę Weissbarda i niemniej „zasłużonego towarzysza“ Władysława Gabiga, prezesa spółdzielni i kierownika 35-osobowego gangu przestępców, że to przecież „swoi ludzie“ i należy im się wyrozumienie, bo niejedno dla Polski Ludowej zdziałali, sekretarz wojewódzki, pan życia i śmierci na wojewódzkim folwarku — warknął: „Wiem“. A w wyjaśnieniu nieodwołalnej decyzji dodał: „Ostrzegałem durniów, że dalej tego tolerować nie będę, bo przecież oni nazbyt zwracali na siebie uwagę, tymbardziej, że niejedno mieli na sumieniu. Gabigowi, gdy mnie, sekretarzowi województwa, ośmielił się zwrócić uwagę, że ja też nie wszystko robię według prawa, powiedziałem krótko: — „Milcz i uważaj na siebie. Ja się trzymam partii na grubej linii, a ty nieboraku jesteś podwiązany na lichej — i to już w dodatku naderwanej nitce. Jak się urwie — nie będę ratował. Dlatego właśnie dosyć!“

No, cóż, urwała się nitka i Gabig leży. Czy będzie siedział — jak już

wspomniałem — na razie niewiadomo. Może ma jeszcze jakieś inne chody poza sekretarzem wojewódzkim. Może go podeprze w trudnej chwili jakaś można, braterska dłoń ze ZBoWiD-u? Może nawet wylądować w innym województwie na jakiejś lepszej spółdzielni. Znamy takie cuda, znamy. No, bo „Gazeta Krakowska“ pisze wyraźnie: „W Dąbrowie Tarnowskiej partia powiedziała dosyć!“ Jak jest w innych powiatach — niewiadomo. A raczej wiadomo, jest tak, że ci, co zgrają się w jednej miejscowości, wędrują odgrywać się do innej. Przecież w Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni w Dąbrowie Tarnowskiej też przychodzili tacy, co to już byli karani gdzie indziej, ale jako „swoich“ bez szemrania przyjmowano do gangu. Wiadomo: „swoi“ wypróbowani i „zasłużeńi towarzysze“. Nie na próżno wewnętrzno-partyjne hasło PZPR głosi: „Żyj sam i daj innym żyć“. A hasło partyjne dla prawdziwego komunisty — rzecz święta.

Pocziwiina Andrzej Magdoń, gdy usłyszał to „D os y ć!“ z Dąbrowy Tarnowskiej, popadł w euforię i w uniesieniu napisał: „Niech t o „dosyć“ usłyszą wszyscy, którym się wydaje, że zasada „żyj i daj innym żyć“ — jest najlepszą życiową maksymą: wszyscy, którzy myślą, że dostali kawałek Polski w dożywotnią dzierzawę“.

Oj, poniosło Andrzeja Magdonia, poniosło, chociaż z tą teorią Polski w dzierzawie ma całkowitą rację. Przecież i w Dąbrowie Tarnowskiej wykrycie wieloletnich nadużyć stało się możliwe dopiero wówczas, gdy przyzwoliła na to Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej, która działała wspólnie z wymienioną na drugim miejscu Komisją Najwyższej Izby Kontroli. Sama Najwyższa Izba Kontroli Państwa nie mogła działać i kontrolować bez przyzwolenia odpowiedniej instancji partyjnej. Wiadomo, taka jest praworządność ludowa. Poszczególnym pełnomocnikom partii wydaje się naturalnie, że każdy z nich ma „swoją kawałek Polski w dożywotniej dzierzawie“.

A swoją drogą chciałbym wiedzieć na pewno, czy „zasłużonym towarzyszom“ z sitwy PZPR niteczki podwiązania urwały się na dobre czy też tylko dostaną teraz w dzierzawę inne kawałki Polski.

Smutna Twoja dola, biedna Ojczyzno! Niszczą Cię i rozkradają podli dzierzawcy z PZPR-owskiego „czynu społecznego“.

# EPOPEJA PASJĄ SKAŻONA

## I.

Jeśli dobrze pamiętam, Józef Mackiewicz wydał w powojennym 20-leciu, poza pracą o Katyniu, siedem książek („Droga donikąd“, „Karierowicz“, „Kontra“, „Sprawa pułkownika Miasojedowa“, „Pod każdym niebem“, „Zwycięstwo prowokacji“ i „Lewa wolna“). Żadna nie wzbudziła takiego zainteresowania, najbardziej sprzecznych opinii i tak daleko idących pasji, jak ostatnia\*).

Posypały się recenzje, bez zastrzeżeń niemal uznające „Lewa wolna“ za wielką powieść: Hemara w „Tygodniu Polskim“, Chmielowca w „Wiadomościach“, Karola Zbyszewskiego w „Dzienniku Polskim“... Największym entuzjastą okazał się Hemar, bez wahania przyznając Mackiewiczowi wielkoetnomańską buławę w Rzeczypospolitej polskiej prozy. Przy okazji spostonowani zostali Sienkiewicz i Żeromski, na drugi plan odstąpić musiała Maria Dąbrowska. A jednocześnie powieść wywołała oburzenie i protesty. Z wielu stron zgłoszono ostre zarzuty, że autor szkaluje polską przeszłość, że w krzywym zwierciadle przedstawia rok 1920, a najbardziej Józefa Piłsudskiego.

Przyznać zresztą trzeba, że lektura tej książki dla ludzi, którzy swoją służbę żołnierską w owym okresie zachowują w pamięci jako rzecz najdroższą, przyjemna nie jest, czy jednak akcje zbiorowe przeciw książkom, z tych czy innych powodów, dla tych czy innych osób niemilym, stanowią właściwszą formę reakcji?

Zawsze znaleźć się może ktoś skłonny do wystąpień kontrowersyjnych i obrażających uczucia innych. Wdrażanie za każdym krokiem postępowania inkwizycyjnego do niczego nie prowadzi, a raczej prowadzi do steroryzowania wolnej myśli. Lepiej oszczędzić jednego heretyka, niż stwarzać groźne precedensy, mogące w końcu zamknąć usta najbardziej sprawiedliwym. Zamiast wyklinać uroczycie z ambony, lepiej w publicznej dyskusji wykazać heretykowi, że nie ma racji.

## II.

Książka ma określoną tezę polityczno-historyczną, wyrażoną dobitnie już w samym tytule. „Lewa wolna“ — to

\* Józef Mackiewicz: „Lewa wolna“ Powieść. Polska Fundacja Kulturalna. Londyn 1965.

nie tylko wciąż powtarzająca się w marszu wojskowa komenda, to również w dwóch słowach wyrażona ocena polskiej polityki w latach 1919-20. Polacy — zakłada Mackiewicz — mogli zgnieść bolszewizm na spółkę z rosyjską kontrrewolucją i nie uczynili tego, gdyż Naczelny Wódz wołał mieć do czynienia z Rosją „czerwoną“ niż z „białą“. Okrzyk „lewa wolna!“ oznacza więc wolną drogę dla bolszewików, najpierw — w 1919 r. — przeciw Denikinowi, następnie — w 1920 r. — przeciw Wranglowi.

Kto na takie postawienie sprawy oburza się dopiero teraz, spóźnił się dość znacznie. Mackiewicz nigdy nie ukrywał swego stanowiska, precyzował je wiele razy, w „Zwycięstwie prowokacji“ poświęcił tej sprawie cały obszerny rozdział. „Lewa wolna“ jest w gruncie rzeczy rozwinięciem i uzupełnieniem tego rozdziału. Jakoś tego, widać swego czasu nie dostrzeżono

Przed dwoma laty dyskutowałem obszernie z Mackiewiczem na łamach „Wiadomości“. Ponieważ omawiana powieść dostarcza więcej materiałów i nowe argumenty, wypada polemikę podjąć na nowo. Chodzi o odpowiedź na trzy zasadnicze pytania. Po pierwsze, czy uderzenie na prawe, zachodnie skrzydło Czerwonej Armii mogło zdecydować o ostatecznym pogromie bolszewików (autor twierdzi, że musiało); po drugie, czy w rok później, w jesieni 1920 roku, możliwe było dalsze prowadzenie wojny, i po trzecie, czy Piłsudski w owym czasie był istotnie tak wszechmocny, jak sugeruje Mackiewicz („człowiek w tej chwili najpotężniejszy w Polsce“, str. 424, „mógłby dyktować takie warunki, jakie by mu się spodobały“, str. 445). Czy odpowiedź na te pytania może być jednoznaczna i kategoryczna? Autor „Lewa wolna“ jest w swych ocenach bezapelacyjny.

Zapomina jednak o wielu rzeczach. Przecenia siłę ofensywną Denikina, gdy pisze, że polskie uderzenie od Mozyrza przesądziłoby o zajęciu Moskwy. Mackiewicz sypie datami i nazwami jak z rękawa: „29 lipca Denikin zajmuje Połtawę; z początkiem sierpnia uwalnia od bolszewików Nikołajew, Chersoń, Odessę; 10 sierpnia konny korpus generała Mamontowa przerywa front... 18-go zajmuje Tambow, 23-go Kozłow... Korpus generała Kutiepowa zajmuje Kursk...“ itd. itd.

Otóż były to przeważnie kawaleryjskie zagony, które terenu utrzymać nie mogły. A przy tym zwróćmy uwagę na nazwy miejscowości: Nikołajew, Chersoń, Odessa... Dlaczego to rozdrabnianie sił, rzucanie się na wszystkie strony, odrywanie całych pułków i brygad od głównego kierunku uderzenia? Pchano się na prawobrzeżną Ukrainę, a przeciw koncentracji bolszewickiej na północy zabrakło sił; doborowa brygada dońska krwawiła w nonsensownych walkach z Czezeńcami, na najgłębszych tyłach Ochotniczej Armii, a koło Woroneża, na najważniejszym odcinku wytworzyła się dziura; wieszano kubańskich separatystów i w konsekwencji przegrano kluczową operację pod Carycynem.

Co była warta ta ofensywa, okazało się dowodnie po zajęciu Orła. Pierwszy silniejszy opór, utrata dotychczasowego rozpędu i wszystko potoczyło się z powrotem. Mackiewicz wkłada w usta Kutiepowa beztroskie słowa: „Trzeba było rozbić Łotewską dywizję, iść na Moskwę. Poza Łotewską nie mieli oni przed Moskwą nic...“ Owszem, mieli. Chociażby kawalerię Budiennego, która łatwo spod Woroneża mogłaby uderzyć na Kutiepowa od wschodu, zostawiając w spokoju grupę generała Mamontowa, zajęta od przeszło miesiąca głównie rabunkiem i wieszaniem jeńców. Chociażby tuskich robotników i oddziały partyjnych komunistów, organizujące się w Moskwie. Mackiewicz wciąż powołuje się na bolszewickie odezwy, bijące na alarm, jako na dowód słabości. Czy nie zauważył w nich także zacieklej determinacji prowadzenia walki do upadłego? Do Moskwy nie wystarczyło dojść, trzeba ją było jeszcze zdobyć.

Że poza siłami, skierowanymi przeciw Denikinowi, bolszewicy rozporządzali pewnymi rezerwami, mamy dowód np. w operacji dyneburskiej, przeprowadzonej w chwili, gdy walka na południu osiągnęła punkt kulminacyjny. Nie chcę przesądzać o wynikach ewentualnej ofensywy polskiej w jesieni i w zimie 1919 roku, sądzę jednak, że nie byłaby zwykłym spacerem, jak tego chce Mackiewicz, któremu, gdy chodzi o udowodnienie jakiejś tezy, wszystko wydaje się dziecinnie łatwe.

Ale przenieśmy się o rok później. Jest już po bitwie niemeńskiej. „Tereny na północ od Prypeci — pisze Mackiewicz — na całej przestrzeni Białorusi, ogołoczone były z przeciwnika, dro-

gą na Moskwę stała otworem przed wojskiem polskim, którego ogólna siła wynosiła w tej chwili przeszło 900 tysięcy bagnatów i szabel...“ (str. 404). „Przed milionowym wojskiem polskim droga na stolicę rewolucji leżała, praktycznie, otworem...“ (str. 410).

Nawet w fantazjowaniu trzeba zachować jakiś umiar. Cóż za efekt: milionowa armia! Chyba na papierze, wliczając w to etapy, urzędy wojskowe w Warszawie, rannych i chorych po szpitalach, lekarzy, może nawet siostry miłosierdzia... Na froncie liczy się jednak tylko żołnierz liniowy. O wojnie polsko-bolszewickiej istnieje bogata literatura, którą nie trudno skonfrontować. Różnicę w ocenach stanów bojowych obu armii, u Piłsudskiego z jednej strony, u Tuchaczewskiego i Siergiejewa z drugiej, są stosunkowo niewielkie. Zmarły niedawno angielski pisarz wojskowy, Fuller, przyjął na ich podstawie, że przed bitwą warszawską armia polska liczyła około 120 tysięcy szabel i bagnatów, sowiecka — od 160-ciu do 170-ciu. Jakże to stało się, że w dwa miesiące później jedna armia urosła do miliona, zaś druga niemal zupełnie przestała istnieć? Niepojęte tajemnice dialektyki!

A jaki był stan tej rzekomo milionowej armii? Jej zaopatrzenie, stan apro wizacji, uzbrojenie, zapasy amunicji? Jak wyglądało jej zaplecze? Zrujnowany, zniszczony kraj i znużone, żądające pokoju społeczeństwo. Pisarz-realista musiałby wziąć pod uwagę także i te czynniki. Ale pasja w służbie z góry powziętej tezy nawet realistom odbiera jasność widzenia. Tak właśnie stało się z Mackiewiczem.

A znowu we wszechpotęgę Piłsudskiego w owym okresie może uwierzyć tylko ktoś, kto nie wie, co działo się w rządzie, w sejmie, co pisała prasa określonego autoramentu. Ładny mi „wszechmocny człowiek“, który musi tolerować rzucane publicznie najgorsze wyzwiska i oszczerstwa! Że też i tego autor „Lewa wolna“ nie zauważył!

W jednym Mackiewicz ma rację. Piłsudski i jego otoczenie nie dowierzali „białym“ generałom i nie życzyli im zwycięstwa. I mieli po temu poważne racje. Mackiewicz określa to jako kompleks antyrosyjski, czy też raczej antybiało-rosyjski. Jeżeli nawet był to kompleks, trzeba przyznać, że gorliwie i skutecznie podsyćany przez Denikina.

I tu autor powieści popełnia zasadniczy błąd perspektywistyczny. Patrzy na wydarzenia sprzed prawie półwiecza oczami człowieka dzisiejszego, mającego za sobą wszystkie doświadczenia naszych czasów. W roku 1919 nie było tak łatwo zorientować się, co wyrosło z rewolucji bolszewickiej. Opinie, jakie

autor każe na ten temat wygłaszać, np. wujowi Jerzemu, to oczywisty anachronizm à rebours: tak ludzie w Polsce ówczesnej nie rozmawiali.

Piłsudski nie wybierał między „czernymi“ i „białymi“, nie chciał wybierać. Pertraktował z jednymi i drugimi, nie poszedł z nikim. Wiedział chyba dobrze od Karnickiego i od innych, jakie są nastroje w Taganrogu, Rostowie, Jekaterynodarze. Gdy na bankietach pito nie tylko za zwycięstwo nad bolszewikami, ale i na zglubę „grabarzy wielkiej, jedynej, niepodzielnej Rosji“, zaliczając do tego towarzystwa również Polskę; gdy w prasie „białego ruchu“ popisywała się „czarna sotnia“ w najgorszym wydaniu; gdy Denikin odrzucił ofertę pomocy rumuńskiej, nie zgadzając się na odstąpienie Besarabii, zaś Wilno uważał za „odwieczny rosyjski gród“, — czegoż można było spodziewać się po zwycięstwie kontrrewolucji? Mackiewicz te rzeczy niby dostrzega, ale ich w dostatecznym stopniu nie uwypukla.

I czy konflikt zbrojny z Rosją „białą“, zwycięską nad bolszewizmem z polską pomocą był z góry wykluczony? Jeżeli imperialistyczny szowinizm uderzył do głów w Taganrogu, gdy pod kopytami kozackich koni nie było jeszcze ani jednej piędzi ziemi. rosyjskiej, to jakby to wyglądało w zdobytej Moskwie „białokamiennej“? Czy trudno było, sięgając pamięcią w głąb historii, postawić znak równania między bolszewickim „Dajosz Arsawu!“ i surowskim, krwią Pragi przypieczętowanym — „Warszawa u stóp Waszej Cesarzkiej Mości“?

Rentierzy francuscy byliby niezmiernie zadowoleni; kupony od milionów złotych franków, wpakowanych w Donbas i Ural, warte były więcej niż „Pollogne malheureuse“. Tak czy owak trzeba by było fabrykować „Cud nad Wisłą“. Piłsudski dobrze widział taką ewentualność i stąd jego zimna rezerwa. A że nie przewidział do jakich apokaliptycznych rozmiarów spuchnie bestia komunistyczna? Kto ówczesnie przewidział? Chyba wspomniany już wuj Jerzy, coż kiedy jego jasnowidztwo pojawiło się na kartach powieści dopiero w roku 1965!

### III.

Piłsudski dostał w „Lewa wolna“ za swoje. Nigdy nie byłem zwolennikiem hagiografii i krytyczny stosunek do największych nawet postaci historycznych wydaje mi się najbardziej normalnym zjawiskiem. Ale krytyczne sądy mają sens tylko wtedy, gdy oparte są o dokładną znajomość przedmiotu.

Obawiam się, że Mackiewicz nie zna

w dostatecznym stopniu ani życia twórcy Legionów ani jego pism. Znowu trzeba zacytować wuja Jerzego. Postać powieściowa może wyrażać poglądy autora, ale nie musi, należy więc postępować z tym bardzo ostrożnie. W tym wypadku jednak i właśnie gdy chodzi o Piłsudskiego, Mackiewicz z pewną systematycznością wysuwa wuja Jerzego, przeciwstawiając go wujowi Stefanowi w ich wiecznych dyskusjach. Może więc nie będzie nadużyciem, jeśli tego wuja Jerzego uznamy za portret autora. Posłuchajmy zatem jak nasz uniwersalny wujaszek charakteryzuje Piłsudskiego.

„Cały ten federalizm Piłsudskiego, o którym się tyle mówi, w treści swej wywodzi się nie od żadnej „idei Jagiellońskiej“, lecz od „Lelewelizmu“. — Od czego? — zmarszczył się wuj Stefan, nie dosłyszawszy. — Od Lelewela, od Bolesława Limanowskiego, od socjalistycznej recepty rozwiązania tego problemu, a adoptowanej dziś przez PPS. Chętnie przyznaje: żadnego szlacheckiego romantyzmu, żadnego „Mohortyzmu“ nie ma w tym cienia. Zgadzą się. Ale też i realizmu nie więcej niż zawiera sucha, socjalistyczna doktryna“.

W tym miejscu słyszę jak wszyscy marksiści wybuchają szczyderczym śmiechem, I zdaje się, że ten śmiech skierowany jest nie tylko pod adresem wujaszka Jerzego.

Awansowany lekką ręką na socjalistycznego doktrynera, Piłsudski został jednocześnie odarty z laurów wojennych. Gdy jednak bierze się kogoś na łożo Prokrusta, należy przedtem dowiedzieć się, kto zacz. Mackiewiczowi wymknęło się takie krótkie zdanko: „Jeżeli (Piłsudski) interesował się później sztuką wojenną...“ To „jeżeli“ świadczy, że autor nie zna pism krytykowanego wodza. Gdyby znał, wiedziałby, że „interesował się sztuką wojenną“ i „później“ i wcześniej, poświęcając między innymi dużo uwagi wojnie rosyjsko-japońskiej i pierwszej bitwie nad Marną (świetna analiza właśnie oskrzydającego manewru von Klucka). Mackiewicz nie o tym najwidoczniej nie wie, ale postanowił zabawić się w stratega i nawet zilustrował swoje uwagi odpowiednią mapką.

W streszczeniu wygląda to następująco. Przeciwwuderzenie znad Wieprza nie stanowiło żadnej oryginalnej koncepcji strategicznej, lecz było rozwiązaniem najbardziej elementarnym. „Operacja — pisze — narzucała się sama przez się zarówno generałowi Rozwadowskiemu, jak generałowi Węygandowi, jak innym oficerom sztabu“ (str. 344). A w ogóle, świadomie czy nie, była dosłownym powtórzeniem manewru rosyjskiego z października 1914 roku,

tyle że w odwróconym kierunku. Z tą jeszcze różnicą, że manewr polski doprowadził do rozgromienia Czerwonej Armii.

Przede wszystkim błąd informacyjny. Generałowi Weygandowi „elementarne rozwiązanie“ wcale się nie narzuciło, był on, jak wiadomo, zwolennikiem całkowitego wycofania się za Wisłę. Jeżeli zaś Piłsudski chciał kogoś naśladować, to miał przed sobą niebyłejaki wybór. Klasyyczny manewr uderzenia na odsłonięte skrzydło zastosował już Aleksander Macedoński w bitwie pod Arbelą (Gaugamelą); Fryderyk II stosował to samo w różnych wariantach i prawie zawsze z powodzeniem (Praga, Kolin, Leuthen, Rossbach); nie inaczej postępował Napoleon (Austerlitz). Jeśli chodzi o polskie tradycje wojenne, mógł Piłsudski pamiętać o manewrze Chodkiewicza pod Kircholmem. Przykładów nie brakowało.

I zawsze chodziło o manewr niesłychanie prosty. Wszystko co genialne jest bardzo proste. Tylko trzeba było ten manewr dostrzec w odpowiedniej chwili, powziąć decyzję i wykonać we właściwym czasie, zaskakując przeciwnika. Właśnie ta synchronizacja: rozeznanie sytuacji, decyzja, wykonanie. Wszystko jest dziecinnie łatwe, ale post factum. Ile takich „elementarnych“ manewrów zmarnowali w tysiącu bitew całkiem nienajgorsi wodzowie — wiedzą najlepiej historycy wojskowi.

Bitwa warszawska stanowczo się Mackiewiczowi nie udała.

#### IV.

Ale ma to być przecież recenzja z powieści. Otóż to! Czy naprawdę powieść, naładowana wtrętami historyczno-publicystycznymi, czy też raczej traktat, zilustrowany materiałem beletrystycznym? Na przeszło 450 stron druku dzieje wojny polsko-bolszewickiej i rozważania na jej temat zajmują ponad sto stron, a więc prawie jedną czwartą całości. Do tego dochodzi ze trzydzieści stron, wypełnionych dyskusjami, prowadzonymi na ten sam temat przez postacie powieściowe.

Proporcja nie jest tu najważniejsza. Ważne jest, że sam autor położył największy nacisk na wydarzenia wojenne i ich sens polityczny. Wytoczył proces przed trybunałem historii, kolejno chwytając w światło reflektora osoby, posiadające na ławie oskarżonych. Zgromadził mnóstwo materiału dowodowego. W roku nie wydaje, ale go wyraźnie sugeruje. Nie sili się na chłodny dystans, przeprowadza swoją tezę z najwyższą pasją, z bezpośrednim zaangażowaniem, jakby to działo się zaledwie wczoraj.

B.D.I.C

Niestety, między ową tezę a ilustracją beletrystyczną nie ma równowagi. W „Kontrze“ mieliśmy do czynienia z podobnym mechanizmem, ale tam równowaga była utrzymana bezbłędnie, historia i beletrystyka uzupełniały się nawzajem, stopione w związku organicznym. Tragedia społeczności kozackiej przeglądała się wiernie w dramatach osobistych.

W „Lewa wolna“ nie widzę tej organicznej równowagi. Mackiewicz porwał się na wielkie malowidło epickie, ale jego bohaterzy wyskakują z historycznego tła ku marginesom, bo są dobrani zbyt przypadkowo, nie uzupełniają się dostatecznie. Nie przeczę — są autentyczni, Mackiewicz nigdy nie wycina ludzi z papieru, ale — jakby powiedział marksista i w tym wypadku miałby słusność — nie są dostatecznie typowi.

Oto charakterystyka szwadronu, w którym wojuje Karol Krotowski: „Byli między żołnierzami starzy żołnierze, którym po czterech latach wojny iść było donikąd, byli gimnaziści, porwani batalistyczną literaturą dla młodzieży, byli inteligenci różnego stopnia, z patriotycznego powołania; wielkomięskie andrusy, wiejscy parobczacy, synowie szlacheckich rodzin ziemiańskich, dla których służba w kawalerii stanowiła tradycję rodową; kilku zabłąkanych kozaków; Rosjanie i jeszcze wielu różnego autoramentu“.

Autorament różny, to prawda. Tylko że nie każda pstrokaczna daje pełną gamę kolorów, I nie ma powodu by wątpić — na pewno tak było. W dobrze określonej, znanej autorowi z autopsji jednostce. Ale dość przypadkowa zbieranina w jednym szwadronie nie daje przekroju całej armii. Gdyby chodziło o zwykłą powieść wojenną — w porządku. Tu mamy do czynienia z zamierzeniem o wiele bardziej ambitnym: z próbą epickiego obrazu przełomowych lat. I brak większego zróżniczkowania staje się grzechem; tak jakby ktoś szkicując piórkiem w notesie, chciał tymi notatkami wypełnić rozległą panoramę.

Upierną wypieł: niedostateczna typowość. Nietypowe są te młokosy, częściowo zrusyfikowane, nazbyt już cyniczne i zalatujące na każdym kroku odrem taniego domu publicznego; nietypowa narwana Zosia, co nie znaczy nie autentyczna, ale prosząca się o jakieś kobiece przeciwstawienie czy uzupełnienie; nietypowy Jan Wintowt, którego czekistowską karierę przyjmujemy na wiarę, bez przekonania, bo zabrakło nam uzasadnienia jego decyzji.

Mackiewicz sam wystawił się na te zarzuty: im ambitniejsze zamierzenie,

tym większe wymagania. W wielkiej wojennej epopei ludzie muszą mieć przecież jakiś czynny stosunek do dziejących się wydarzeń, a tu często niewiadomo, czego ci młodzi ułani właściwie chcą, o co się biją, po co poszli do szeregów. Nie żeby zaraz każdy miał codziennie czyścić i poić konia, z „Jeszcze Polska nie zginęła“ na ustach, ale zbyt często odnosimy wrażenie, że z wyjątkiem nielicznych wariatów, całe to wojsko stanowi całkowicie bezideową bandę, każdą rozmowę nieodmiennie sprowadzającą do wiadomych szczegółów anatomicznych.

I trudno oprzeć się wrażeniu, że ta marginesowość nie jest przypadkowa, że wynika z góry powziętej, pasją polityczną podszytej tezy. Lew Tołstoj — takie wymagania to i takie zestawienia! — zachorował na antynapoleońską „historiozofię“ dopiero w ostatnim tomie „Wojny i Pokoju“; Mackiewicz od samego początku wciąż wyciąga z kieszeni swoją tezę, jak nieodstępną chustkę do nosa. A teza nie pasuje ani do ludzi ani do wydarzeń.

Z widocznym przekąsem autor cytuje odezwę, wydaną w Warszawie przez PPS: „Polska walczy nie z bolszewikami, nie z władzą sowiecką, ale z Rosją! Z całą potęgą dawnego państwa carów; Ideom Trockiego i Brusilowa musimy przeciwstawić wolną ideę polskiego ludu pracującego!“ Z przekąsem, bo według mackiewiczowskiej tezy, odezwa powinna była głosić walkę wyłącznie z bolszewizmem. Zapomina, że bolszewizm kojarzył się ludziom z Rosją, z Moskwą, ze starą carską opresją. Żołnierze w „Lewa wolna“ zawsze mówią „bolszewicy“ albo „czubaryki“. Czy Mackiewicz nigdy nie słyszał od nich słowa „Moskale“? Niewątpliwie, wyznawana przez niego, a zawieszona w historycznej próżni teoria, głosząca, że Rosja i komunizm to dwa zjawiska całkowicie rozbieżne, zaciążyła nad książką i zadecydowała o jej jaskrawej jednostronności. Stąd skaza antyepicka, pęknięcie zrodzone ze skrajnej pasji politycznej.

Czytamy pracowicie zgromadzone przemówienia Lenina, odezwy, rozkazy do Czerwonej Armii. Czasem w całości, kiedy indziej w urywkach. Autentyczne dokumenty, a jednak czegoś w nich brak... Gdyby Mackiewicz dołączył do swej kolekcji na przykład odezwę Trockiego, głoszącą, że „polscy panowie idą na Ukrainę, by przywrócić państwu“ albo kolorowy plakat, przedstawiający wieprza w kontuszu i rogatywe, z kartką w ryju, a na kartce „granice z roku 1772“; gdyby zacytował artykuły prasowe, odwołujące się nie do

rewolucji światowej, lecz do uczuć narodowych — „Kijów, macierz miast rosyjskich, zbeszczeszczona przez pysznych Lachów!“ — to by pewniej udźwignął całą, a nie tylko cząstkową prawdę o tych latach.

Teza, forsowana per fas et nefas, zmąciła nurt powieści zbyt wielką porcją politycznej demagogii i skłóciła ze sobą dwie rodzone siostry. Klio, muza historii, poslizgnęła się i weszła w paradę Kaliope, muzei epopei. Brak siostrzanej harmonii musiał się zemścić.

## V.

Wytknięto Mackiewiczowi plugawę słownictwo jego bohaterów. Czy rzeczywiście przesadził? Każdy powołuje się na własne doświadczenie. Pamiętam, że sztabacy z Przysposobienia Wojskowego klęli nieraz soczyściej, niż żołnierz na froncie. Taki to szczeniacki sznyt, żeby wydać się bardziej dorosłym we własnych oczach. We wrześniu 1939 roku miałem w szwadronie przeważnie chłopów spod Rzeszowa i Łańcuta; ci klęli najmniej, a już zupełnie było nie do pomyślenia, by używali plugawych słów nad trupem zabitego kolegi. Ale chętnie zgadzam się, że rozwydrzona zbieranina, wśród której obracał się ochotnik Krotowski, miała odmienny styl.

Tylko dlaczego te ich przekleństwa są takie monotonne, bez najmniejszego polotu? Przecież prawie wszyscy stosują przekleństwa rosyjskie. Nie zamierzam stawiać za wzór czarnomorskich marynarzy, których nasłuchałem się w dzieciństwie — ci byli niedoścignionymi mistrzami, ale przeciętny carski feldfelbel czy wachmistrz też mógłby w zestawieniu z ułanami Mackiewicza uchodzić za Cycerona. A tu żadnej krasomówczej inwencji, ciągle te same trzy, cztery słowa, w beznadziejnie jednostajnym układzie. Tak, ja też jestem zgorzszony, ale na inny sposób, zgorzszony brakiem malowniczości i lingwistycznej wyobraźni.

Osobny marginesik do czynienia krytycznych uwag to rusycyzmy. Mackiewicz zawsze miał skłonność w tym kierunku, a tym razem mocno przesoślił. Mamy rusycyzmy bezwiednie i całe zwroty rosyjskie, żywcem wtrącane w polski tekst. Gdy stara właścicielka żydowskiego hoteliku w Wilnie mówi „on był w takiej wojennej formie“, zamiast „w mundurze“, rzecz tłumaczy

się sama przez się — w pełni usprawiedliwiony koloryt lokalny. Natomiast narrator powinien wystrzegać się równouprawnienia rosyjszczyzny z polszczyzną. „Kończyki“ trawy, „gikanie“, „szpały“ zamiast podkładów albo progów kolejowych, no, można by cytować bez końca i jest tego stanowczo za dużo.

Zdarza się, że nawet bardzo wytrawny czytelnik, ale nie znający dość dobrze języka rosyjskiego, sprowadzony zostaje na manowce. Michał Chmielowiec w „Wiadomościach“ z całą dobrą wiarą przyjął słowa „z dumnie skaczącym na czele porucznikiem Lewkowiczem“, za dowód psychologicznego humoru autora. A to po prostu rosyjski „skaczuszczyj“ — galopujący na koniu („na borzom skaczuszczyj konie...“).

Osobista pretensja z innej nieco beczki — o zmltretowanie Aleksandra Puszki. Mimowolne, ale zmltretowanie. Zacytowana na str. 371 strofa z „Eugeniusza Oniegina“ („Uż niebo osiejują dyszą...“) została w przekładzie na polski dosłownie zmasakrowana. Prozaik nie ma obowiązku panowania nad wersyfikacją, ale można było dać to komuś do wygładzenia, a najlepiej sięgnąć do dobrego, a co najmniej poprawnego przekładu Adama Ważyka.

## VI.

Reasumując, uważam „Lewa wolna“ za książkę o tyle chybioną, że ambitny zamiar rozszedł się z realizacją. Mackiewicz jest pisarzem ostrym, nawet gwałtownym, o wielkiej odwadze cywilnej, nie liczącym się z żadną ustaloną hierarchią, bezkompromisowo wojującym o swoje prawdy, zaangażowanym aż do szpiku kości, więc nie powinien dziwić się, jeśli także i jego atakuje się na ostro.

A to wszystko nie zmienia faktu, że będąc utworem, którego epicka architektura zawiodła, „Lewa wolna“ jest książką bardzo wybitną. Świetne, niekiedy rewelacyjne w swej trafności sceny batalistyczne, kilkoma pociągnięciami pióra zarysowany pejzaż, ludzie pokazani bezbłędnie, w jednym urywku chwili jak w przelotnej błyskawicy; dobrze znane z uprzednich utworów zalety pisarskie pogłębiły się jeszcze, Mackiewicz jest tu jeszcze bardziej dojrzały, o absolutnej pewności ręki, panujący suwerennie nad wszystkimi zasobami swego niełatwego warsztatu.

Ale epopeji nie stworzył. Podcięła jej skrzydła w locie zbyt daleko idąca pasja publicystyczna. Szkoda!

Józef Łobodowski

**UKAZAŁ** się już przed paru miesiącami tom II-gi „Literatury polskiej na obczyźnie: „1940—1960“\*) i dotychczas nie widać jakoś recenzji o tym obszernym tomie, liczącym blisko 800 stron druku. Wydawało się, że dwa tomy „Literatury“ — łącznie około 1.500 stron druku — powinny być stanowić nielada wydarzenie wydawnicze i literackie na emigracji. Tymczasem o pierwszym tomie tej pracy pisano niewiele: na łamach paryskiej „Kultury“ łagodnie i nieco grzecznościowo B. Czaykowski, recenzja w „Ostatnich Wiadomościach“ w Niemczech zachodnich, zapowiedzi Hemara na łamach „Tygodnia Polskiego“, że rozprawi się krytycznie z tym wydawnictwem i oceny Bednarczyka i moja w „Kontynentach“ w r. ub. Ani zatem „Dziennik“ czy „Tydzień“, ani „Wiadomości“ nie zabrały głosu w sprawie tego tak ważnego wydawnictwa. Tom drugi czeka dalej na ocenę wszystkich niemal periodyków emigracyjnych — i pewnie czekać będzie jeszcze długo.

Skąd bierze się ta osobliwa powściągliwość krytyki wobec pracy, która stanowić miała chyba rodzaj pomnikowego dzieła o wysiłku emigracji? Przecież tak obszernej pracy nie miała za sobą literatura Polski niepodległej — podobnie jak nie pojawiło się wydawnictwo na taką skalę poświęcone 20-leciu literatury polskiej w PRL. Mało jest opracowań tak obszernych jeżeli chodzi o literatury innych krajów i to literatury bogate i mogące wykazać się nielada stawką pisarzy. „Literatura“ Terleckiego wydana została dużym sumptem i wysiłkiem, i oto krytyka emigracyjna nabrała wody do ust i nie zdradza zbytnej ochoty powiedzenia swojego zdania o tych dwóch ogromnych tomach.

Dlaczego się tak dzieje? Czy dlatego, że krytyka emigracyjna czuje, że jest to dzieło poronione, historia literatury tak, jak jej redagować nie należy i dlatego woli milczeć, aniżeli jasno i otwarcie wypowiedzieć swój sąd? Przypuszczać należy, że tu właśnie leży przyczyna „zmowy milczenia“ dookoła „Literatury“ Terleckiego. Jeżeli tak jest, to nie świadczy to najlepiej o odwadze krytyki emigracyjnej. Czyżby czekała ona aż krytyka krajowa wyręczy ją w zadaniu i zacznie mówić o tym olbrzymim wydawnictwie, o którym krytyka emigracyjna chciałaby jakby zapomnieć?

Ale takie próby przemilczenia składają tym bardziej ludzi, którym nie

\*) Pod redakcją dr Tymona Terleckiego, wydana staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Nakładem firmy B. Świdorski, Londyn, 1965.

**Czytaj książkę polską**

# Historia literatury i jak jej redagować nie należy

zbywa odwagi do wypowiedzenia sądu o książce, która miała wszelkie szanse na to ażeby stać się ważnym i poważnym wydarzeniem wydawniczym na emigracji.

\* \* \*

Tom II-gi tego wydawnictwa jest na pewno lepszy od pierwszego, który roił się od rażących błędów konstrukcji, układu, powtarzał i dublował robotę rozmaitych autorów, nie był w ogóle jakby komponowany, tylko ułożony bodaj na zasadzie kolejności napływania rękopisów. Tom drugi poświęcony jest prasie i publicystyce, ale zawiera prace, które nie należą do tego działu, jak np. doskonałą zresztą w ujęciu i najodważniejszą w ocenie robotą Marii Danilewiczowej, stanowiącą ciekawy rzut oka na literaturę emigracyjną. Kompozycja II-go tomu jest luźna, niektóre rozdziały — jak np. rozdział poświęcony książkom dla dzieci czy nekrologia są nadmiernie rozdęte, tej tzw. waty jest dalej n.elitościwie dużo, opracowanie Stefana Paprockiego, odnoszące się do literatury dokumentarnej w czasopiśmie jest nadmiernie rozbudowane i zbyt szczegółowe. Można by śmiało tom przykrócić i tylko wyszło by to temu tomowi na dobre — w sensie zwartości i czytelności całości pracy.

Najlepsze w tym tomie są opracowania dwóch piór kobiecych — jak się już rzekło p. Marii Danilewiczowej oraz Lidji Ciołkoszowej, która omawia publicystykę\*). Robi to w sposób sprawiedliwy, rzeczowy, nie forytując zbytnio nikogo, cytując co należy, — byłoby do poprawienia czy dodania tylko pewne szczegóły. Całość jest rzetelna, stanowi wzór tego, jak powinnyby wyglądać inne rozdziały: czyta się bowiem tę pracę gładko, daje ona pogląd na całość emigracyjnej publicystyki, nie gubi się w nadmiernych szczegółach i drobiazgach. Referat Stanisława Grocholskiego, który pierwotnie został włączony w pracę p. Ciołkoszowej, jest teraz wyodrębniony i okazuje się, że właściwie doskonale obyłyby się bez tego wkładu, albowiem nie przynosi on niczego specjalnie nowego; raczej stanowi zgłoszenie się czy rozszczenia do sławy publicystycznej ze strony ugrupowania, które nie miało

odrębnych publicystów do dyspozycji — albowiem najlepsze pióra tego politycznego ugrupowania były czynne tak czy owak i dały się poznać wcześniej, aniżeli powstała grupa „NID“. Szkoda, że zasada „bezpartyjności“ została naruszona: albowiem dodatek St. Grocholskiego przypomina nadmiernie osławione „klucze partyjne“, które upoważniają każde stronnictwo do takiego czy innego udziału czy wkładu. Ponieważ Lidja Ciołkoszowa uniknęła traktowania swojego rozdziału według tego klucza, szkic Grocholskiego wydaje się nie na miejscu.

Praca Kowalika, który jest na pewno największym fachowcem, jeżeli chodzi o prasę emigracyjną, wydaje się nadmiernie drobiazgowy — przez co obraz prasy emigracyjnej zamazuje się. Nie jest to lektura łatwa, sądy wypowiedziane raz po raz wydają się nie zawsze dobrze umotywowane. Na pewno był to wielki i ważny wysiłek, ale i tutaj przycięcie skryptu o 25 czy 30 procent wielceby się przydało. Zbyteczny natomiast wydaje się spory rozdział również Kowalika pt. „Bibliografia bibliografij“, który miesza istotne książki o charakterze bibliograficznym z wydawnictwami, które, przynajmniej na pozór, nie mają z tym nie wspólnego.

Tom II-gi jest lepszy od I-go, ale nie stanowi to jeszcze odkupienia dla zwalistej całości, dla tych 1.500 stron druku, które powinny być zredukowane do połowy, do jednego tomu o 600 czy 700 stronach, albo dwóch tomów po 350 stron druku każdy. Jakie fatalne grzechy ciąży nad tym wydawnictwem? Należałoby je ująć w taką oto krótką listę:

1) całość jest zbyt obszerna, albowiem nie było materiału aż tak bogatego, ażeby rozmieścić go na dwa wielkie tomy. Albo zatem kierowała tutaj redaktorem nadmierną wola tego, co Anglije zowią *showing off*, pokazania rozmiarów i ambicji tej literatury, przeciwstawienia jej literaturze w Kraju — albo też książka rozrosła się sama, pod ręką, pozbawiona czujnej kontroli redaktorskiej;

2) brak wglądu redakcyjnego i opieki redaktora sprawia, że bardzo wiele materiału powtarza się, że te same rzeczy czy utwory oceniane są raz w tym, raz w innym rozdziale; co sprawia, że czytelnik, który chciałby wyrobić sobie jakiś jasny sąd o autorach, skacze od oceny do oceny, nie potrafiąc sobie wytworzyć opinii. Innymi

słowy jesteśmy świadkami dublowania roboty, męczących powtórek;

3) dobór krytyków i autorów rozdziałów, nie jest najwłaściwszy. Narzuca się wniosek, że nawet na emigracji możnaby znaleźć lepsze pióra i że pióra rzeczywiście dobre — jak W. Weintrauba czy Maria Danilewicz, czy Lidja Ciołkoszowa — dodają tej kolosalnej pracy drożdży, smaku, krytycznego autentyzmu. Krytycy niewyrobieni, albo nieznanymi wypadli najgorzej i ich rozdziały są watowane i dęte;

4) układ obu tomów jest niewłaściwy albowiem pewne partie t. II-go — jak rzecz Danilewiczowej — powinny były pojawić się w t. I-szym. Nie widać w układzie obu tomów żadnej przewodniej myśli, żadnej logiki. Jest to odstraszcający przykład roboty redakcyjnej.

Historie literatury mają różne zadania: albo wymierzanie sprawiedliwości czy próbę jej wymierzenia pewnej epoce; albo informację, albo wolę oceny danego okresu, przewartościowania dawnych sądów — otóż żadnych z tych zadań nie spełnia literatura wydana przez Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Jest ona zaprzeczeniem tych wszystkich wymogów czy dezyderatów; nie jest książką „czytelną“ i książką do czytania — nie jest ona dla szerokich warstw, ani dla fachowców. Jest tylko materiałem, z którego kiedyś zespół inteligentnych krytyków pod wodzą redaktora o właściwszym podejściu — a nie wrzucającego rękopisy do jednego worka — potrafi nakreślić prawdziwy obraz literatury emigracyjnej przypuszczalnie na 300 czy 200 nawet stronach. Być może, że uda się to nawet jednemu, samotnemu krytykowi — może komuś z Kraju, kto po latach będzie mógł korzystać z pełnej swobody mówienia? Ale nie odwołując się aż do tak odległego trybunału i sądu stwierdzić należy, że gdyby redakcję tego zwalistego wydawnictwa objęły np. dwie kobiety, a zatem p. Ciołkoszowa i p. Danilewiczowa, albo gdyby redaktorem całości była ta ostatnia, to robotą całości przedstawiałaby się na pewno o wiele, wiele lepiej. Zatem wszystko sprowadza się do zagadnienia szefa i przywódcy: robota redakcyjna potraktowana została byle jak, jest puszczone i z braku istotnej kontroli i panowania nad tekstem, całość rozprzęgła się w niezorganizowane odruchy krytyczne — z których wiele cierpi na elephantiasis.

Zbigniew Grabowski

\*) Patrz omówienie nadbitki broszurowej pracy dr Lidji Ciołkoszowej napisane przez Stefana Wóycickiego w nrze lutowym br. „Orła Białego“.

Paryż, w kwietniu 1966.

**A**UTOR „Przeglądu polityki międzynarodowej“ w kwietniowym numerze „Orla Białego“, omawiając politykę gen. de Gaulle'a, pisze: „De Gaulle, jak wiemy, postulaty swoje wysuwał od roku 1958, nie otrzymując ze strony amerykańskiej nawet odpowiedzi“. Chodzi tu o postulaty w sprawie organizacji sojuszu atlantyckiego, a więc o głośny projekt prezydenta Francji (wówczas jeszcze szefa rządu) utworzenia „dyrektoriatu trzech“ (St. Zjednoczone, W. Brytania i Francja), który ustalałby globalną politykę sojuszników. Ja też przez długie lata popełniałem ten błąd i pisałem, że na ten projekt nie raczono de Gaulle'owi nawet odpowiedzieć, bo tak mało liczono się wówczas z Francją. Zresztą większość publicystów również była przekonana o tym zneglizowaniu projektów generala.

Sprawę wyjaśnił dopiero znany dziennikarz amerykański, David Schoenbrun, najpierw w serii artykułów ogłoszonych we Francji, a następnie w zupełnie świeżo wydanej książce o de Gaulle'u. David Schoenbrun śledził dzieje prezydenta Francji od czerwca 1940 r w Londynie do ostatnich lat, jako korespondent wielkiej sieci radia i telewizji amerykańskiej C.B.S. Należy on zresztą do zapalonych „gaullistów“, jakich dziś nie ma wielu wśród korespondentów prasy zachodniej.

De Gaulle wysuwał swe projekty dyrektoriatu w poufnych listach do prezydenta Stanów Zjednoczonych i częściowo (w odpisach) do premiera brytyjskiego. Publicyści zawsze mówili o jednym liście do prez. Eisenhowera, tymczasem okazuje się, że było ich cztery i de Gaulle kontynuował tę korespondencję z prez. Kennedym. Jest to jedna z jego ulubionych form dyplomacji na najwyższym szczeblu. Jednak dobre obyczaje dyplomatyczne wymagają, by korespondencji między głowami państw nie publikowano, ogłasza się najwyżej, co było jej treścią. Wszyscy wiedzą o istnieniu pierwszego listu de Gaulle'a do Eisenhowera z 17 września 1958 roku i nie jest tajemnicą co zawierał, ale Waszyngton go nigdy nie opublikował. Więcej; gdy komentatorzy zgodnie zaczęli twierdzić, że prezydent Stanów Zjednoczonych na ten list nie odpowiedział, ani Paryż ani Waszyngton tego nie sprostował —

choć odpowiedź była. A należało to raczej do Paryża, bo to francuscy publicyści i politycy tym brakiem odpowiedzi tłumaczyli dalszą negatywną wobec „Anglosasów“ politykę de Gaulle'a.

### ŚWIATOWE AMBICJE

Jak wynika z wypowiedzi Davida Schoenbruna amerykański State Department miał widocznie dosyć tego nieporozumienia i dał mu do wglądu korespondencję między dwoma szefami państw. Ciekawe, że nawet po jego artykułach progauillistowska prasa na ten temat głosu nie zabrała, jakby chciała utrzymać pierwotną wersję.

Pierwszy poufny list de Gaulle'a do Eisenhowera był wysłany, jak wspominałem, 17 września 1958 r., ale pierwszy „incydent“ amerykańsko-francuski powstał nieco wcześniej, bo 15 lipca 1958 r. gdy 5.000 „marines“ wylądowało w Libanie. Paryż czuł się dotknięty i prasa francuska mocno to podkreślała, że Waszyngton go nie konsultował w sprawie tej akcji. Okazuje się, że ówczesny sekretarz stanu Dulles osobiście, przy okazji swej wizyty w Paryżu, poinformował de Gaulle'a o zamiarach swego rządu, dodając, że przypuszczalnie w interesie Francji leży, by nie brała czynnego udziału w tej interwencji (bo była w tym czasie wpłątana w ciężki problem algierski i oskarżana o kolonializm i imperializm przez wszystkie kraje arabskie). De Gaulle odpowiedział: „Jeżeli zajdzie potrzeba obrony interesów Zachodu na Lewancie, Francja nie będzie nieobecna“. Omawiając dalej sytuację międzynarodową zakończył znamienym zdaniem: „*La France, Monsieur, a une vocation mondiale*“ (Francja, proszę pana, ma powołanie światowe). To zdanie nie straciło aktualności do dziś, świadczą o tym podróże do Meksyku i Południowej Ameryki, uznanie czerwonych Chin i ambitna polityka wobec trzeciego świata. Tymczasem Ameryka od początku uważa Francję za mocarstwo kontynentalne europejskie, na równi z Niemcami czy Włochami. Tu leży klucz wielkiej kontrowersji.

W liście z 17 września de Gaulle przedstawił szczegółowy obraz ówczesnej sytuacji międzynarodowej, podkreślił ponownie, że „Francja jest mocarstwem posiadającym odpowiedzialności i interesy światowe“ i zakończył projektem powołania „orga-

## DZIEJE

### Marian Czarnecki

nizacji“ trzech (bo zdaniem de Gaulle tylko te trzy mocarstwa są mocarstwami światowymi), która ustalałaby przez „wspólne decyzje“ politykę i strategię światową, do użycia broni nuklearnych w każdej części globu włącznie. Od przyjęcia tych postulatów de Gaulle uzależnił dalszy udział Francji w NATO — a więc już wówczas to zagadnienie było aktualne. Na podkreślenie zasługuje to słowo „organizacja“, jakiej de Gaulle się domaga, a więc nie wzajemne konsultowanie się, narady, czy nawet wspólne decyzje bez tej „organizacji“, jawnej i publicznej, która ma wobec całego świata być wyrazem powrotu Francji do szeregu czołowych mocarstw świata. Nie dyskretna miłość, lecz formalne małżeństwo.

Znowu Dulles przybył do Paryża i żądał od de Gaulle'a pewnych wyjaśnień i szczegółów dotyczących tego projektu, a Eisenhower odpowiedział listem z 20 października 1958, w którym uznając słuszność wielu argumentów swego kolegi z okresu wojny, stanął na stanowisku, że wszyscy członkowie sojuszu mają równe prawa i podkreślił zasadę regionalnej organizacji obrony (NATO, SEATO, CENTO). Tę regionalność Amerykanie uznają do dziś za istotną, bo ona może umiejscowić ewentualny konflikt, podczas gdy jedna światowa organizacja mogłaby natychmiast wywołać konflikt globalny. Ze strony amerykańskiej gra czynnik czysto strategiczny, podczas gdy Paryżowi chodzi o zupełnie co innego — nie o obronę, a o wielkość Francji. Eisenhower jednak, by częściowo przynajmniej zaspokoić dążenia de Gaulle'a, zgodził się na utworzenie komitetu trzech, ale na niższym szczeblu i tu Amerykanie, co im często się zdarza, popełnili duży błąd — bo ze swej strony wyznaczili do komitetu Ro-



# KORESPONDENCJI PARYŻA Z WASZYNGTONEM

## KULISY POSTULATÓW DE GAULLE'A ODNOŚNIE SOJUSZU ATLANTYCKIEGO

berta Murphy, starego wroga de Gaulle'a, jeszcze z czasów wojny. Nic dziwnego, że komitet ten nie odegrał żadnej roli, a gdy Dulles zjawił się w grudniu w Paryżu, spotkało go lodowate przyjęcie i de Gaulle powiedział, że w czasach, gdy sytuacja światowa staje się krytyczna, proponuje mu się zabawę w komitety. Dulles wobec tego zaproponował, by przystąpić na wyższym szczeblu do planowania politycznego i strategicznego w obszarach wspólnego zainteresowania, jak np. w Afryce. Paryżowi bardzo wówczas zależało na amerykańskim i brytyjskim poparciu w Afryce Północnej ze względu na konflikt algerski. De Gaulle się na to zgodził, ale zaraz dodał: „Polityka w Afryce Północnej będzie z konieczności polityką francuską“. Dulles wstał i wyszedł, bo było to żądanie firmowania polityki francuskiej, a nie dezyderat wspólnego planowania.

De Gaulle ze swej strony wycofał w następnym roku marynarkę wojenną z NATO. Był to gest raczej symboliczny, bo siły morskie Francji były nikłe, ich odejście nie osłabiło organizacji obronnej. Ale Waszyngton nie pozostawił tego bez riposty i zawiesił dostarczenie Francji silnika i pomocy w budowie łodzi atomowej.

W marcu 1959 r. de Gaulle wysłał drugi list do Eisenhowera, w którym zrywa go do stanowczości w sprawie Berlina i do nieustępliwości wobec Chruszczowa. Ale to tylko wstęp, bo istotę stanowi nawrót do koncepcji z 17 września poprzedniego roku. Eisenhower odpowiedział niemal natychmiast i powtórzył poprzednio zajęte stanowisko — równość członków sojuszu. De Gaulle, już prezydent Francji, prowadzi dalej tę zimną wojnę dyplomatyczną i w czasie konferencji prasowej 25 marca 1959 publicznie wystąpił przeciw in-

tegracji, na jakiej opiera się NATO. We wrześniu Eisenhower przybył do Europy i atmosfera między nim i de Gaullem uległa pewnemu odprężeniu, do tego stopnia, że przedstawiciel Stanów Zjednoczonych po raz pierwszy wyraźnie poparł Francję w ONZ w sprawie algerskiej. Ale ta sielanka długo nie trwała. W listopadzie 1959 de Gaulle z okazji wizytacji w Wyższej Szkole Wojennej ogłosił, że Francja przygotowuje swą własną broń atomową i zaprosił do Francji Chruszczowa.

Po załamaniu się konferencji Wielkiej Czwórki w Paryżu (afery samolotu U-2) z udziałem Chruszczowa, de Gaulle, który właśnie rozmawiał z Eisenhowerem, wysłał do niego trzeci list, w którym znowu domaga się ustalenia w trójkę „strategii w skali globalnej“ i równego głosu Francji z dwoma pozostałymi partnerami w sprawie „decyzji użycia broni nuklearnych“ — innymi słowy prawa weta. Eisenhower znowu odpowiada i proponuje powołanie komitetu wojskowego trzech mocarstw na „wysokim szczeblu“, by przestudiować żądania Francji ustalania strategii globalnej. Po raz pierwszy prezydent Stanów Zjedn. zgadza się na dyskusowanie tego globalnego postulatu. Ale de Gaulle'owi oczywiście to nie wystarczy, wobec tego pisze czwarty tajny list z kontrpropozycją: spotkanie na szczycie zainteresowanej trójki w celu wspólnego ustalenia planowania strategii globalnej i reorganizacji sojuszu atlantyckiego. Eisenhower cierpliwie znowu odpowiada. Uznaje, że spotkanie z de Gaullem może być pożyteczne i prosi o szczegółowe memorandum w sprawie propozycji francuskich reorganizacji sojuszu (prosił już o to dwa razy). De Gaulle memorandum nie wysłał, tylko 5 września publicznie gwałtownie zaatakował NATO i oświadczył, że Francja od tej pory musi polegać na własnej obronie.

Eisenhower odszedł, w Białym Domu zasiadł młody prezydent Kennedy. Inny człowiek, inna polityka, inny styl. De Gaulle mu imponował, Kennedy zrobił na starym prezydencie Francji doskonale wrażenie w czasie swej wizyty w Paryżu. Wobec tego w sierpniu 1961 bierze znowu pióro do ręki i pisze swój pierwszy list do niego, licząc, że ten młody człowiek będzie bardziej wrażliwy, a może uległy, na argumenty Francji.

Kennedy, znając wymianę korespondencji z Eisenhowerem, nie widzi w tym liście nic nowego i w ogóle nie odpowiada, za wyjątkiem oczywiście grzecznego potwierdzenia odbioru. Ale w grudniu sam pisze list do de Gaulle'a, na inny temat, Berlina, gdzie energicznym aktem Paryża nie towarzyszy zupełnie wzmocnienie ich sił na tym kierunku i wyraża obawy co do broni atomowej francuskiej, mogącej być złym przykładem dla innych państw. Na odmianę de Gaulle nie odpowiada, ale w styczniu wysłał list z nowymi propozycjami, dotyczącymi innych zagadnień — powołania komitetu trzech mocarstw dla planowania politycznego i kombinowanego sztabu dla „przygotowywania wspólnych decyzji do wspólnych akcji“, zaczynając od polityki wobec trzeciego świata. W liście tym zapowiada nadesłanie szczegółowego memorandum na ten temat. Jak poprzednio — to memorandum nigdy nie nadeszło, wobec tego Kennedy nigdy nie odpowiedział.

Na tym zakończyła się kampania epistolarna francusko-amerykańska. Kennedy wystąpił ze swym „great design“ atlantyckiego „partnershipu“, na co de Gaulle zaczął odsłaniać swój „vast plan“ Europy europejskiej — od Atlantyku po Ural. Plany konkurencyjne, przeciwstawne sobie, gdzie w gaullistowskiej koncepcji, jak zazwyczaj twierdzi niektórzy wnikliwi obserwatorzy jego polityki, dawny „dyrektoriat trzech“ z Anglosasami ma zastąpić nowy, również trzech — francusko-sowiecko-niemiecki. Nic nie szkodzi, że dziś Niemcy są odporne i opierają swą politykę na ścisłej solidarności z Waszyngtonem. Gdy de Gaulle przedstawi im na tacy zgodę sowiecką na zjednoczenie — pod warunkiem uznania obecnych granic i neutralizacji, — sytuacja może się zmienić i opinia może zmusić swych polityków do przyjęcia tych warunków. Zjednoczenie jest warte tej ceny. A neutralizacja, to odejście wojsk amerykańskich z Niemiec — a więc i z Europy.

Tym samym padnie jałtański stan rzeczy, to znaczy podział Europy na sferę wpływów amerykańską i sowiecką. Pozostanie inny podział — na wschodnią i zachodnią, a więc czysto europejski, bez Amerykanów. Jednym słowem Europa europejska.

Marian Czarnecki

# DWIE KATEDRY

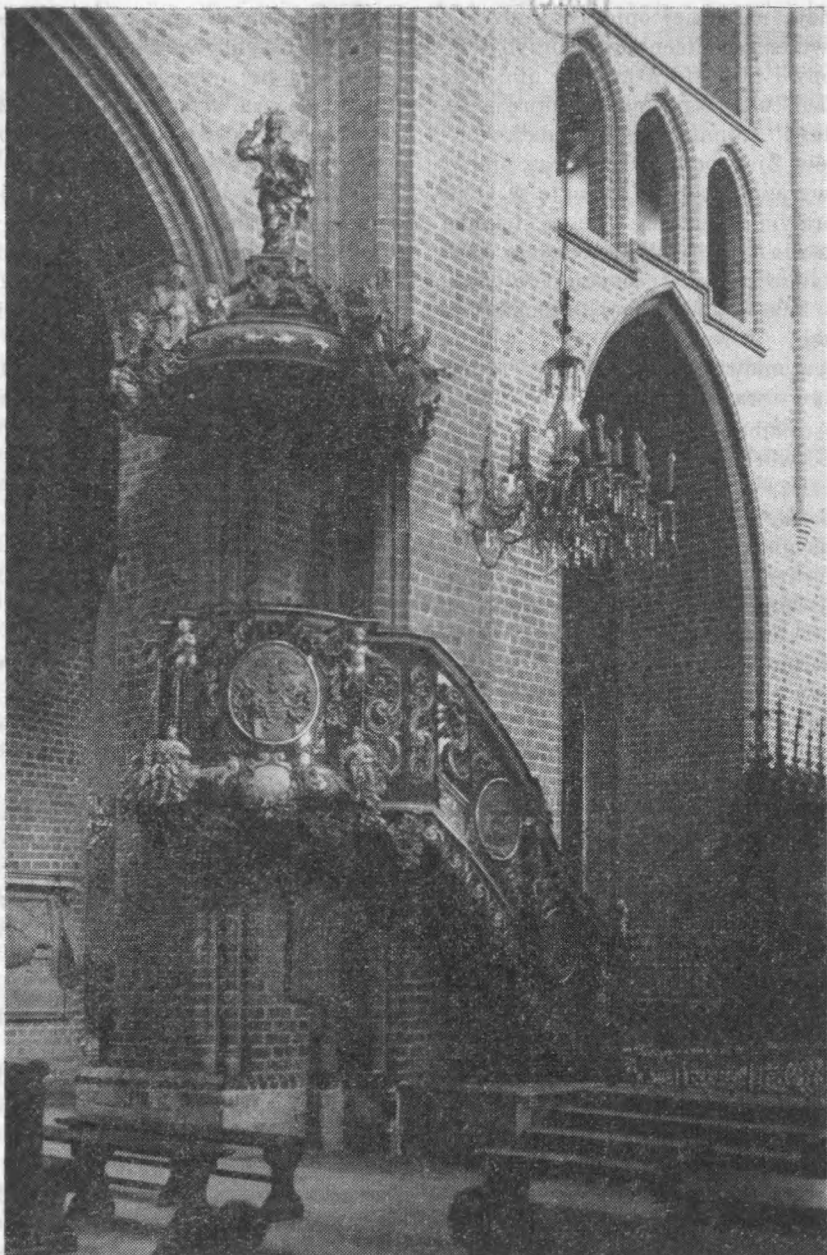
ziemi wielkopolskiej, z którymi te dwie właśnie katedry są nierozzerwalnie związane.

Jak wiemy, bazylika poznańska znajduje się pod wezwaniem apostołów św. Piotra i Pawła. Nie jest tu miejsce by przedstawiać jej dzieje historyczne, ale gdy się ogląda te wszystkie kaplice i nawy, nie zawsze może fotografowane w najlepszym świetle, a zwłaszcza kaplice z pomnikami biskupa Goślickiego (1607), biskupa Łukasza Kościeleckiego (ur. 1597 r.), epitafium rodziny Górków, kaplicę św. Józefa z pomnikiem ku czci pomordowanych księży w obozach koncentracyjnych, pomnik arcyb. Dymka, stalle gotyckie z XV wieku, wielki ołtarz i oczywiście przesławna Złotą Kaplicę z sarkofagiem królewskim naszych pierwszych władców Mieczysławem I i Bolesławem Chrobrym i z pomnikiem tychże władców, ustawionym w kaplicy w 1841 r. — wówczas przesuwa się przed naszymi oczyma nieomal cała historia tej ziemi wielkopolskiej.

Może najstarszym „kawałkiem historii“ ujętym na kliszy fotograficznej to płyta nagrobkowa I-go biskupa poznańskiego Jordana. Kapitałnym novum bazyliki poznańskiej jest prześlizgnięta barokowa ambona (1720), przewieziona do Poznania po wojnie z Ziem Zachodnich a mianowicie z Milicza. Fragmenty tej ambony utrwalone są na kilku zdjęciach. Z tego samego kościoła w Miliczu przewieziona została do bazyliki chrzcielnicą katedralną. To symboliczne powiązanie ambony z Ziem Zachodnich właśnie z bazyliką poznańską ma swoją szczególną wymowę.

Znakomitym uzupełnieniem tych 54 wielkich fotografii poświęconych bazylice poznańskiej są wspaniałe zdjęcia z Prymasem Polski ks. kard. Stefanem Wyszyńskim i gospodarzem bazyliki ks. arcyb. A. Baraniakiem, którzy wzięli udział w uroczystości odsłonięcia poświęconych pomników Prymasa Polski — ks. kardynała Hlonda i ks. arcybiskupa Dymka. Są to zdjęcia szczególnie cenne, i ogląda się je, właśnie teraz, gdy reżym komunistyczny wypowiedział tak bezwzględnie i łajdacką walkę ks. kard. Wyszyńskiemu i całemu episkopatowi, ze szczególnym szacunkiem.

Podobne wrażenie wywołują fotografie bazyliki gnieźnieńskiej. Jedno ze zdjęć jest szczególnie wspaniałe — katedra przegładająca się w lustrze pobliskiego jeziora. Bazylika gnieźnieńska jest pod wezwaniem Najśw. Marii Panny. I jej mury zawierają nieocenione pamiątki historyczne. Wymienię je we-



Ambona późnobarokowa (1720 r.) w bazylice św. Piotra i Pawła w Poznaniu, przewieziona z Milicza z Ziem Zachodnich

Fot.: inż. Feliks Sikorski — Poznań

**W** DRUGIEJ połowie kwietnia oglądałem niezmiernie ciekawą wystawę fotograficzną. Na przeszło 100 dużych planszach fotograficznych dwaj fotografowie z Poznania: Władysław Ruta i Feliks Sikorski pokazali „Dwie katedry — Gnieźna i Poznań“. Wystawa zorganizowana była przez Polską YMCA z okazji Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej. Gości powitał prezes ogniska londyńskiego polskiej YMCA inż. W. Rago, a oficjalnego otwarcia dokonał dr W. Czerwiński.

Rzadko kiedy oglądałem tego rodzaju wystawę z takim zainteresowaniem, by nie rzec — ze wzruszeniem. Znam bowiem obydwie prastare katedry wielkopolskie — jak to się mówi — „na pa-

mięć“. Przemierzałem je, zwłaszcza bazylikę poznańską, niezliczoną ilość razy. Gnieźnieńską rzadziej, gdyż jedynie z okazji przypadkowych przyjazdów, choć i z tą katedrą wiąże mnie po dziś dzień najserdeczniejsze więzy. Jestem przekonany, że każdy poznaniak, który przeszedł się po salonie wystawowym — a powinni się tam pokazać jak najliczniej — ze zdumieniem, z podziwem szczerym i z leżką sentymentu oglądał te przepiękne zdjęcia, na których dwaj świetni fotografowie poznańscy (Ruta nie po raz pierwszy wystawia swe prace w Londynie) utrwalili te dwie katedry od wewnątrz i zewnątrz, wydobywając z tych murów, rzeźb, fragmentów, kaplic, naw czy pomników tysiącletnie dzieje

# — GNIEZNO I POZNAŃ

dług kolejności rozwieszonych zdjęć: najpierw nagrobek arcybiskupa Zbigniewa Oleśnickiego — dłuta Wita Stwosza (1495), prezbiterium z wielkim ołtarzem i sarkofagiem — relikwiarzem św. Wojciecha, szczególnie interesujące jest zdjęcie: fragment mozaiki z X wieku z podziemi, pozostałość z romańskiej katedry Mieszka I. Następnie mamy ołtarz główny z relikwiami św. Wojciecha w srebrnej trumnie z 1662 r. W nawie głównej mamy gotycki grobowiec św. Wojciecha dłuta Hansa Brandta. W ogóle św. Wojciechowi poświęcono słusznie szereg przepysznych zdjęć, jakże aktualnych z okazji uroczystości milenijnych. Kapitalne są również podwoje do archiwum z płaskorzeźbami Kopernika, Łaskiego, Hozjusza i Skargi. Trudno w tym sprawozdaniu wymienić wszystkie fotografie, które w całej pełni pokazują piękno tej wspaniałej bazyliki, tak głęboko związanej z naszymi najdawniejszymi dziejami. Seria doskonałych zdjęć z uroczystości ku czci św. Wojciecha w obecności Prymasa Polski i arcyb. Baraniaka jak i ks. arcyb. Kominka są i w tym wypadku doskonałym uzupełnieniem tej serii.

Wystawa odbywa się pod protektorem Stowarzyszenia Fotografików Polskich — Polska YMCA Londyn. Jest ona nie tylko na czasie, lecz podkreślić należy także jej wysoki poziom artystyczny. Cenimy to tym wyżej, że zdjęcia są oryginalne i dokonane zostały w ciągu dwóch lat na miejscu, w Poznaniu i w Gnieźnie.

Poniżej podajemy kilka fragmentów z przemówienia dr. W. Czerwińskiego, który dokonał otwarcia wystawy:

„W imieniu Komitetu Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej przypaść mi zaszczyt otwarcia niezwykle ciekawej wystawy... Temat wystawy: katedry gnieźnieńska i poznańska wiąże się jak najściślej z treścią tej wielkiej, wspaniałej rocznicy, która wszędzie na świecie przyspiesza serc polskich bicie. Te dwie katedry, pokazane tu w szeregu znakomitych zdjęć... to najbardziej dostojne pomniki naszej ówczesnej historii. Tutaj właśnie, na prastarej ziemi Polan, stała kolebka Polski chrześcijańskiej. Tutaj dojrzewały decyzje, które określiły na całe Tysiąclecie kierunek naszych dziejów i styl naszej cywilizacji. Dlatego właśnie, w przededniu tych uroczystości milenijnych w Częstochowie, czy nasze zwracają się ku Poznaniowi i Gnieznu. Po raz drugi w ciągu tego dramatycznego dziesięciolecia Poznań przemawia do nas najgłębszym, najprawdziwszym głosem Polski. Mówi za całą Polskę.

...Oto z tych ścian patrzą na nas pamiątki wielkiej przeszłości, opromienione blaskiem historii.

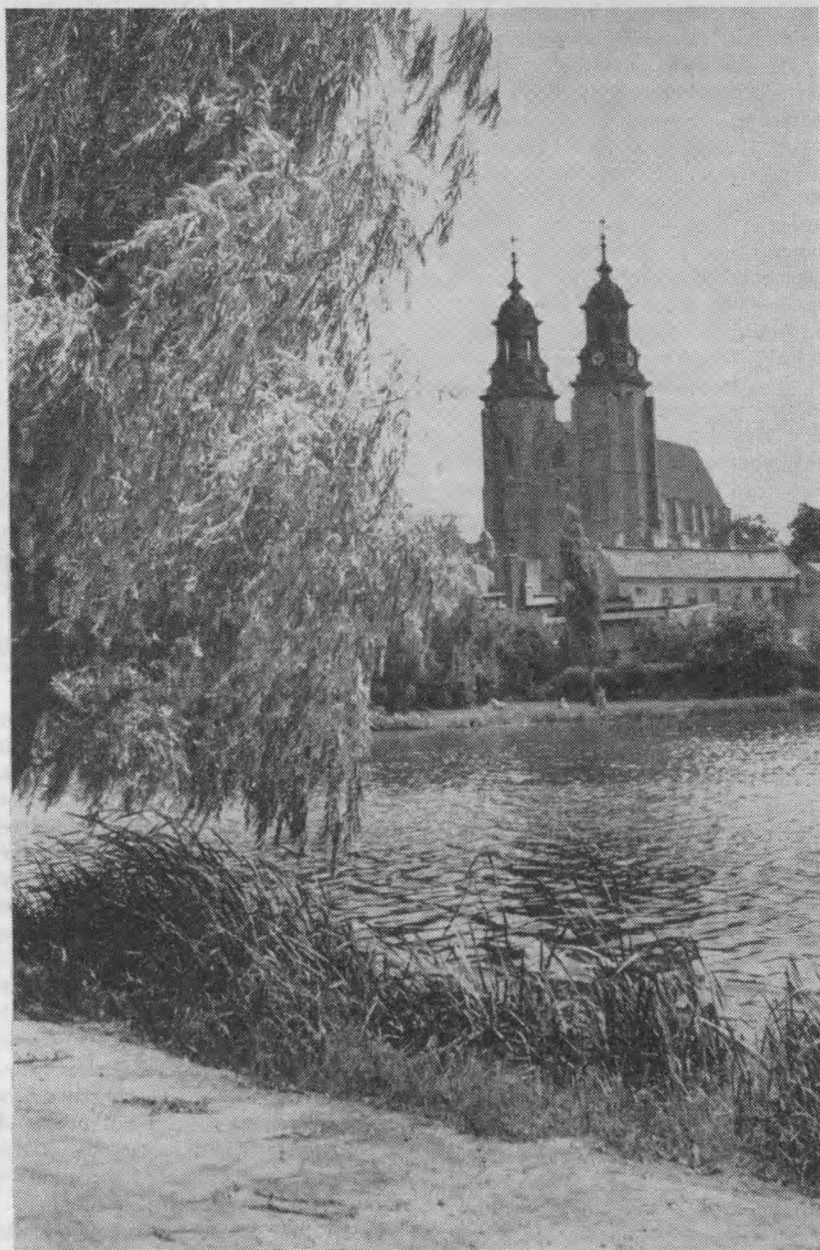
Życzę gorąco, aby Państwo z całym przejęciem spojrzeli na te pamiątki naszej wspaniałej przeszłości, żeby się przejęli tą bogatą treścią historyczną, która przemawia z każdego fragmentu prastarej dostojnej architektury. Chciałoby się powtórzyć słowa wielkiego poety i wyrazić gorące życzenie, ażeby ci wszyscy, którzy będą zwiedzali tę wystawę, patrząc z przejęciem głębokim na te dostojne pamiątki, poczuli w

sobie dawne serca bicie, poczuli w sobie dawną wielkość duszy i chwilę jedną, tak górną przeżyli jak ich przodkowie niegdyś całe życie“.

Po tym wstępie dr. Czerwiński zwrócił uwagę na szczególnie ciekawe i oryginalne zdjęcia, najpierw bazyliki poznańskiej a następnie bazyliki gnieźnieńskiej. Za piękne przemówienie podziękowała publiczność serdecznymi oklaskami.

(p.h.)

Inne zdjęcia z tej samej wystawy znajdują się: na pierwszej stronie okładki (ołtarz główny bazyliki w Gnieźnie z relikwiami św. Wojciecha — fot.: inż. F. Sikorski z Poznania) i na innych stronach „Orla i Bałogo“.



Bazylika Najśw. Marij Panny na górze Lecha nad jeziorem Jelonek w Gnieźnie

Fot.: inż. Feliks Sikorski — Poznań

22 marca zginął na ponurej i maki- brycznej północnej ścianie Eigeru — słynny Eiger Nordwand. — w Alpach Berneńskich 30-letni Amerykanin, John Harlin, b. pilot myśliwski i jeden z najlepszych alpinistów Stanów Zjednoczonych, ostatnio kierownik szkoły wysokogórskiej w Leyzin w Szwajcarii. Po prostu linka, której się trzymał, urwała się i wylądował 1400 m niżej. Nie było prawie co zbierać. To według jednej oficjalnej statystyki 28-ma ofiara Eigeru, a według innej 31-sza. Nieoficjalnych ofiar jest więcej, bo nie wszyscy, którzy drapają się na tę ścianę, zapowiadają to i nie zawsze ich z dołu widać. Liczba udanych wspinaczek wynosi dziś 53.

Od 1954 roku spędzam prawie wszystkie wakacje letnie i wiele zimowych w Oberlandzie Berneńskim, w Wengen albo w Grindelwald, właśnie w bezpośrednim sąsiedztwie tego ludożercy. Obejrzałem go ze wszystkich stron, widziałem cały szereg tych młodych entuzjastów, którzy próbują swych sił na tej „jednej z najtrudniejszych i naj-słynniejszych dróg alpinistycznych świata“ (powtarzam za Wielką Encyklopedią Powszechną). Ponieważ we wczesnej młodości polizałem trochę taternictwa, przez teleskopy (za 20 ct.) z Grindelwald i z Kleine Scheidegg „fachow“ rozpoznawałem całą trasę tej samobójczej wspinaczki — znam ją na pamięć. Wiem gdzie jest „trawers Hinterstossers“, „jaskółcze gniazdo“, „żelazko“, „biwak śmierci“, gdzie w 1935 r. zamierzali pierwsi śmiałkowie, którzy zaatakowali tę ścianę, „trawers bogów“ i wreszcie straszny „biały pajak“, który czai się na swe ofiary i gdzie w moich oczach w jego śmiertelnych mackach pozostał w 1963 r. dwóch Hiszpanów. Jeden z nich obsunął się i wisiał na linie, zanim nie przykrył go śnieg. Byłem w Wengen, gdy po raz pierwszy udało się pokonać tego molo-cha dwóm Polakom w 1961 r. (Stanisław Biela i Jan Mostowski) i we wrześniu 1957 r. obserwowałem przez lunety najdramatyczniejszą w historii alpinizmu akcję ratowniczą dwóch Włochów i dwóch Niemców. Uratowano jednego, Claudio Corti, podczas gdy jego towarzysza Stefano Longhi podmuch wichru oderwał od ubezpieczających haków i przez dwa lata wisiał i kołysał się na linie nim wyprawa przewodników Oberlandu zdjęła jego wysuszone przez wiatr i przez mróz ciało. Tę akcję ratowniczą barwnie opisał Adam Skoczyła w ślicznie wydanej książeczce „Stefano — we shall come tomorrow“ (Poets' and Painters' Press — London 1962). Pozostałych dwóch Niemców wówczas nie znaleziono i dopiero przypadkiem w 1961 r. odkryto ich ciała w pobliżu szczytu, który zdobyli i już schodzili w dół, gdy zasypała ich lawina. O tej

akcji ratowniczej w 1957 r. wiele pisano i jeszcze więcej mówiono. Była ona powodem największego konfliktu między alpinistami i przewodnikami, jaki kiedykolwiek istniał, bo przewodnicy Grindelwaldu odmówili udziału w niej i Corti został uratowany przez wielki i solidarny zespół alpinistów sześciu narodowości, w tym polska grupa dr. Hajdukiewicza.

A dlaczego odmówili? Bo dla tych przewodników północna ściana Eigeru nie istnieje — nie ma jej, odmawiają prowadzenia na nią alpinistów, a nawet w pewnym okresie spowodowali wydanie oficjalnego zakazu przez władze kantonu Berna wspinania się na nią. Nie chodzi o to, że jest niesłychanie trudna, lecz jest zbyt niebezpieczna — oceniają, że niebezpieczeństwa „obiektywne“ (lawiny, kamienie itp.) wynoszą 70%, co ma oznaczać, że każdy alpinista, wspinający się na tę ścianę, ma tylko 30% szans dojścia do szczytu.

### PIERWSI ŚMIAŁKOWIE

Eiger, jeden z trzech olbrzymów Alp Berneńskich (obok Jungfrau i Mnicha), liczy 3.970 m. Dość łatwo wejść na jego szczyt od zachodu, o wiele trudniej od wschodu, a ta północna ściana przez długie lata była uważana za niemożliwą do zdobycia. Ale gdy do alpinizmu wprowadzono przed wojną nową technikę, gdzie lina i haki służą nie tylko do ubezpieczenia się, lecz do podciągania, do akrobatycznego pokonywania właśnie niemożliwych przejść, elita alpejska zaczęła pożądanym wzrokiem spoglądać na Nordwand Eigeru. I wreszcie w lipcu 1935 r. dwóch Niemców spróbowało. Doszli dość wysoko, bo do „biwaku śmierci“ — i tam pozostali, zamarli. Bo trzeba mieć na uwadze, że gdy na dole w Grindelwald ludzie się opalają i obserwują białe baranki ocierające o tę ścianę, gdzie w wielu miejscach nigdy nie dochodzi słońce, to tam za nimi temperatura opada natychmiast do 10 i więcej stopni poniżej zera, z tych niewinnych baranków mogą strzelać błyskawice, mokra skała pokrywa się gołoledzią. A co dopiero gdy nagle zapanuje rzeczywistość zła pogoda i zerwą się wichry. Kogo taka pogoda złapie na ścianie, ten przechodzi piekło, w zadymkach śnieżnych i lawinach. Natomiast gdy się ociepli, strugi wody, a nawet wodospady, zaczynają zraszać ścianę i rozpoczyna się bombardowanie obluźowanych kamieni i odłamków skały. To prawdziwa artyleria góraska. Iluż alpinistów zawróciło z drogi z powodu ranienia przez te kamienie...

W r. 1936 czterech nowych śmiałków dwóch Austriaków i dwóch Niemców, porwało się na tę ścianę. Jeden z nich odkrył klucz do drogi, który nazwano od jego nazwiska „trawersem Hinter-

stossers“. Niestety, po wykonaniu tego trawersu metodą Dülfera ściągnęli za sobą linę, a tym samym odcięli sobie drogę powrotu, bo bez pozostawienia liny tego trawersu w odwrotną stronę nie można wykonać. Pierwszego dnia dokonali wielkiego wyczynu, pokonali prawie połowę drogi na szczyt. Ale pod koniec dnia nagle zatrzymali się i zaczęli pomagać jednemu z towarzyszy. Na dole przy teleskopach odgadnięto, że przypuszczalnie został ranny przez kamień. Jednak na drugi dzień kontynuowali wspinaczkę, ale o wiele wolniej. Trzeciego dnia znowu ruszyli, ale po pół godzinie stanęli i widocznie po naradzie zdecydowali się na powrót. Tragiczna decyzja. Schodzili ostrożnie, tylko 300 m, w ciągu dnia. Trzecia noc biwakowania na ścianie. Następnego, czwartego dnia, doszli do trawersu. Ponad pół dnia spędzili na rozpaczliwych próbach pokonania go — bez skutku. I tylko trzech, bo czwarty wyraźnie był w takim stanie, że nic nie mógł robić. Normalna droga odwrotu była odcięta. Pozostawało jedno wyjście — opuścić się na linie po 200-metrowym urwisku wprost w dół. A to urwisko to droga lawin i kamieni, ale nie było wyboru.

### OKNO TUNELU

Eiger jest przewiercony wielkim ślimakowym tunelem, którym wdrapuje się na Jungfrau słynna zębata kolejka. Ten tunel początkowo wspina się wzdłuż północnej ściany i na tym właśnie urwisku ma otwór na zewnątrz, którym wyrzucano kamienie w czasie wiercenia. Przez okno to strażnik tunelu posyłał wołanie o ratunek. To Toni Kurz — krzyczał że pozostali trzej zginęli, on jedyny pozostał przy życiu. Z dołu nie nie było widać, bo nagle pogoda się popsowała i na Nordwandzie rozszalała zawierucha. Strażnik zatelefonował na stację w dole, ta uruchomiła wagon i trzech przewodników, wśród nich nie młody już dziś Adolf Rubi, instruktor narciarski mych córek, znalazło się szybko, szybko w oknie tunelu. Wyszli na ścianę — Toni Kurz wisiał na linie 100 m, ponad nimi. Błagał by go ratowali, powiedział, że Hinterstosser spadł i lina rzuciła o hak ubezpieczający jego towarzysza i ten tam zamarzał na śmierć. Trzeci obsunął się i uduślił w pętli własnej liny, wisi nie daleko. Toni woła, że można go uratować tylko od góry, że muszą się wspiąć po stromej skale. A to w tej zawierusze, w której skała pokryła się szklivem lodu i temperatura spadła do 25 stopni poniżej zera, nawet dla tych wytrawnych przewodników jest niemożliwe.

Noc zapada, a z nią wszelka pomoc wykluczona. Musi przetrwać noc, powrócą rano.

# EIGER

## TRAGICZNA POKUSA I DROGO OKUPIONE ZWYCIĘSTWO

Zdjęcie przedstawia  
szlak „direttissima“  
na północnej ścianie  
Eigeru

Napisał Jan Claude

— Nie! Nie! Nie! — woła rozpaczliwie Toni. — Ratujcie!

Powrócili o świcie, w czterech. 23-letni Toni Kurz, jeden z najlepszych przewodników z Berchtesganden, przeżył polarną i burzliwą noc. Szwajcarzy rozpoczęli beznadziejną wspinaczkę, której normalnie nigdy by się nie podjęli. Doszli do ok. 30 m poniżej Kurza i ani metra dalej. Ponad nimi występ skały zasłaniał go. Próbowali raketami rzucić mu linę — bez skutku. Wreszcie poradzili, ostateczny środek:

— Musisz dojść do tego, co się uduśli. Odciać go, wspinać się wyżej, odciać kawał jego liny, rozebrać ją na sznurki, związać ją i spuścić do nas. Przywiążemy linki i wszystko co ci potrzeba, byś mógł opuścić się do nas.

— Spróbuję, odpowiedział słabo.

Po nadludzkich wysiłkach doszedł do uduszonego towarzysza, odciał go od liny, ale ciało nie opadło. Było przymarzniete do skały. Wdrapał się ok.

8 metrów wyżej i odciał kawał twardej zmarniętej liny.

Rozczepić ją na sznurki... Dla normalnego człowieka jest to prawie niemożliwe, gdy lina jest tak zlodowaciała. Ale Toni Kurz, w którym z rozpaczliwą energią tliły się resztki pragnienia życia, przez pięć godzin jedną ręką i zębami tę linę rozczepiał. Jedną? Tak — bo druga wisała bezwładnie zupełnie odmrożona, gdy stracił rękawicę; środkowy palec jak sople lodu odłamał się od dłoni.

### KILKA METRÓW...

Wreszcie sznurek był gotowy i spuścił go. Przewodnicy przyczepili dwie związane liny, karabinki, haki i młotek. Toni Kurz, już prawie w agonii, resztkami siły wciągnął to wszystko. Jak on tam w górze dał sobie radę — nie wiadomo. W każdym razie po godzinie zaczął się opuszczać na linie, centymetr po centymetrze. Ci w dole zachęcali go,

krzyczeli, próbowali żartować. Wreszcie zobaczyli jego stopy kilka metrów nad głowami wysuwające się zza występu skały.

Nagle opuszczanie się ustało. Toni Kurz słabym głosem zaczął tłumaczyć, że węzeł liny nie przechodzi przez karabinek, w którym się ślizgała.

— Przepchaj go! To nie tak trudno — wołali.

Próbował — ale już siły go opuszczały.

— Nie mogę... jestem skończony — mamrotał.

— Próbuje chłopcze! Nie daj się! Jeszcze kilka metrów — na miłość boską nie daj się!

— To koniec... usłyszeli i po chwili jego ciało bezwładnie zawisło na linie.

Kilka metrów od nich, od ratunku, od życia...

Tak zakończyła się druga próba zdobycia Nordwandu, który zaczęto nazywać Mordwand — morderczą ścianą.



W następnym roku nowa próba nie udała się i dopiero w 1938 dwóch Austriaków i dwóch Niemców po raz pierwszy weszło na szczyt w cztery dni, odkrywając drugi „klucz“ tej wspinaczki, „trawers bogów“, prowadzący do niesamowitego „białego pajaka“, gdzie niemal cudem uniknęli katastrofy. Dwóch uczestników tego zespołu opisało dokładnie wspinaczkę — Andreas Heckmair i Heinrich Harrer.

Drugiej udanej wspinaczki w 1947 r. dokonało dwóch Francuzów, wspaniałych alpinistów, znanych z wielkich wypraw w Himalaje — Lionel Terray i Louis Lachenal. Obaj później zginęli w Alpach. Lionel Terray powiedział, że za nic w świecie nie podjął by się ponownej wyprawy na Nordwand.

W 1950 r. dwóch młodych Austriaków dokonało wielkiego wyczynu — osiągnęli szczyt w jednym dniu — 18 godzin. Ale sprzyjały im wyjątkowo korzystne warunki atmosferyczne, a poza tym droga jest znana, wytyczona niemal pozostawionymi przez poprzedników hakami i linami. W 1961 r. w marcu nowa czwórka dokonała pierwszej wspinaczki zimowej w niesłychanie ciężkich warunkach; 7 dni i 6 biwaków w mrozie. W 1963 r. szwajcarski przewodnik z Valais, Michel Darbellay, zdobył szczyt w pojedynkę, samotnie — w dwa dni. Dziś twierdzi się, że o powodzeniu w lecie decyduje szybkość, by jak najkrócej być narażonym na lawiny, bombardowanie kamieniami i wyczerpujące biwaki. Na ścianie na ma ani jednego miejsca, gdzie można spędzić noc w pozycji leżącej. W najlepszym wypadku siedzi się na wąskim gzymsie, przytrzymany linami do haków, nogi wiszą nad przepaścią.

### „DIRETTISSIMA“

Od kilku lat elitę alpinistów kusi nowy wyczyn na Nordwandzie — dojście do szczytu nie tą już znaną, zygawkowatą drogą, ale prosto — najkrótszą, to co Włosi nazywają „direttissima“. 22 lutego w hotelu Kleine Scheidegg, podstawa wyjściowa i najlepszy punkt obserwacyjny na „Potwora“ (Eiger znaczy olbrzym, potwór), pojawił się zespół ośmiu młodych Niemców z technicznym ekwipunkiem alpinistycznym, jakiego nikt jeszcze nie widział. Prawie cały wagon kolejki na Jungfrau, która tamtędy przechodzi. Oświadczyli, że będą próbować „direttissima“ i do tego w zimie. Sensacja, tego jeszcze nikt nie ryzykował. Ale w dwa dni później pojawił się nowy zespół — trzech Brytyjczyków i dwóch Amerykanów, wśród nich John Harlin, z tym samym zamiarem. John Harlin przygotowywał się, do tego od kilku lat, jeździł na nartach bez rękawic, by mu ręce stwardniały na mróz, biwakował w śniegu, robił wspi-

naczką w najgorszą pogodę, by nabrać kondycji fizycznej. Jego ekipa ma też doskonały ekwipunek, ale nie tyle co Niemcy. Ich wspinaczka ma być klasyczna, podczas gdy Niemcy, którzy ruszyli 24 lutego, zaczęli zakładać za sobą stałą linę, którą nazwano windą. Schodzili po niej w dół, brali nowy ekwipunek, a nawet spędzali od czasu do czasu noc w hotelu, by się wykapać, ogolić i odpocząć. Następnego dnia po tej linie-windzie i dzięki strzemionom „Jumar“ w kilka godzin dochodzili do punktu, jaki osiągnęli. John Harlin prowadził swą ekipę równolegle, ale w sposób klasyczny, bez windy. Ale z upływem dni zespoły prawie połączyły się. W jednym trudnym miejscu John Harlin znalazł przejście, podczas gdy Niemcy dreptali w miejscu. Pokazał im je, a oni w zamian pozwolili mu korzystać z „windy“.

Ta wspinaczka trwała 34 dni, siedmiu uczestników odpadło z wyczerpania i 25 marca na szczyt weszło pięciu — jeden Brytyjczyk (Szkot Douglas Haston) i czterech Niemców. Ale trzy dni wcześniej John Harlin zszedł na dół po „windzie“, by wziąć udział w pogrzebie swego przyjaciela alpinisty, który właśnie zginął. Byli w stałym kontakcie ze światem, bo posiadali radio „walkie-talkie“. Gdy powrócił i wspinał się, nagle ta lina „winda“ zerwała się i on opisał parabolę 1.400 m, zabijając się na miejscu. Według alpinistycznych tradycji gdy ktoś się zabije, zespół przerywa wspinaczkę. Teraz jej nie przerwano. Niemcy uważali, że Harlin nie był z ich zespołu, a Haston pozostał sam, więc z nimi kontynuował.

### TO NIE ALPINIZM

Doszli do szczytu. Ale czołowi alpinści, Szwajcarzy, Włosi i Francuzi zgodnie twierdzą, że ta wspinaczka to nie alpinizm. Wbito w ścianę Eigeru 600 haków, zainstalowano 1.500 m stałej liny, tej windy, użyto ok. jednej tony materiału, który donoszono „windą“, a nawet część dowieziono kolejką na jedną trzecią wysokości i wyładowano przez okno tunelu. Ścianę zgwałcono przy pomocy nowoczesnej techniki, ale nie zdobyto.

— Jestem oburzony tą metodą — powiedział Gaston Rebuffat.

— Nasi murarze z Piemontu by tę windę lepiej i szybciej założyli, niż ci „alpinści“, zawołał wielki włoski przewodnik Guido Tonella.

— Prawdziwa „direttissima“ pozostaje do zdobycia — zaopiniował jeden z najlepszych alpinistów świata, Szwajcar Michel Vaucher.

Nic dziwnego, tę wyprawę finansował pool wydawniczy niemiecko-angielski dla celów, powiedzmy otwarcie, komercyjnych. Jak ten „wyczyn“ porównać z

tragicznymi zmaganiem się takiego Toni Kurza, czy Heinricha Harrera i towarzyszy, którzy pierwsi weszli na szczyt? Czy nawet z tym Japończykiem, co w ubiegłym roku znalazł się w beznadziejnej sytuacji, odczepił się od liny i dobrowolnie rzucił się w przepaść, by uniknąć agonii na Nordwandzie? Nie miał windy, by wygodnie zejść sobie w dół, jak siedmiu członków tych ostatnich dwóch zespołów, gdy poczuli wyczerpanie. John Harlin, choć rozpoczął wspinaczkę według prawdziwych tradycji alpinisty, trzeba mu to przyznać, zginął przez przypadek, jako ofiara tej windy. Bo jej lina, na skutek częstego używania, przetarła się w punkcie oparcia o skałę i zerwała się.

By jednak być sprawiedliwym trzeba przyznać, że nawet z tą windą i z wagonem sprzętu, piątka która weszła na szczyt, dokonała olbrzymiego wysiłku. Jeden z ich towarzyszy schodząc w dół dwa dni wcześniej, zdjął windę, będąc przekonany, że reszta już bez trudności osiągnie szczyt. Okazało się co innego, trudności okazały się bardzo wielkie, pogoda zła, trzech Niemców doznało poważnych odmrożeń i musiano ich odwieźć do szpitala.

Niemniej to nie był prawdziwy alpinizm i szkoda że John Harlin dołączył do windy. Może dokonałby czystej „dirtissima“ i tak głupio nie zginął.

Jan Claude

## PRZYRODA I TECHNIKA

# ZŁOTO

**W**ŁAŚCIWIE dopiero od połowy 19-go stulecia złoto stało się środkiem płatniczym przy załatwianiu transakcji handlowych zarówno wewnątrz państw jak i w handlu międzynarodowym. W chwili obecnej większość walut świata oparta jest na ilości złota, posiadanego przez banki danego kraju. Tak więc, większość złota wydobywanego z ziemi jest zakupywana przez banki państwowe, które ściśle kontrolują ilość tego metalu na rynku prywatnym jak i w przemyśle.

Dlaczego właściwie złoto a nie inny metal, jak na przykład platyna lub srebro, stało się tym miernikiem, który odgrywa tak wielką rolę w naszym życiu codziennym? Otóż największą zaletą złota jest to, że nie ulega ono utlenianiu, tak jak żelazo, które w kontakcie z wodą i tlenem pokrywa się rdzą w ciągu kilku minut; jest nadzwyczaj odporne na różnego rodzaju oddziaływanie chemiczne i rozpuszczalniki, co czyni je jednym z najbardziej trwałych metali.

Złoto nie jest tak rzadkim metalem, jak się powszechnie wydaje. Lecz tylko w kilku miejscach na kuli ziemskiej znajduje się w takiej ilości aby jego wydobywanie stało się ekonomicznie opłacalnym przedsięwzięciem. Warto nadmienić, że w każdej mili sześcienniej wody morskiej znajduje się około tony złota w postaci soli rozpuszczalnych w wodzie.

Na skalę przemysłową złoto wydobywa się przez kruszenie i mielenie złotonosnej rudy, która z kolei jest reagowana z cjankiem czyniąc ją przez to rozpuszczalną w wodzie. Roztwór ten po odfiltrowaniu jest reagowany ponownie z cynkiem, który wytrąca złoto w postaci osadu. Osad ten z kolei jest stapiany w sztaby. Otrzymany w ten sposób metal ma zawartość czystego złota od 80 do 90 procent, a pozostałe 10 do 20 procent to głównie miedź, srebro i czasami platyna.

Złoto ma charakterystyczny żółty kolor. Jeżeli rozetrzemy go na proszek — będzie miał kolor purpurowy lub czerwony, zaś w stanie ciekłym jest koloru zielonego. Do najcenniejszych właściwości złota należy odporność na korozję, łatwość z jaką można rozciągać złoto w bardzo cienkie druczki, jak też łatwość z jaką daje się rozbijać złota blacha, tak że grubość jej nie przekroczy jednej piątej miliona cala. Trudno jest sobie wyobrazić, aby kiedykolwiek złoto mogło być zastąpione przez inny metal przy wyrobie biżuterii, czy innych cennych przedmiotów. Ponieważ w stanie czystym złoto jest materiałem bardzo miękkim i łatwo ulegającym zarysowaniu, człowiek nauczył się przed wiekami mieszać złoto z innymi metalami, które, chociaż dodane do złota w minimalnych ilościach, w wielkim stopniu wpływają na poprawę jego właściwości, nie ujmując przy tym nic jego kolorowi, czy połyskowi.

Od dawna już złoto zostało zastosowane w dentyście do wyrobu zębów oraz protez. W ciągu ubiegłych jednak lat coraz to w większym stopniu zastępowano złoto stopami innych metali, a ostatnio plastikami, które są nie tylko bardziej trwałe, ale i tańsze w produkcji. Bardzo wysoka przewodność elektryczna złota oraz jego odporność na korozję została wykorzystana dla produkcji kontaktów w aparatach elektrycznych, a szczególnie do wyrobu t.zw. drukowanych obwodów w aparatach radiowych i elektrycznych.

Szyby nie ulegające tłuczeniu, używane do samolotów supersonicznych, a także i do luksusowych samochodów, są laminatem składającym się z cienkich arkuszy specjalnego szkła, powleczonego mikroskopijnej grubości powłoką złota, która nie przekracza 1/50 miliona cala grubości. Szyba taka jest

zupełnie przezroczysta i posiada <sup>0,01</sup> warstwą, że kiedy przepuszcza się <sup>prąd</sup> przez tę warstwę złota, wytworzone ciepło zapobiega obładzaniu się szyby, a także kondensowaniu się pary, rzecz nieobojętna dla każdego kierowcy.

Do budowy bardzo czułych termoelementów (czyli elektrycznych termometrów o bardzo dużej wrażliwości) stosuje się stop złota i palladium, który jest wydajniejszy od na przykład stopu irydu i platyny i bardziej czuły na różnice temperatur — aż do tysiąca stopni Celsjusza.

W połączeniu z miedzią lub niklem złoto jest stosowane przy spawaniu niezmiernie delikatnych części lamp termo-elektronowych, lub innych delikatnych części aparatury elektrycznych. W niektórych aparatach do prześwietlania oraz do naświetlania promieni uży-

wa się także płyt ze złota, które zapobiegają naświetlaniu tych części ciała, które są specjalnie wrażliwe na promieniowanie, jak i do ochrony personelu obsługującego taki aparat. Oczywiście, w aparaturze przeznaczonej na masowy użytek — złoto jest zastąpione przez ołów, czyli materiał niewspółmiernie od złota tańszy.

W postaci soli chlorkowej duże ilości złota używane są do produkcji kolorowych filmów, które stały się tak popularne w obecnych czasach.

Jak więc widzimy, złoto jest nie tylko czynnikiem ekonomicznym, nie tylko handluje się nim, czy używa do wyrobu ozdób, ale jest ono także ważnym materiałem przemysłowym, mającym coraz szersze zastosowanie na rynkach świata.

W. Lewandowski

## Gawęda lekarska

# KAMICA NERKOWA

**K**AMICA nerkowa jest jedną z najboleśniejszych chorób jakie zna medycyna. Atakuje ona częściej mężczyzn i to młodych mężczyzn niż kobiety i może nadejść zupełnie niespodziewanie, powalając znielacka osobę, posiadającą jak najzdrowsze nerki.

Istotna przyczyna ataku kamieni nerkowych nie jest dokładnie znana, sądzi się jednak, że pewne czynniki sprzyjają możliwości ataku. Jak w wielu innych chorobach tak i w tej, miejsce zamieszkania może być jednym z takich czynników. Zauważono bowiem, że kamica nerkowa zdarza się częściej wśród ludzi zamieszkałych we wschodnich hrabstwach Anglii — w Derbyshire i Westmorland, a także w Walii Północnej. Poza granicami Wielkiej Brytanii — jak wykazują statystyki — Holandia, wschodnie połacie Francji, dorzecze Wołgi, Palestyna i Egipt mają stosunkowo większy procent przypadków kamicy. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w Południowych Chinach i Indiach północnych kamica prześladowuje mieszkańców tych części świata od wielu stuleci, oraz jeżeli dodamy do tego fakt, iż około sto lat temu dzieci z biedniejszych warstw Europy padały często jej ofiarami — nie trudno będzie zbudować teorię, że dobre odżywianie, oraz ogólny poziom dobrobytu są ważnymi czynnikami, przeciwdziałającymi tej chorobie.

Jednym z najczęstszych powodów formowania się kamieni w nerkach jest infekcja przewodów moczowych. Innym powodem może być nadczynność gruczołów przytarczycowych, których zadaniem jest kontrolowanie ilości wapna w

organizmie. Jeżeli organizm wydziela za dużo wapna — możliwość formowania się wapiennych kamieni w nerkach wzrasta. Kamienie nerkowe tworzą się także często u osób młodych, które na przykład z powodu nieszczęśliwego wypadku muszą leżeć unieruchomione i w jednej pozycji przez długie miesiące. W tym ostatnim wypadku formowanie się kamieni jest związane z odwapnieniem kości oraz stagnacją moczu, które z kolei predysponują do infekcji.

Możemy śmiało powiedzieć, że 50% chorych cierpiących na kamienie nerkowe jest w wieku od 30 do 50-go roku życia. Mężczyźni „prowadzą“ w tej chorobie w stosunku 4:3.

W czasie ataku kamień nerkowy daje znać o swej obecności bólem, który możemy określić jako „ból niemal, że nie do zniesienia“. Zaczyna się on w okolicy przynerkowej, spływając stopniowo wzdłuż jamy brzusznej do pachwiny. Ból zwykle zaczyna się najzwyklej niespodziewanie, pod jego wpływem chory zgina się w pół, nie mogąc jednocześnie znaleźć sobie miejsca, ani też leżeć spokojnie. Atakowi często towarzyszą wymioty, silne poty i bladeść, gorączka spada poniżej normy, a puls jest przyspieszony. Atak może trwać od kilku godzin aż do całej doby. Atak jest spowodowany schodzeniem kamienia wytworzonego w nerce — do moczowodu, który jest przewodem bardzo wąskim, którego ścianki stanowi mięsień. Nie ludzki ból odczuwany przez chorego jest wynikiem skurczu tego mięśnia, który tylko przez skurcze może przepchać kamień do pęcherza. Tak więc, w rzeczywistości ból jest w pewnym sensie oz-

naką pozytywną i można go przyrównać do innego bólu — po-odowego, gdyż tak jak i ten ostatni kończy się z chwilą eliminacji „obcego“ ciała z organizmu.

Zd'agnozowanie kamienia nerkowego — jeżeli charakterystyczny, wyżej wspomniany ból ma miejsce — jest stosunkowo łatwe. Rentgen wykaże przeważnie mały, biały punkt w jednym z moczowodów. Żeby jednak mieć pewność, w której części przewodu moczowego kamień się umiejscowił, musimy zastosować zastrzyk dożylny zawierający substancję nieprzepuszczającą promienie Rentgena. Po zastrzyku substancja ta koncentruje się w nerkach i w ten sposób daje wyraźny obraz nerek i przewodów moczowych, wraz z dokładnym umiejscowieniem kamienia.

W czasie ataku najważniejszym zadaniem dla lekarza jest uśmierzenie bólu. Stosuje się więc morfinę w dawkach od 15 do 30 miligramów, którą powtarzać można co cztery godziny. W większości przypadków kamień przedostaje się sam z moczowodu do pęcherza, wypływa z moczem i — pacjent może zapomnieć o swojej chorobie. Czasami jednak kamień utknie w wąskim przewodzie i wtedy musi być usunięty operacyjnie.

Operacje kamieni nerkowych są różnorodne, w zależności od umiejscowienia się kamienia. Gdy Rentgen wykaże kamień w moczowodzie — normalnie pozostawia się go swojemu losowi w oczekiwaniu, że przepcha się sam. Operacje są zatem wskazane jedynie gdy: 1) kamień jest za duży, aby go miesiąc moczowodu mógł przepchać, 2) gdy nerki i moczowody są rozdęte moczem, którego chory nie może oddać z powodu zablokowania przez kamień, 3) gdy nastąpiła infekcja.

Po wykazaniu kamienia na Rentgenie pacjent musi pić jak najwięcej płynów. Aby nerki funkcjonowały dobrze musi przyjmować trzy litry płynów dziennie. Mocz chorego winien być utrzymywany w stanie alkalicznym, a nie kwaśnym. Można też zastosować jeden z preparatów przeciwskurczowych, które rozluźniają zacisk mięśnia w moczowodzie, zmniejszając tym samym ból. Ta forma leczenia winna być stosowana dopóki Rentgen nie wykaże, że kamień już przeszedł.

Pragnę zaznaczyć, że mimo bólu, pod wpływem którego chory czuje się jakby miał zaraz umrzeć — choroba sama w sobie nie jest niebezpieczna. Z chwilą usunięcia przyczyny bólu, czyli kamienia, pacjent może być uważany za człowieka zdrowiałego, chociaż bardzo zmęczonego.

Jakkolwiek istniała na pewno od dawien dawna, kamica nerkowa znana jest z literatury średniowiecznej. Jednym z najslawniejszych „wyciągaczy kamieni

nerkowych“ (w wiekach średnich chirurg i cyrulik byli przedstawicielami tego samego zawodu, nie mającego wiele wspólnego z profesją lekarską) — był Frère Jacques. Włoch z pochodzenia, zaczął swą karierę jako zaciężny najemnik w armii francuskiej po czym, przybrawszy habit nieokreślonego bractwa, operacyjnie wydobywał kamienie z pęcherzy, mówiąc przy każdym zabiegu: „Ja kamień usunęłam, ale wyleczenie należy już do Pana Boga“. Jest rzeczą zdumiewającą, jak wiele operacji brata Jakuba, który przecież nie miał pojęcia o antyseptyce — udawało się ku wieczystej wdzięczności jego pacjentów.

Pierwsza opisana w Europie operacja wycięcia kamienia z nerki została dokonana przez Ambroise Paré, który, urodzony w roku 1509 żył lat 89, co jest rekordem samym w sobie na ówczesną epokę. Jednym z pacjentów Paré był pewien złoczyńca skazany na śmierć przez powieszenie. Paré uzyskał pozwolenie od władz, aby zamiast kary śmierci, zbrodniarz poddał się operacji usunięcia dwóch kamieni z nerki. Pozwolenie to otrzymał i przystąpił do dzieła. W piętnaście dni później pacjent Parégo był zdrowy, został zwolniony z więzienia i jeszcze obdarowany pewną sumą pieniędzy ku chwale przyszłych pokoleń chirurgów.

Dr. Michał

**OKRESLENIE** „pop art“ spotykamy niemal codziennie na łamach gazet i magazynów, przeważnie pod reprodukcjami obrazów, które w naszych niedoświadczonych oczach wydają podejrzenie jak wycinki ilustracji z ogłoszeń, powiększenia opowiadań kreskowych (cartoons), czy też po prostu plakaty reklamowe. Czasami, o zgrozo natykamy się na wysta-



# JUBILEUSZ 20-LECIA

CENTRALI WYSYŁKOWO - BANKOWEJ  
**HASKOBA LIMITED**

Z OKAZJI 20-lecia istnienia naszej firmy ogłaszamy bezpłatną loterię dla wszystkich KLIENTÓW zarejestrowanych w kartotece HASKOBY od 1 marca 1966 do 31 listopada 1966

**N A G R O D Y :**

**I Samochód FORD ANGLIA de Luxe**  
(Grzejnik i pełne wyposażenie)

**II Obraz z CASSEL ART GALLERY**  
(Do wyboru: Kossak, Niemceży lub Kłós)

**III Weekend w PARYŻU**  
(firma ANGLOPOL TRAVEL Ltd.)

LOSOWANIE 15 GRUDNIA 1966

*Blizsze szczegóły w oddzielnych ogłoszeniach*



Centrala wysyłkowa i dom bankowy  
**HASKOBA Ltd.**

81, Cromwell Road, London, S.W. 7.  
TELEGRAMY: HASKOBA, LONDON — Tel. FRE 7888



# „POP — ART”

B.D.I.C

## SKĄD SIĘ BIERZE I CO ZNACZY?

wach sztuki na zestawienia przedmiotów codziennego użytku, jak krzesła, umywalni, starych worków itp., które również mają reprezentować dzieła, tego nowego kierunku twórczego. Prawdopodobnie zgodzilibyśmy się łatwo na pierwszą część nazwy: „pop“ od „popularny“, ale gdzie tu „art“, czyli sztuka?

Na to pytanie odpowiada istniejąca już dość nawet obszerna literatura teoretyczna przedmiotu, która usilnie stara się nas przekonać o głębokim podłożu filozoficznym tego prądu. Dowiadujemy się z niej, że „pop art“ jest reakcją na ekspresyjny abstrakcjonizm, który doprowadził do zupełnego oderwania się artysty od życia. „Pop art“ (albo też Nowy Realizm czy też Nowy Super Realizm, bo takie nazwy sugerują rozmaiści teoretycy), szuka swego urzeczywistnienia w operowaniu jak najpopularniejszym i najbardziej znanym szerokim masom materiałem, rozpowszechnianym codziennie przez telewizję, filmy, ogłoszenia, plakaty, czy opakowania firmowe. Nowy Realizm jest produktem życia ogromnych zgrupowań ludzkich, rodzajem sztuki ludowej mieszkańców milionowych metropolii; wyrasta on z podłoża skomercjalizowanego, zmechanizowanego, szukającego tanich i jaskrawych efektów społeczeństwa. Jest to sztuka popularna w całym znaczeniu tego słowa, to znaczy daleka od wskazywania nowych dróg, a tylko podążająca szlakami wytyczonymi przez sztukę stosowaną, reklamę i masową produkcję przemysłową. Prawda, że już malarze flamandzcy i holenderscy lubowali się w przedstawianiu wewnątrz, obficie wypełnionych przedmiotami codziennego użytku, ale celem ich było zorganizowanie tych przedmiotów w ramach świadomie stworzonej kompozycji w pewnej przestrzeni i interesującym oświetleniu; w przeciwieństwie do nich, malarze Nowego Realizmu nie dbają o kompozycję i oświetlenie, poprzestając na malowaniu odtwarzanych przez siebie obiektów w oderwaniu od innych.

Jeden z teoretyków ruchu słusznie wyraził się, że w pracach „pop artystów nie są to przedmioty codziennego użytku w obrazie, ale przedmioty codziennego użytku jako obraz“. Mimo zaprzestania posługiwania się abstrakcją, twórcy nowo-realistyczni nie chcą, aby ich dzieła zawierały jakkolwiek myśl, aby dawały widzowi do myślenia. Zdaniem innego teoretyka obraz „pop

Napisał Wojciech Stefański

art“ nie mają zaskakiwać, czy zadziwiać; mają one po prostu być. Popiera on to oświadczenie filozoficznym stwierdzeniem, że „pop art“ opiera się na zaprzeczeniu związku między skutkiem a przyczyną, który nie istnieje w rzeczywistości, a jest tylko sztuczną koncepcją ludzką.

No, ale dosyć o filozofii — przejdźmy do historii Nowego Realizmu. „Pop

Z lewej: „Dziewczyna z piłką“ obraz Roy Lichtensteina z New XX Jersey, jednego z najlepiej znanych przedstawicieli kierunku neo-realistycznego w Ameryce. Jest przykładem naśladownictwa obrazków z opowiadań rysunkowych (Cartoons).

Poniżej: „Premiera“ Stuarta Davisa z Nowego Jorku jest typowym przykładem operowania wyłącznie materiałem słownym, zmierzającym do wywołania w widzu pewnych skojarzeń pojęciowych przez użycie wyrazów spotykanych codziennie w przemysle reklamowym.

art“ — o dziwo! — urodziła się nie w Ameryce, gdzie się dzisiaj cieszy największym powodzeniem, a w Londynie, gdzie w r. 1952 grupa młodych artystów brytyjskich stworzyła rodzaj koła dyskusyjnego, uwieńczony w r. 1956 wystawą w galerii Whitechapel, zatytułowaną „To jest jutro!“, gdzie R. Hamilton pokazał szereg prac o zdecydowanym typie „pop art“. Określenie „Nowego Realizmu“ przez Hamiltona pozostało do dzisiaj najtrafniejszym chyba zdefiniowaniem tego kierunku; powiedział on mianowicie, że jest to sztuka przeznaczona dla najszerszych mas, nietrwala, nie pozostająca w pamięci, tania, nadająca się do masowej produkcji, obliczona na środowisko młodzieżowe, dowcipna, efektowna i będąca doskonałym interesem handlowym. Dodać tu jeszcze należy, że termin „pop art“ użyty został po raz pierwszy w r. 1956 przez L. Allowaya. Do bardziej znanych brytyjskich nowo-realistów należą Blake, Caulfield, Hockney i Laing.

Amerykańska gałąź nowego prądu powstała zupełnie niezależnie od brytyjskiej pod wpływem prac Rauschenberga, który — pomimo pozornej przynależności do Nowego Realizmu — jest raczej jego prekursorem od momentu,



gdy w r. 1955 zaczął używać krzesel, zegarów, aparatów radiowych itp. przedmiotów w ramach swoich malarско-przedmiotowych kompozycji. Oczywiście można się też w utworach nowo-realistów doszukać wpływów Dadaistów (1916 — 1921), czy nawet twórców popularnych „collages“ z lat dziesiątych i dwudziestych. Zdumiewającą rozkwit „pop art“ w Ameryce rozpoczął się na początku lat sześćdziesiątych i trwa po dziś dzień z niezmiernym rozmachem. Jedną z specyficznie amerykańskich obsesji nowo-realistów jest lubowanie się w od-twarzaniu żywnościowych produktów, tak obficie wypełniających wielkomięskie super-rynki; i tak, Warhol maluje niezliczone szeregi identycznych puszek od zup Campbella, Johns odlewa modele puszek z piwem, Thiebaud maluje cukierki na patykach, a Oldenburg konstruuje gigantyczne modele hamburgerów czy lodów z jaskrawo malowanego gipsu. Innym działem „pop art“ amerykańskiej, który zaczął znajdować coraz więcej chętnych twórców, idących za przykładem G. Segala jest modelowanie postaci ludzkich, zgrupowanych w najzwyklejszych, codziennych otoczeniach: w piwiarni, w poczekalni, w autobusie itp. Niektóre z tych postaci są stuprocentowo realistyczne (jeden z artystów posługuje się autentycznymi odlewami gipsowymi żywych ludzi), in-

ne zaś odznaczały się pewnymi deformacjami (inny twórca zastępuje twarze wszystkich swych postaci tarczami zegarów ze wskazówkami!). Ciekawe, ilu prywatnych nabywców znajdują dzieła, zajmujące tak dużo miejsca.

Po za Ameryką i w pewnym stopniu W. Brytanią Nowy Realizm nie znalazł jeszcze wielu wyznawców, chociaż poczynił już pierwsze kroki na terenie Włoch i Francji. Nie ulega wątpliwości, że w miarę wzrostu zasięgu zbytu coca-coli „pop art“ również rozszerzy swój rynek zbytu.

Odpowiedź na pytanie, czy można Nowy Realizm traktować poważnie, czy też trzeba go uważać za swoistą oberrację, pozbawioną wszelkiej wartości artystycznej, zależy — rzecz prosta — od osobistych poglądów na sztukę. Nie ulega wątpliwości, że „pop art“ istnieje, że można ją zdefiniować, że zgrupowani pod jej sztandarem twórcy (czy „producenci“, jeśli kto woli), zdradzają pewne cechy wspólne, i że nawet wytworzyła ona pewne podstawy „filozoficzne“. Trudno jej chyba wobec tego odmówić prawa pretendowania do miana stylu, chociaż wolno nam uważać, że jest to styl w bardzo kiepskim smaku. No, ale historia sztuki zna niejedno takie zjawisko. Poczekajmy, co z tego wyniknie!

Wojciech Stefański

## LUDZIE EMIGRACJI

# PANI ANNA MALUJE

Często określając polski charakter wypada mówić o „słomianym zapale“. Jesteśmy znani z tego, że dość łatwo porywamy się na przeróżne przedsięwzięcia, lecz dużo rzadziej potrafimy je konsekwentnie realizować. To też w stosunkach emigracyjnych na szczególnie wyróżnieniemi zasługują tacy ludzie i działacze, którzy nie zrażają się przeciwnościami. Prawdę mówiąc tylko tacy mają na emigracji szansę na trwałe osiągnięcia. Osiągnięcia tak indywidualne jak i społeczne.

Malarstwo nie było zawodem pani Anny. Jeśli malowała to z zamiłowania i dla rozrywki. Przed wojną była bodajże najmłodszą urzędniczką MSZ w Warszawie. Jeśli myślała o karierze — to raczej urzędniczej. Wojna wyrzuciła wszystkie plany. Poprzez szlak zesłania w Rosji dostała się z armią gen. Andersa na Środkowy Wschód. Służba wojskowa powiązana z kampanią 2 Korpusu we Włoszech. Małżeń-

stwo z mjr. Konstantym Dzierżkiem, dziś komendantem Koła Młodych „Pogoń“ w Manchester. Demobilizowała się p. Anna w Anglii i w Manchesterze rozpoczęła nowe, trudne życie emigracyjne. Pełną inicjatywy była organizatorką polskiego klubu artystycznego przy miejscowym Domu Kombatanta. Z amatorstwa wykonała tam różne dekoracyjne prace artystyczne, aż w pewnym momencie postanawia wziąć się za poważne studia malarskie. Po paru latach uciążliwej pracy kończy manchesterską Art College i rozpoczyna pracę artystyczną w studio ogłoszeniowym.

Jest zadowolona, ale jednocześnie wie, że to jeszcze nie to. Poszukuje szerszych możliwości. W roku 1964 decyduje się na otwarcie własnego studia artystycznego. W obcym mieście, w obcym środowisku, przy tysiącu niewiadomych, do spółki z artystą-malarzem z Południowej Afryki otwiera w samym centrum Manchester „Art Rapide Ltd. Specjalizuje się w projektowaniu magazynów mód, katalogów wy-

staw i katalogów handlowych, cyklów ilustracyjnych, projektów fotograficznych i ilustrowaniu książek.

Daleko odbiega od swoich pierwszych zainteresowań malarskich — amatorskiego dekorowania wnętrza Domu Kombatanta. Teraz szybko już zdobywa uznanie. Ilustrowany przez p. Annę „Nowy Testament“ edycji dla dzieci rozchodzi się w nakładzie pół miliona egzemplarzy. Podobny sukces ma ilustrowany międzynarodowy zbiór kolend. Tu trzeba odnotować z uznaniem i podkreśleniem, że ilustrowanie tego wydawnictwa miało akcenty tragiczno-patriotyczne. Gdy dostała tekst do ilustrowania już po podpisaniu umowy stwierdziła zaskoczona, że wydawca nie uwzględnił żadnej kolendy polskiej. Bez chwili wahania odmówiła współpracy. Kłopot dla wydawcy i — sukces osobisty. Wydawca ostatecznie kapituluje i w zbiorze znajdują się aż dwie kolendy polskie, chociaż był dodatkowy kłopot tłumaczenia w ostatniej chwili.

Młode, ale już renomowane studio Art Rapide Ltd. nie może sobie poradzić z dużą ilością zamówień. Cierpią na tym osobiste zainteresowania pani Anny. Trzeba ciągle odkładać tłumaczenie na angielski i ilustrowanie w bajecznie kolorowych wzorach polskiej „Bajki o Szewczyku“.

Inne zamiłowanie artystyczne p. Anny to stylizowane kukielki. Wspaniale, strasznie i bajecznie — prezentuje się czarownica. Można powiedzieć: „jak prawdziwa“.

Upór stanowczego postanowienia zdobycia ciekawego zawodu i pełnej samodzielności odniósł pełny sukces. Pani Anna Dzierżek może już sobie pozwolić nawet na to, aby wydawcy ilustrowanych przez nią książek specjalnie zamawiali do druku jej nazwisko straszną dla Anglików czcionką „ż“.

## UPARTY KOMBATANT

Nie każdemu kto uparty dopisuje szczęście w interesie. Jan Szafranski z Bury interesu własnego nie prowadzi. Jest tylko stałym pracownikiem miejscowej firmy polskiej. Za to cały swój upór skoncentrował na działalności społecznej. Od samych początków polskiego osiedlenia w tym niewielkim mieście Lancashire czynny jest we wszystkich akcjach polskich. Był jednym z organizatorów i czołowych działaczy miejscowego koła SPK, któremu obecnie prezesuje. Zajmuje się harcerstwem i Skarbem Narodowym. Uważa, że emigracyjnych spraw społecznych trzeba pilnować z równie wielkim uporem i troskliwością jak i spraw osobistych.

Dlatego zapewne koło SPK w Bury pracuje systematycznie. (pt)

# KTO BĘDZIE PIŁKARSKIM MISTRZEM ŚWIATA ?

**P**ISZĘ ten artykuł w kwietniu, w chwilę gdy Anglia sportowa upaja się na całego szaleństwem piłkarskim. A źródeł tego szaleństwa jest wiele, może nawet za wiele jak na jeden sezon. Oczywiście, najważniejszą imprezą piłkarską w tym roku będą — jakże by mogło być inaczej! — piłkarskie mistrzostwa świata, rozgrywane co cztery lata. Mistrzostwa te cieszyły się zawsze wielkim zainteresowaniem; że w Europie — to rzecz jasna, ale może jeszcze bardziej w krajach Południowej Ameryki, gdzie piłka nożna osiągnęła szczyty kunsztu piłkarskiego. Kraje europejskie chyba nigdy nie osiągną tego poziomu, tej błyskotliwej techniki, będącej prawdziwą żonglerką artystyczną. Ale o piłce nożnej w wydaniu południowo-amerykańskim raczej przy innej okazji. Tym razem tylko o piłkarskich mistrzostwach świata, które rozegrane będą na wyspie brytyjskiej od 11 do 30 lipca br.

Wszyscy wiemy, że piłka nożna zrodziła się na ziemi angielskiej i że ta mała wyspa jest ojczyzną tego najpopularniejszego na świecie sportu. Anglia może z dumą wspominać swoją przeszłość i nawet szczyścić się tym, co dała światu: wielkie odkrycia, wspaniałe wynalazki, piękną literaturę, wielkiego formatu polityków i żołnierzy... To wszystko prawda. Ale nie można także zapominać i o tym, że Anglia jest również kolebką piłki nożnej, która z tej wyspy w szybkim tempie potoczyła się po całym świecie, najpierw po krajach europejskich (Polski nie wyłączając), a potem po wszystkich zakątkach świata. Dziś piłka nożna stała się także najpopularniejszym sportem w krajach afrykańskich i azjatyckich. W krajach Ameryki Południowej z piłki nożnej zrobiono kuglarstwo i sztukę, którą upajają się wszyscy. Tam przede wszystkim zrobiła zawrotną karierę w porównaniu z którą piłka nożna w Anglii przedstawia się jak kopcuszek czy ubogi krewny, któremu wciąż jeszcze daleko do poziomu, stylu i techniki młodszych braci w piłkarstwie na południowym kontynencie amerykańskim. Ale Anglicy wcale się tym nie martwią ani przejmują, gdyż mimo wszystko mogą z dumą patrzeć na tych minionych sto lat historii piłki nożnej, w której chlubnie odegrali rolę ojców chrzestnych.

Ale zanim dożyjemy lipca, najpierw musimy przeżyć maj a maj w Anglii to największe sensacje piłkarskie, bo najpierw finał o Puchar Anglii a potem

ostatnie mecze o spadek i mistrzostwo I ligi, w której od wielu miesięcy prowadził bezapelacyjnie Liverpool, zdobywając ostatecznie tytuł mistrza. A jeśli już mowa o I lidze, to nie mogę pominąć wielkiej kariery, jaką w tym roku zrobiła londyńska Chelsea, bohater mojej dzielnicy i całej Anglii (z okien moich widać olbrzymie maszty, płonące setkami żarówek, które oświetlają w godzinach wieczornych boisko). Na mecze Chelsea chodził w tym roku cały Londyn. Przed kilku laty Chelsea wydała najlepszego napastnika Anglii, Jimmy Greaves'a (gra obecnie w barwach londyńskiego Tottenhamu). Obecnie Chelsea szczyści się nową gwiazdą na firmamencie piłkarskim, 19-letnim Peter Osgoode'em, zapowiadającym się wspaniale na środku pomocy. Mimo młodego wieku i zaledwie rozpoczętej kariery piłkarskiej włączono go do liczby 40 graczy, z których w maju wybrana została ostateczna reprezentacja Anglii na mistrzostwa świata (bez Osgoode'a).

Jeśli wspominam I ligę angielską, to prawdziwą sensacją jest coraz gorsza forma Tottenhamu, kiedyś najpopularniejszej drużyny angielskiej, która w ostatnich latach przysporzyła wiele sławy angielskiej piłce nożnej. Dziś z dawnego Tottenhamu nie zostało śladu, tak jak nie zostało śladu po największej angielskiej sławie piłkarskiej sprzed i tuż po ostatniej wojnie — londyńskiego Arsenalu. Rozpacz kibiców tego klubu jest tak wielka, że w ostatnich tygodniach po każdym meczu zbierają się przed lokalem klubu i skandując wołają: „Precz z Billy Wright“, a Billy Wright to trener Arsenalu, przed laty najlepszy środkowy pomocnik Anglii, którą reprezentował ponad 100 razy. Wright był istotnie kiedyś doskonałym piłkarzem, dziś jest niewątpliwie bardzo niefortunnym trenerem. Narzucony przez niego system gry defensywnej stał się klęską Arsenalu. Gra defensywna nigdy nie może być zasadą. Jak twierdzą fachowcy, Arsenal winien grać defensywnie tylko i jedynie po to, by z defensywy przejść natychmiast do ofensywy, bo ofensywa jest wciąż jeszcze najlepszą obroną.

Ale przecież miałem pisać o piłkarskich mistrzostwach świata.

Może najpierw nieco historii. Myśl o zorganizowaniu takich mistrzostw zrodziła się w 1920 roku w Antwerpii na kongresie Międzynarodowych Związków Piłkarskich (angielski skrót nazwy tych związków: F.I.F.A., co oznacza Międzynarodową Federację Związków Piłkar-

skich). Pierwszym prezydentem F.I.F.A. był Francuz Jules Rimet, który położył wielkie zasługi dla zorganizowania tych mistrzostw, jakkolwiek pierwsze mistrzostwa świata odbywały się dopiero w 1930 roku. To jego imieniem nazwano słynny złoty puchar, wręczany każdorazowemu mistrzowi świata, ten sam puchar, który, został skradziony w marcu br. w Londynie na wystawie znaczków. Kradzież pucharu była prawdziwą kompromitacją angielskich władz bezpieczeństwa i wywarła przynębiające wrażenie w całym świecie sportowym. Na szczęście puchar został odnaleziony przypadkowo przez psa, gdyż sprawca kradzieży, czując, że pucharu nigdzie nie sprzeda, wołał go komuś podrzucić w ogrodzie. Niewiele mu to pomogło, gdyż rychło wpadł w ręce policji.

Pierwsze mistrzostwa świata odbyły się w Montevideo w 1930 r. (finał: Urugwaj — Argentyna 4:2). Drugie w Rzymie w 1934 r. (finał: Włochy — Czechosłowacja 2:1 po przedłużeniu). Trzecie: w 1938 r. w Paryżu (finał: Włochy — Węgry 4:2). Czwarte w Brazylii w 1950 r. wygrane przez Urugwaj. Wzięta w nich po raz pierwszy udział Anglia! Piąte w Bernie szwajcarskim w 1954 r. (finał: Niemcy zachodnie — Węgry 3:2). Szóste w Sztokholmie w 1958 r. (finał: Brazylia — Szwecja 5:2). Siódme w Santiago w 1962 r. (finał: Brazylia — Czechosłowacja 3:1). Wreszcie mistrzostwa tegoroczne!

Zanim doszło do wyeliminowania szesnastu finalistów, spośród których dwóch wchodzi automatycznie do puli finałowej: ostatni mistrz świata — w tym wypadku Brazylia i gospodarz mistrzostw — Anglia, wszystkie państwa całego świata podzielone zostały na 16 grup, w których rozgrywano spotkania na zasadzie każdy z każdym (mecz i rewanż). Polska znalazła się w grupie 8-mej, razem ze Szwecją, Włochami i Finlandią, zajmując ostatecznie 3-cie miejsce po Włoszech i Szwecją a przed Finlandią, rozegrawszy następujące mecze: Polska — Włochy 0:0 i 1:6; Polska — Szwecja 1:1 i 2:1; Polska — Finlandia 7:0 i 0:2. Tak więc Polska została ponownie w średniej klasie piłkarstwa europejskiego.

W finale spotkają się: Bułgaria, Niemcy zachodnie, Francja, Portugalia, Szwajcaria, Węgry, Rosja Sow., Włochy, Hiszpania, Anglia, Urugwaj, Chile, Argentyna, Brazylia, Meksyk i Północna Korea. Reprezentacje te podzielone zostały na 4 grupy, przy czym zdobywcy

pierwszego i drugiego miejsca w swej grupie wchodzi do ćwierćfinału. **Grupa I:** Anglia, Urugwaj, Francja, Meksyk. Anglicy stawiają — rzecz jasna — na Anglię. **Grupa II:** Niemcy zachodnie, Szwajcaria, Hiszpania i Argentyna. Osobiście stawiam na Argentynę i Niemcy. **Grupa III:** Bułgaria, Węgry, Brazylia i Portugalia. Byłby koniec świata, gdyby Brazylia nie zajęła w tej grupie I miejsca! **Grupa IV:** Rosja Sow., Chile, Północna Korea i Włochy. Chyba nikt nie postawi na Koreę!

Jeszcze kilka ważnych informacji: klasyfikacja w grupach obowiązuje według ilości zdobytych punktów. Przy równości punktów decyduje lepszy stosunek bramek. Przy równym stosunku bramek — losowanie.

W razie remisu w ćwierćfinale i w półfinale sędzia zarządza dwa przedłużenia po 15 minut. Jeśli mimo to nie padnie bramka — decyduje los. W razie remisu w finale — dwa przedłużenia po 15 minut. Jeśli będzie remis, wówczas komitet organizacyjny mistrzostw wyznacza datę ponownego spotkania, a jeśli i drugie spotkanie zakończy się remisem — decyduje także los!

Według wszelkiego prawdopodobieństwa najpoważniejszymi kandydatami na mistrza świata to: Brazylia — przede wszystkim, ogromne złudzenia i ambicje mają Anglicy, nie należy także lekceważyć Włoch, Argentyny i Rosji Sow. Reszta to outsiderzy!

Zainteresowanie mistrzostwami świata jest wszędzie olbrzymie! Nie tylko na wyspie brytyjskiej, gdzie różne spotkania eliminacyjne rozegrane będą — w Londynie na stadionach White City i Wembley, gdzie odbędzie się finał oraz na boiskach w Middlesborough, Sunderland, Everton, Manchester United, Sheffield Wednesday i Aston Villa.

Przedsprzedaż biletów bije wszystkie rekordy. Ogólna wartość biletów wynosi ok. 1.750.000 funtów. Już na początku br. sprzedano biletów na ponad milion funtów. Z samych Niemiec zach. przyjeżdża ponad 4.000 kibiców! Ze Stanów Zjednoczonych 1.000, z Ameryki Południowej ponad 600! Magia piłki nożnej jest ogromna! Autor niniejszych słów z trudem zdobył, i to w ostatniej chwili, bilety na 10 spotkań w Londynie — do finału włącznie, za co tą drogą składa podziękowanie sekretarzowi Związku Polskich Klubów Sportowych w W. Brytanii — Tadeuszowi Krasoniowi, którego „chody“ w angielskim świecie sportowym są godne uznania.

Wypada kończyć, gdyż do tego emocjonującego tematu wrócimy jeszcze w następnym numerze „Orla Białego“.

Chcę jeszcze wspomnieć, że warto przed mistrzostwami świata poczytać nieco angielskiej prasy sportowej, zwłaszcza prasy poświęconej piłkarstwu. Poza miesięcznikiem „Football“ poświęconemu „World Cup’owi“, mamy bardzo interesujące wydanie specjalne p.t.: „Dramas of the World Cup“ z różnymi sensacjami zakulisowymi wszystkich piłkarskich mistrzostw świata (któż tych bajek chętnie nie czyta?), wreszcie doskonały pod każdym względem „World Soccer“ — istna kopalnia wszelkich wiadomości piłkarskich. Kto chce w pełni przeżyć mistrzostwa świata, powinien bezapelacyjnie przeczytać choćby numer kwietniowy! A „World Cup England“, publikacja kolorowa, zatwierdzona przez Związek Piłkarski! z świetnymi zdjęciami najlepszych piłkarzy świata! W czasie samych mistrzostw będzie można nabyć 64-stronicowy program pamiętkowy, zawierający specjalne tabele obejmujące wszystkie 32 mecze, jakie rozegrane będą od 11 do 30 lipca w Zjednoczonym Królestwie. A poza tym będzie można nabyć niezliczoną ilość różnych pamiętek, dla siebie i swoich przyjaciół, od krawatów począwszy a na prześlicznych odznakach skończywszy!

Opóźniam urlop, jestem nawet gotów zrezygnować z tegorocznych zasłużonych wakacji, byle tylko zobaczyć najciekawszą — poza Olimpiadą — imprezę sportową: mistrzostwa piłkarskie świata!

Paweł Hęciak

## CZYTAJ POLSKĄ KSIĄŻKĘ

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

### KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

F R A N C J A

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

## SAMORZUTNE FESTIWALE TEATR DLA DOROSŁYCH:

Marian Hemar wystąpił z kolejną swą sztuką dramatyczną na scenie Teatru Polskiego ZASP, w „Ognisku Polskim“. Jest nią komedia pt. „Pierwiastek z minus jeden czyli Najpiękniejszy dzień w życiu“, której sam tytuł wprowadza widza w wir kontrowersji matematyczno-statystycznych. Program mówi, że Hemar jest autorem pięciu oryginalnych sztuk teatralnych, gdy składnad wiadomo, że było ich chyba 10. Nie chodzi tu o pedantyczną wiadomość, ale o fakt niedoceniany przez polską publiczność teatralną, że Hemar ma już za sobą poważny dorobek dram.-pisarski, godny poznania. Na temat możliwości czy niemożliwości, istnienia czy nieistnienia pierwiastka z minus jeden powiedziano i napisano już tyle rzeczy niebudujących, iż zamiast je prostować i wyjaśniać, co jest raczej zadaniem podręczników szkolnych, wystarczy przypuścić, że autor użył w tytule liczby urojonej, która istnieje, gdy chciał przedstawić rzeczy istniejące w postaci urojonej.

Jak zwykł to czynić już nie raz w swej twórczości, Hemar wychodzi z sytuacji wziętej z najbliższego otoczenia (karciarz, który sprzeniewierza) i posługuje się tym wątkiem, aby zobrazować panoszące się w świecie sprzeczności zła i konieczność walki z nim, w nadziei, że za łaską „strony przeciwnej“, dobro zwycięży. Żona, Krystyna (Dygat, w pełni naturalności interpretacji) dowiaduje się od Felicji, akuszerki (znakomita kreacja aktorska Ireny Brzezińskiej), że będzie miała upragnione od dawna dziecko z ukochanym mężem-bankowcem, Jerzym, (w wykonaniu Witolda Scheibala). W tym dniu, który mógł stać się „najpiękniejszym dniem w życiu“ mąż zwierza się żonie z dokonanego sprzeniewierzenia i rozpoczyna się walka o jego duszę. Rozgrywa się ona poza czasem, gdy wprowadzony do akcji Obcy — diabeł w postaci marynarza (chyba najlepiej odegrana rola w całej karierze Romana Ratschka), świetną dialektyką skłania męża do zaprzędania duszy, pomimo nieugiętej postawy żony. Dopiero interwencja Tomasza, adwokata (udany debiut komediowy Wiesława Skoczylasa) wprowadza nieoczekiwane rozwiązanie.

Sztuka trzyma widza w napięciu, zachowując (w reżyserii Leopolda Kiełanowskiego) swój charakter komediowy, w znaczeniu żartu z głębszym znaczeniem, nieznacznie wykraczając poza klasyczne kanony. Zdawałoby się, że autor chciał nam zastąpić Cwojdzńskiego, a choć mógłby nas obdarzyć super-Mroźkiem, w wirtuozostwie swo-

# ŻYCIE

## KULTURALNE

### POLSKIEGO

### LONDYNU

im poprzestał na trzymaniu się tradycyjnej linii polskiej dramaturgii. Sztuka równie dobrze warta zobaczenia, jak i przeczytania. Bardzo efektowne wnętrza zaprojektował i wykonał Tadeusz Orłowicz.

#### DLA DZIECI I MŁODZIEŻY:

Po trochę kontrowersyjnej sztuce angielskiej, Teatr „Syrena“ wystawił nagrodzoną sztukę Marty Reszczyńskiej-Stypińskiej „O bazyliśku, Szewczyku i burmistrzance“, osnutą na legendzie starej Warszawy. Po przedstawieniu, raczej kamerałnym przysła kolej na widowisko zakrojone na szerszą skalę. Przejrzysta akcja, wyrażona wierszem i przepieczona świetnymi piosenkami (zasługa dr C. Halkiego), w okazałych dekoracjach (F. Matyjaszkiewicza) i pysznych kostiumach (J. Matyjaszkiewiczowej) przy świetnym akompaniamencie (Adeli Kotowskiej) i ożywiona choreografią (J. Jakubówny), szczyt efektywności osiąga w dwóch scenach ostatnich: w podziemiach bazyliśkowych i domu burmistrzowej, jakkolwiek od samego początku widać pomysłów i sprawną reżyserię (Reginy Kowalewskiej).

Głównymi bohaterami tej legendy są Wagabunda, wędrowny śpiewak (do którego odtworzenia Edward Chudzyński miał wszystkie talenty), Jasko szewczyk, który z miłości dla burmistrzanki Małgosi (E. Lohman, która przepotwarza się w urodziwą i wzruszającą Bogusię Kłakównę) uśmierca Bazyliśka. W rezolutnym i pełnym wdzięku wykonaniu Marka Pieczory — Jask zdobył serca wszystkich. Złamał macochą była Barbara Reńska, występująca później, jako Babka Sowa, jowialnym i zabawnym kupcem Łokciem był senior zespołu Ludwik Lawiński, a majstra i majstrową — Cholewów — odtworzyli, para doświadczonych aktorów, Teodozja Lisiewicz i Józef Rymśza-Szymański, który wystąpił również w roli dostojnego wojewody Krakowskiego. Wszystkich 30 postaci nie da się wyliczyć, ale chciałoby się nie pominąć trzech igreów, którzy dali

opis akrobatyczny: I. Ciszewskiego, M. Kołodziejskiego i B. Oleksowicza, słuchaczy Studium Teatralnego ZASP, zarówno jak i dorodnych handlarzy: Łukasz (T. Rybicka, K. Mielżyńska, D. Michniewicz).

Stało się nadto zadość pionierskiej tradycji teatru „Syrena“, który tym razem wykorzystał, bodaj po raz pierwszy na scenie polskiej w pełnym zakresie, efekty farb i materiałów fluoryzujących w 3 odsłonie. Bazyliśzek (M. Kołodziejski), Strach (T. Rybicka) i Upiór (B. Giller) upamiętniły się na długo wszystkim widzom młodocianym i dorosłym, wypełniającym niemal do ostatniego miejsca wielką salę Teatru „New Lyric Hammer-smith“ na pierwszych dwu przedstawieniach. W ściągnięciu tyłu widzów było niewątpliwie wiele zasługi niezamordowanego administratora „Syreny“ Olgi Lisiewiczowej, jak w zorganizowaniu tak wielkiej i skomplikowanej imprezy było dzięki pracy i inicjatywy Zarządu teatru z prezesem Tadeuszem Sulatyckim na czele. Wszystkim dziękowała hucznymi oklaskami wdzięczna widownia, wywołując szczególnie głośno autorkę i projektodawczynię kostiumów.

#### WYSTAWY SZTUKI:

Dobry dziesiątek wystaw, urządzonych w szeroko pojętym okresie wielkanocnym, złożył się na nowy samorządny festiwal sztuki polskiej. Niektórych z nich szalejąca grypa nie pozwoliła naocznie zobaczyć, ale to nie powód, aby je tutaj przemilczeć. Do nich należała wystawa prac Józefa Piwowara w Doctors Restaurant, która odbyła się razem z pokazem prac angielskiego malarza Joe Kusnera. Każdy z wystawiających dał po 16-cie prac. Piwowar jest znanym kolorystą, doświadczonym pedagogiem, wypowiadającym się w szerokiej gamie tematycznej, pojętej realistycznie, czy to będzie natura martwa, czy pejzaż. Była to już 15 wystawa urządzona przez J. T. Osieblę w tej zdawałoby się tak niedawno otwartej polskiej galerii artystycznej. Kolejna wystawa w niej poświęcona była pracom Bogusława Gorgolewskiego i Anny Schulz-Zakrzewskiej, malarki z Polski.

W Barrett Gallery Tadeusz Znicz-Muszynski wystawił ponad dwadzieścia rysunków i gwaszy oraz kilkanaście olei. Była to czwarta jego wystawa indywidualna. Poza tym brał on już udział w licznych wystawach angielskich i zagranicznych, dzięki którym prace jego dostały się do różnych kolekcji prywatnych we Włoszech i Niemczech, jak i w Polsce. W tejże galerii zapowiedziana jest wy-

stawa prac Karoliny Borchard, której niedawno ujawniony talent malarski bardzo interesująco się rozwija.

Swego rodzaju intermezzo plastyczne w łańcuszku wystaw stanowią uroczystość wręczenia przez Feliksa Topolskiego Instytutowi Polskiemu i Muzeum Sikorskiego namalowanego przez siebie w r. 1942 portretu gen. M. Kukieła, który w ramie, ufundowanej przez płk. Stefana Zamoyckiego, włączony został do pamiątek po I Korpusie, którego gen. Kukieł był w Szkocji dowódcą.

Znany z wystaw w Cassel Gallery malarz warszawski Ryszard Zajac miał swoją wystawę w nowo-powstałej galerii „Doric“, założonej przez Anglika ożenionego z Polką. Były wychowanek wydziału architektury na Politechnice Warszawskiej zaczął uprawiać malarstwo na marginesie swej pracy zawodowej jako inżynier budowlany, niemniej wykazuje coraz bardziej pogłębiającą kulturę artystyczną. Obecnie większą część roku spędza na podróżach z rodziną, samochodem z przyczepką po Europie.

W Drian Galleries wystawiał Zbigniew Adamowicz, który pokazał ciekawe impresje pejzażowe oraz wnętrza, napół abstrakcyjnie. Utrzymane są one w ciemnych, głębokich tonacjach, przerywanych nagłymi jasnymi smugami, nadając obrazom polskiego malarza intrygujący charakter. Razem z nim wystawiał geometryczny konstruktywista angielski Rogers.

Ale niewątpliwie do wielkich dni w Drian Gallery należeć będzie otwarcie nowej wystawy Mariana Bohusza -Szyszko. Sale parterowe zatłoczone śmietanką intelektualno-artystyczną Londynu polskiego i angielskiego, z artystą witałym i obdarzającym przybylszów pięknym katalogiem z czterema doskonałymi reprodukcjami kolorowymi jego prac, z których dwie ukazały się już w „Appolonie“. Gościenną gospodynią i promotorką wystawy jest oczywiście Halma Nałęcz, a symboliczny patronat piastuje dziekan mecenatu polskiego amb. E. Raczynski. Niemniej naoczny ogląd w tych warunkach nie na wiele się zda, gdyż za spokojne obejrzenie całości brak warunków. Mimo to można zdać sobie sprawę, iż zebrany tu został wybór 30 chyba najcenniejszych prac, przeważnie z cyklu religijnego Bohusza, który swą wizję malarską doprowadził do perfekcji i zdobywał dla niej powszechne uznanie.

Do galerii Grabowskiego znów zawitał artysta polski o wielkiej oryginalności i już trwałych osiągnięciach. Wojciech Fangor, dawny docent warszawskiej Akademii Sztuk Pięk-

nych, który od kilku lat przebywa stale na Zachodzie, urządzając wystawy w Paryżu, Waszyngtonie czy Londynie i prowadząc jednocześnie działalność pedagogiczną, dał trzydziestkę różnych prac abstrakcyjnych, o bardzo wyraźnych cechach geometrycznych. Wyszukane kombinacje kolorystyczne i niezwykła precyzja rzemiosła malarskiego stawia go w rzędzie czołowych przedstawicieli malarstwa niefigurального. Oparte o motyw koła lub wbudowane w kwadrat kompozycje w swej większości nawiązują do wizji doświadczonej przy oglądaniu zjawisk świetlnych przez mikroskop lub rozżarzonych ciał niebieskich przez teleskop. W niektórych bardzo wypracowanych powierzchniach o charakterze dekoracyjnym, sztuka sąsiaduje z możliwościami zastosowań przemysłowych lub praktycznych.

Całkowitym przeciwieństwem do takiego podejścia do sztuki było założenie zbiorowej wystawy, jaka odbyła się w salach Polskiej YMCA. Była to impreza urzędowa w ramach uroczystości milenijnych przez członków Zrzeszenia Plastyków Polskich w W. Brytanii. pod hasłem „Motywy polskie w plastyce“. Wzięło w niej udział 15 artystów, wystawiając łącznie ok. 40 prac: H. Śliwińska, S. Baran, M. Bohusz-Szyszkowski, D. Głuchowska, B. Gorgolewski, J. Kiliaczycka, J. Małkowska, M. Michałowska, M. Miller, J. Pejsak, J. Piwowar, H. Sukiennicka, H. Wawrzkiwicz, T. Was i S. Witorzeńcowa.

Następną wystawą plastyczną, w Polskiej YMCA, był pokaz z okazji Millennium fotografii dokumentalnych pod hasłem „Dwie Katedry — Poznań i Gniezno“. Zdjęcia nadesłane przez dwóch znanych fotografików krajowych Władysława Ruta i Feliksa Sikorskiego (o czym szerzej piszemy na innych stronach „O.B.“).

#### ZMIANY ORGANIZACYJNE:

Skoro mowa o Polskiej YMCA warto wspomnieć pokrótce o pewnych zmianach organizacyjnych, jakie ostatnio zaszły w „Ognisku Polskiej YMCA w Londynie“. Na walnym zebraniu prezesem wybrany został inż. Wiesław Rago, znany architekt i działacz organizacyjny. Długoletni dotychczasowy prezes mec. A. Kamieniecki zgodnie z utartym zwyczajem przeszedł na stanowisko wiceprezesa. Podobne stanowisko zajął działacz imkarski z młodszego pokolenia mgr. T. Koźlakowski. Skarbnikiem jest p. T. Herchenreder, a członkami: inż. Z. Elżanowski, J. Rybczyk, W. Mrozowski, inż. T. Somkiewicz, inż. M. Makowski, i ex of-

ficio: pp. T. Rokicki oraz dotychczasowy kierownik Klubu B. T. Lesiecki, który został generalnym Sekretarzem Polskiej YMCA w Europie Zachodniej po przejściu dyr. T. Zawadzkiego na emeryturę i wyjeździe do Kanady. W skład komisji rewizyjnej weszli pp.: M. Iwaszkiewicz i J. Zieliński.

Przy sposobności warto wspomnieć, że na konkurs światowy prac plastycznych dzieci i młodzieży, ogłoszony w jednym z poprzednich numerów „Orla Białego“ zaczynają już napływać bardzo interesujące eksponaty.

W wyniku XVIII-go walnego zjazdu Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą, przypadającego w 25-lecie pracy na obczyźnie wybrany został nowy zarząd na następną dwuletnią kadencję, w skład którego weszli: mgr. C. Czaplinski — prezes, mgr. L. Bojczuk, A. Kirnożycki, mgr. S. Maj (delegat na Szkocję), I. Parys-Lewicka, P. Piałucha, S. Pola, M. Sotowicz, M. Szabłowska, Z. Szczepanowska i T. Czochowa, która została też prezesem Koła Londyńskiego.

#### ZJAZD ZASPU:

Tradycyjnym zwyczajem społeczność teatralna skupiona w Związku Artystów Seen Polskich Zagranicą, obejmującym aktorów, reżyserów, autorów dramatycznych innych pracowników scenicznych, miała w Wielkim Tygodniu swój doroczny walny zjazd. Przewodniczył mu S. Zięciakiewicz, w asyście seniora J. Bzowskiego, W. Budzyńskiego i O. Lisiewiczowej, jako sekretarza. Przebieg jego i wyniki zdają się świadczyć o rozpoczęciu się nowego pozytywnego okresu w pracach teatru emigracyjnego. Już ze sprawozdania złożonego przez dr L. Kielanowskiego w imieniu ustępującego zarządu, dowiedzieć się było można nie tylko o powrocie do organizacji Wiktora Budzyńskiego, ale również i o wstąpieniu do ZASP Mariana Hemara, dziwnym zbiegiem rzeczy nie objętego dotychczas polskim życiem organizacyjnym. Wynik pracy scenicznej Teatru Polskiego ZASP wyraził się w okresie od 21 czerwca 1965 r. do 21 marca 1966 r. urządzeniem 93 przedstawień, (które obejrzało 8.861 widzów), z 5 różnych widowisk, w tym uroczystość 200-lecia teatru narodowego. W ich urządzeniu współdziałało 20 członków ZASP.

Mimo trudności piętrzących się przed polskim życiem teatralnym udało się zorganizować nowe studium teatralne, którego kierownikiem jest p. S. Szpiganowicz, wspomagany przez pp.: Z. Godlewską i W. Sikorskiego, i do którego zapisało się kilkunastu słuchaczy. Studium przygotowuje wystawienie „Wesela“ S. Wyspiańskiego. Z niepamięci, w jaką wtrącił ją jeden z po-

przednich zarządów, wydobyta została na światło dzienne sprawa wydania księgi pt. „25 lat Teatru Polskiego na Obczyźnie“, której maszynopis znacznie się rozrósł, obejmując bardzo obszerne materiały. Zagadnienie to przekazane zostało nowemu zarządowi do praktycznego rozwiązania, aby dotychczasowy dorobek teatru emigracyjnego nie poszedł w zapomnienie i pamięć o nim została przekazana następnym pokoleniom.

ZASP przystąpił do Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Delegatem do P.O.S.K. jest p. W. Sikorski. Członkowie ZASP-u biorą nadto czynny udział w przygotowaniach do wielkiej uroczystości milenijnej w White City. Napływają też nowe sztuki autorów emigracyjnych, co pozwala rościć dobre nadzieje na właściwe nadal kształtowanie się repertuaru. Rozpatrywano nadto szereg wewnętrznych spraw organizacyjnych.

Po sprawozdaniu hon. skarbnika J. Smosarskiego, komisja rewizyjna postawiła wnioski o udzielenie absolutarium ustępującemu zarządowi.

W wyniku wyborów jednogłośnie i ponownie wybrany został prezesem dr L. Kielanowski. Nadto do zarządu weszli pp. W. Sikorski, J. Smosarski E. Chudzyński, R. Bogdańska, D. Michniewiczówna, W. Lech-Wojtecka i O. Lisiewiczowa. Skład sądu koleżeńkiego stanowią: J. Bzowski, J. Rymusza-Szymański i M. Lisiewicz. Do komisji rewizyjnej wybrano pp. M. Malidza, B. Czapllickiego, E. Suzin.

Powiernikami majątku ZASP pozostali nadal pp. W. Majewska, W. Sikorski, T. Zablocki i I. Paczoska.

Intensywna praca sceniczna i przygotowania do nowych imprez nie pozwoliły jeszcze Zarządowi na szczególne ukonstytuowanie się. W przygotowaniu jest sztuka Jerzego Przeździeckiego „Garść Piasku“ grana w Polsce.

#### Z ŻYCIA LITERACKIEGO:

Z wydarzeń literackich na zanotowanie zasługuje przyznanie tegorocznej tzw. nagrody akademii „Wiadomości“ w wysokości 500 dolarów ufundowanej przez firmę „Tazab“ znanej powieściopisarce młodszego pokolenia Zofii Romanowiczowej za książkę pt. „Próby i zamiary“, wydanej przez Polską Fundację Kulturalną.

W Londynie bawił podczas Wielkiej Nocy znany poeta Jerzy Braun, brat byłej kierowniczki Teatru Dramatycznego 2-go Korpusu, Jadwigi Domańskiej, obecnie zamieszkałej w Kanadzie. Po dziewięciu latach przebytych w więzieniu Jerzy Braun, poza swą pracą pisarską stał się też jednym z bardzo czynnych polskich działaczy katolickich. Ostatnio był nie tylko w

# Pod własnym dachem...

## KLUB MŁODZIEŻY POLSKIEJ W LONDYNIE

Rzymie, ale również w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych.

Kolejny wieczór dyskusyjny zorganizowany przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Instytucie Polskim poświęcony był zagadnieniu: „Czego żądamy od powieści?” Przewodniczył p. K. Zbyszewski, a dyskusję przeprowadzili pp. T. Lisiewicz, J. Melichar, M. Chmielowiec i M. Cybulski. Wśród najrozmaitszych postulatów stawianych powieści i antypowieści na czoło wysunęło się zagadnienie stosunku powieści do filmu. Poza tym w dyskusji, w której wzięli z sali m.in. pp. W. Guenther, J. Garliński i gen. Z. Bohusz-Szyszko rozpatrywano zagadnienie roli wydawcy, poczytności książki przez mężczyzn i kobiety, oraz zmniejszania się czytelnictwa z powodu telewizji itp.

Redakcja „Kontynentów” swój kwintowy obiad poświęciła dyskusji nad książką Piotra Guzzego pt. „Krótki żywot bohatera pozytywnego” z udziałem autora. Zjednoczenie Polek zaś urządziło wieczór poświęcony twórczości zmarłej ostatnio w Kanadzie poetki Zofii Bohdanowiczowej. Na wieczorze tym zabierały głos pp. Irena Bielatowiczowa, Barbara Reńska, Danuta Michniewicz i Barbara Oziębło, przy czym recytowane były wybrane utwory bardzo popularnej poetki ziemi wileńskiej.

W ramach wykładów publicznych urządzonych przez Instytut Badania Zagadnień Krajowych dr Maria Danilewiczowa mówiła na temat „Literatura piękna i książka”. Jak wiadomo wykłady te składające się na Kurs Wiedzy o Polsce Współczesnej są powielone dla miejscowych i zamiejscowych uczestników kursu.

Wreszcie zanotować należy niezwykle wydarzenie w zakresie polskiego dorobku pisarskiego. Z okazji ukazania się w druku dwutomowego dzieła ks. dr Stanisława Belcha o Pawle Włodkowiczu, Towarzystwo Polsko-Angielskie urządziło specjalny wieczór, na którym przewidziane zostały przemówienia prof. A.C.F. Beales z Uniwersytetu Londyńskiego i prof. Leona Koczego z Glasgow. Impreza ta zorganizowana przez hon. sekretarkę T-wa p. Helenę Marcinek stanowi jeden przyczynek więcej do uroczystości millenijnych. Ostatnio odbyło się walne zebranie Oddziału Londyńskiego tego Towarzystwa, na którym wybrany został nowy zarząd z Mrs. H. Baty jako prezesem i p. J. Zarańskim kierownikiem polskiej sekcji BBC., jako wiceprezesem. Sekretarzem jest p. H. Marcinek, z-cą p. M.M. Ząbkowska, skarbnikiem p.G. R. Linley, a członkami: pp. J. Garlińska, płk. K. Sarnicki i ppłk. Z. Nadratowski.

J. Ostrowski

**A**ż wierzyć się nie chce, iż trzeba było czekać dwadzieścia lat, by spełnić a raczej zrealizować jedno z najważniejszych zadań na emigracji: **stworzenia własnego ośrodka dla dorastającej polskiej młodzieży na emigracji.** Chodzi głównie o młodzież polską w Londynie, bo tu jest jej największe skupienie. Gdyby ośrodek taki powstał był w Londynie przed 20 laty... ileż mógłby spełnić zadań, jak wiele dokonano by dobrej roboty organizacyjnej czy społecznej, z największym pożytkiem dla tej młodzieży, choć pokolenie starsze także zbierałoby pewne owoce. Nie jest zadaniem moim w niniejszym sprawozdaniu z uroczystości otwarcia i poświęcenia nowego lokalu dla młodzieży, jaka odbyła się dnia 30 kwietnia w Londynie, przedstawiać całą historię ogromnie żmudnych starań o zdobycie własnego dachu nad głową. Były to wysiłki wieloletnie. Czasami załamywały się one w obliczu niespodziewanych trudności, to znowu znaleźli się nowi zapaleńcy, którzy podejmowali ponownie trud, by ostatecznie dopiąć swego. Tym pierwszym inicjatorom jak i tym, którzy doprowadzili dzieło do końca, szukając raz po raz nowych współpartnerów, należy się wdzięczność ze strony 16 organizacji młodzieżowych, które korzystając będą z pięknie przebudowanego i wspaniale urządzonego (za cenę blisko 6.000 funtów) lokalu, znakomicie położonego, bo w centrum polskiego życia organizacyjnego (w pobliżu stacji kolejki podziemnej South Kensington).

Wprawdzie na samej uroczystości poświęcenia Lokalu, którego gospodarzem odtąd będzie Polski Ośrodek Młodzieżowy, było więcej przedstawicieli starszego pokolenia aniżeli młodszego, co zwróciło powszechną uwagę, niemniej należy mieć pełną nadzieję, że młodzież, pozostawiona odtąd na własnym gospodarstwie, już w najbliższym czasie stworzy z tego Klubu tętniący życiem ośrodek w którym znajdować będzie nie tylko godziwą rozrywkę, ale także kwitnąć będzie własne, niezależne a przecież polskie życie kulturalne.

Tak więc byliśmy świadkami wydarzenia ważnego, wydarzenia, które budziło powszechne zainteresowanie w emigracyjnym Londynie.

Jak przystało, pierwszym, który zabrał głos, był kapłan a mianowicie ks. inf. **Wł. Staniszewski**, który przed poświęceniem lokalu wygłosił serdeczne przemówienie:

„Z prawdziwą ulgą i radością — mówił Ksiądz Infulat — czytaliśmy nie-

dawno piękny artykuł w jednym z pism emigracyjnych, zatytułowany: „Nareszcie...”. Bo nareszcie po długoletnich dyskusjach pałaca sprawa utworzenia ośrodka młodzieży polskiej przybrała konkretny wyraz. Cieszymy się z tego wszyscy bardzo. Pragnę pogratulować najpierw tym wszystkim, którzy się do powstania tego pięknego ośrodka przyczynili. Pragnę również pogratulować serdecznie młodzieży samej, że nareszcie doczekała się tak pięknego locum. Pragnę również złożyć serdeczne życzenia tej młodzieży polskiej, aby ten ich nowy „parasol” („Pod parasolem” brzmiała nazwa lokalu, którym młodzież dysponowała w ostatnich kilku latach — przyp. p.h.) klubowy odtąd zaczął się rozszerzać i aby zdołano przyciągnąć jak największą liczbę młodzieży polskiej. Oby tylko nie stał się klubem ekskluzywnym — to już jest prośba — gdyż byłoby to ze szkodą dla reszty młodzieży a na pewno ucierpiałaby na tym całość emigracji.

Gospodarze tego nowego Klubu winni się starać, aby ten piękny ośrodek nabył magnetycznej siły przyciągania i wyśrodkowywania. Owszem, niech będzie ośrodkiem wytchnienia i rekreacji a przede wszystkim niechby był przybytkiem naszej prawdziwie polskiej, chrześcijańskiej kultury, któraby stał promieniowała. Niechby tutaj właśnie wszystko cokolwiek w naszym tysiącleciu było pięknego i prawdziwego, świętego i wielkiego — niechby tu się ogniskowało. Niechby się tutaj znalazło jako ziarno siewne dla lepszej, szczęśliwszej przyszłości naszej ojczyzny, tego kraju osiedlenia naszego i całej ludzkości. W tej myśli i zgodnie z wyrażonym życzeniem pogodnym sercem poświęć ten dom i prosić będę Boga o pokój i błogosławieństwo dla tych murów i dla tych wszystkich, którzy w nim przebywać będą“.

Z kolei zabrał głos prezes Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego **prof. R. Wajda**, któremu młodzież w poważnym stopniu zawdzięcza doprowadzenia do końca dzieła rozpoczętego przed wielu laty.

„Znaczenie dzisiejszej uroczystości nie ogranicza się jedynie do samego faktu uzyskania lokalu. Jest ono daleko głębsze i pozwala na wyprowadzenie pewnych wniosków. Jest także dobrą wróżbą na przyszłość. Po raz pierwszy w naszym życiu organizacyjnym na emigracji nastąpiło zbliżenie młodzieży do społeczeństwa starszego i było oparte na zaufaniu i współpracy kół młodzieżowych z organizacjami starszych. Po

raz pierwszy również nastąpiła współpraca trzech organizacji: Polskiego Ośrodka Młodzieżowego, Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego i Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, która doprowadziła do zrealizowania postawionego sobie zadania.

Zjawiska te, naturalne same w sobie, nie były łatwe do zrealizowania w naszym życiu społecznym... oby jednak były zwiastunem dalszych osiągnięć dla dobra ogólnego“.

Podkreśliwszy wielką pomoc z jaką przyszło SPK przez udzielenie bezwzrotnej i bezprocentowej pożyczki na urządzenie Klubu, prof. Wajda zwrócił uwagę na następujące ważne zagadnienie: pozostało już tylko ok. 9 lat po upływie których kończą się dzierżawy, w których znajdują się obecnie różne ośrodki naukowe, społeczne i biblioteki. Należy być na ten moment przygotowanym. Pracuje nad tym Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny. Stworzenie Klubu Młodzieżowego jest tylko małym fragmentem działalności Ośrodka. Dla zrealizowania wielkich planów, którymi objęte być mają wszystkie organizacje, potrzebna jest współpraca wszystkich organizacji społecznych i całego społeczeństwa.

„Oddając lokal Polskiemu Ośrodkowi Młodzieżowemu i 16 organizacjom zrzeszonym w Ośrodku, życzę pomyślnego rozwoju dla dobra sprawy polskiej. Oby lokal ten stał się warsztatem pracy dla naszych następców“.

Prezes Zarządu Głównego SPK Federacja Światowa, gen. K. Ziemiński, w równie serdecznych słowach złożył życzenia Polskiemu Ośrodkowi Młodzieżowemu, wyrażając nadzieję, iż nowopowstały Klub prowadzony będzie w duchu polskim i że myśl o ojczyźnie będzie panowała zawsze w sercach młodzieży, która odtąd spotykać się będzie w tym lokalu.

Ostatnim mówcą był prezes Rady Polskiego Ośrodka Młodzieżowego dr Wiktor Poznański. „Dziękuję mądrym kierownictwu Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego z prof. Wajdą na czele za troskę o przyszłość młodzieży emigracyjnej i za przekazanie nam tego pięknego Klubu, który staje się od dziś naszą siedzibą. Kierownictwu SPK dziękujemy za przekazanie sumy £4.100, co przyczyniło się waleń do wyposażenia i przebudowania tego lokalu. W ten sposób zebrany grosz żołnierza polskiego ze Środkowego Wschodu przy współpracy Junackiej Szkoły Kadetów został w pewnym stopniu zrealizowany...“

Oby obecny Ośrodek — mówił dr Poznański — stał się centralą dla wszystkich organizacji młodzieżowych. Niech się stanie żywotnym i dynamicznym ogniwem w naszym życiu emigra-

cyjnym, zaprawiającym młodzież do pracy organicznej i organizacyjnej na niwie społeczno-kulturalnej. Niech krzewi zamiłowanie do kraju ojczystego, języka, historii, kultury i obyczaju... Zaczęliśmy dobrze nasze millennium a praca nasza niech będzie całkowicie dla dobra Polski i narodu polskiego — tu i tam“.

Ostatnim mówcą był gen. K. Szyszko-Bohusz, który złożył życzenie w imieniu nieobecnego w Londynie gen. W. Andersa. Mówca wyraził nadzieję, by z tego skromnego ośrodka, w którym znalazła schronienie dla swojej działalności młodzież, powstał któregoś dnia wielki ośrodek nauki i sztuki polskiej, w którym skupiliby się ci wszyscy, którzy nie zrezygnowali z obowiązku prowadzenia walki o wolną i niepodległą Polskę.

Po tych przemówieniach odbyła się lampka wina, którą gospodarze podejmowali licznych gości. Tak więc pokolenie starsze oddało w ręce młodzieży z całym zaufaniem wartościowy i pięknie urządzone lokal. Będziemy odtąd z zainteresowaniem śledzić rozwój tego nowego Klubu. Mamy nadzieję, że młodzi, lecz doświadczeni gospodarze lokalu, potrafią stworzyć z niego wielkie ognisko polskiego życia kulturalnego i towarzyskiego.

Paweł Hęcik

## 15-lecie Związku Polskich Ziem Zachodnich

Ruchliwy Związek Polskich Ziem Zachodnich w Londynie urządził dla upamiętnienia 15-tej rocznicy swego istnienia kolację koleżeńską dla swoich członków i sympatyków.

Uroczystość ta odbyła się w Ognisku Polskim w dniu 26 lutego br., gdzie w dużej sali zasiadło do wspólnego stołu ponad 50 osób. Spotkanie zagał mec. Stanisław Krause, który przewodniczył Związkowi od chwili jego założenia. W serdecznych słowach przywitał zebranych, dziękował za przybycie i przypomniał jak to przed 15 laty, po długich pracach przygotowawczych, cztery działające podówczas z osobna organizacje regionalne, a mianowicie: Klub Polskich Ziem Zachodnich, Koło Ślązaków, Koło Ślązaków Cieszyńskich i Koło Pomorzaków, połączyły się w jedną wspólną organizację pod obecną nazwą Związku Polskich Ziem Zachodnich. Organizacja ta skupia dzisiaj członków rozsianskich niemal że we wszystkich ośrodkach emigracyjnych w wolnym świecie.

W dalszej części wieczoru zabrał głos wiceprezes Zarządu mgr. Stefan Kolańczyk, główny organizator imprezy. W swym przemówieniu podkreślił, że Związek jest niejako spadkobiercą zasłużonego Związku Obrony Kresów Zachodnich, założonego w 1921 roku w Poznaniu i przekształconego później w Związek Zachodni z siedzibą w Warszawie. Mówca nakreślił najważniejsze etapy rozwoju Z.P.Z.Z., poświęcając szczególną uwagę wydawnictwom „Przegląd Zachodni“ oraz „Poland and Germany“ i zakończył swoje przemówienie wzniesieniem toastu na cześć Związku.

Jako trzeci zabrał głos wiceprezes Rady Z.P.Z.Z. redaktor Antoni Dargas, który usprawiedliwił na wstępie nieobecność prezesa Rady amb. Edwarda Raczyńskiego, przebywającego w Paryżu. Red. Dargas zwięźle naszkicował aktualną sytuację na odcinku stosunków polsko-niemieckich w świetle ostatnich ważnych wydarzeń takich jak: memoriał Rady Kościołów Ewangelickich w Niemczech, znane pismo episkopatu polskiego do biskupów niemieckich i odpowiedź tych ostatnich na polskie zaproszenie do dialogu. Swe przemówienie zakończył red. Dargas toastem na cześć Rzeczypospolitej.

W sumie wszystkie trzy jasne zwięźle, świetnie opracowane przemówienia, trwały tylko niespełna kwadrans, tak że wieczór nie przerodził się w imprezę typu akademijnego, lecz zachował swój charakter spotkania koleżeńkiego. W końcowej części wieczoru, Kazimierz Majewski, odegrał na fortepianie szereg pieśni ludowych a dr F. Bajorek, cieszyński, opowiedział kilka anegdotek regionalnych w gwarze śląskiej. W miłym nastroju uczestnicy spotkania rozeszli się w późnych godzinach nocnych. W uroczystości powyższej wziął także udział prezes Zjednoczenia Polskiego red. P. Hęcik.

M. P.

## KONKURS HISTORYCZNY

Komitet Uczczenia 80-lecia urodzin gen. M. Kukieła w wykonaniu zeszlenczonej uchwały związanej z obchodem, ogłasza konkurs na nagrodę historyczną im. gen. Mariana Kukieła w wysokości £250.0.0. W ramach tej sumy przewidziane są dwie nagrody: I-a w wysokości £150.0.0 i II-ga — £100.0.0.

Nagrodzona będzie praca historyczna w formie rozprawy lub monografii, opracowana na emigracji, o tematyce polskiej lub związanej z Polską, opublikowana lub w maszynopisie gotowym do druku. Przewidziana jest raczej dla historyków młodszych wiekiem lub stażem naukowo-historycznym bez względu na wiek, których praca na polu badań historycznych jest debiutem.

Szczególnie będą brane pod uwagę prace ukończone lub wydane w okresie od chwili ustanowienia nagrody (15 maja 1965 r.) do niższej podanego terminu zgłoszeń.

Prace na konkurs mogą być składane do Polskiego Towarzystwa Historycznego (20, Princes Gate, London, S.W.7) lub na ręce członków jury, którzy niezależnie od nadesłanych zgłoszeń mogą wysunąć kandydatury z własnej inicjatywy. Termin zgłoszenia prac nie może przekraczać dnia 30 września 1966 roku.

Polskie Towarzystwo Historyczne powołało jury w następującym składzie:

Dr T. Bornholtz, prof. dr T. Komarnicki, mgr R. Oppmanowa, prof. dr H. Paszkiewicz, płk A. Sawczyński, prof. dr P. Skwarczyński.

**SZYBKO I TANIO!**

**Biuletyny, ulotki reklamowe,  
druki jedno- i wielobarwne  
w y k o n u j ą**

**ZAKŁADY GRAFICZNE**

**GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.**

**171, Battersea Church Road,**

**LONDON, S.W.11.**

**Tel. BAT 0879**



# Evelyn Waugh — gorzki humorysta

Śmierć Maughama nie była stratą dla literatury angielskiej; Maugham należał do minionej epoki i dawno zaprzestał pisania. Inaczej ma się sprawa z Evelyn Waugh, zmarłym 10-go kwietnia w wieku lat 62. Był to pisarz w pełni sił twórczych; wielu krytyków uważało jego ostatnie książki za najwyższe osiągnięcia.

Waugh często uważany był za satyryka, co mi się nie wydaje trafne. Satyra jest krytycznym komentarzem na temat obyczajów w danej epoce, wypowiedzianym z punktu widzenia pewnego systemu moralnego; akcja powieści Waugh'a rozgrywa się poza wszelkimi prawami moralnymi. Jego bohaterowie, uchwyceni w bezlitosne tryby współczesnego życia, są zwykle zupełnie nieświadomi istnienia zła i niezdolni do walki z nim. Najmocniejszą nutą, dźwięczącą w tych okrutnych humoreskach, jest głęboki żal za dawno minionym, arystokratycznie uporządkowanym, światem, w którym nikt nie wykraczał poza należne mu społecznie miejsce, a tradycje i obyczaje zachowywane były z nabożną czcią. Ta nuta, tym ciekawsza, że Waugh pochodził z rodziny mieszczańskiej, niejednokrotnie ma niemal absurdalny wydźwięk przez swoją krańcowość, chociaż pozostaje w zupełnej zgodności z przekonaniem autora, który spędził przeważną część swego dojrzałego życia w swoim majątku w hrabstwie Gloucester, z zamiłowaniem odgrywając rolę tradycyjnego angielskiego ziemianina. Waugh był niewątpliwym dziwakiem, ale był w swoim dziwactwie najzupełniej szczerzy, podobnie jak był szczerzy w swoim nawróceniu się na katolicyzm w 1930 r. Zaskakującym dowodem tej niemal żenującej szczerości była dziwna książka, wydana w r. 1957 p.t. „The Ordeal of Gilbert Pinfold“ („Próba Gilberta Pinfolda“), w której pod przejrzystym płaszczykiem fikcyjnego nazwiska bohatera Waugh opisywał swoje własne zaburzenia psychiczne, na szczęście przejściowe. Jest to niewątpliwie jedna z najbardziej szczerzych wypowiedzi osobistych we współczesnej literaturze światowej.

Waugh był mistrzem kunsztu pisarskiego, wkładającym w swoje utwory nieskończenie wiele pracy i dbałości. Nie ma dziś autora, piszącego w języku angielskim, który w tym samym stopniu opanowałby umiejętność pisarską. Ta ogromna dbałość o formę, połączona z niewyczerpaną pomysłowością i cierpim humorem pozwala nam do dziś rozkoszować się nawet jego najwcześniejszymi utworami, malującymi rozbawiony

świat arystokratycznej młodzieży z lat dwudziestych. W miarę upływu czasu Waugh przeobrażał się stopniowo z efektownego, ale powierzchownego humorysty w poważnego, chociaż zawsze zaskakującego śmiałością humorystycznych pomysłów komentatora współczesnego życia, nie cofającego się przed najsilniejszymi efektami dramatycznymi. Ostatnim jego większym utworem powieściowym była znakomita trylogia z czasów ostatniej wojny, wydana obecnie pod wspólnym tytułem „Sword of Honour“ („Szabla honorowa“), pełna przenikliwych spostrzeżeń i tragicznie śmiesznych epizodów. Obecnie wyświetlany w Londynie film „The Loved One“ („Ukochana“ — w tym wypadku jako termin używany w amerykańskim przemyśle pogrzebowym dla określenia zmarłej), oparty na jednej z jego lepszych powieści, jest, niestety, zupełnym wypaczeniem pomysłu i atmosfery książki.

Trudno jest oceniać miejsce żyjącego pisarza w panteonie literatury; jeszcze trudniej jest dopasowywać piedestał do stóp świeżo zmarłego autora. Wydaje mi się jednak, że wśród pisarzy naszej epoki należy przyznać Waughowi jedno z przodujących miejsc. Był autorem o wielkiej oryginalności pomysłu i o niezrównanej technice słowa. Tego rodzaju zalety wytrzymują zazwyczaj doskonale próbę czasu.

S. Wóycicki.

NOWE WYDANIE

głośnej książki

STEFANA KORBOŃSKIEGO

„W IMIENIU  
RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprawie płóciennej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYF“ — 171, Battersea Church Road,  
London, S. W. 11.

Józef Garliński  
„Z I E M I A “

Już jest w sprzedaży nowa książka popularnego autora, który dał się poznać społeczności emigracyjnej dwoma tomami wspomnień z okresu ostatniej wojny, Armii Krajowej i niemieckich więzień i obozów („Dramat i Opatrzność“ i „Matki i żony“).

Cena 12/6

GRYF PUBLICATIONS LTD.

171, Battersea Church Road,  
London, S.W. 11

i we wszystkich kioskach i księgarniach polskich



# GRYF

## P. C. A.

PUBLICATIONS LTD.

### KSIĘGARNIA SPK

POLECA

WYDAWNICTWA

WŁASNE

I WSZYSTKICH

WYDAWCÓW

POLSKICH

★

Kupując polskie książki  
i pisma:

- sprawiasz sobie dużą przyjemność,
- spełniasz obowiązek obywatelski,
- pomagasz autorowi, wydawcy i polskim instytucjom,
- krzewisz najlepiej polskie słowo na emigracji.

★

Polska książka  
w polskim domu

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najwłaściwszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

★

WSZELKIE ZAMÓWIENIA  
POCZTOWE  
ZAŁATWIAMY ODWROTNIE

Adres:

20, Queens Gate Terrace,  
London, S. W. 7.

Tel.: KNI 3500

# I CUD SIĘ STAŁ...

2-gi Baon Grenadierów znany był w wojsku i wśród Szkotów pod nazwą „Batalion Kratkowanych Lwiątek“. Skąd ta nazwa się wzięła? Batalion otrzymał prawo noszenia „Royal tartan“, z którego to wyróżnienia był bardzo dumny. „Kratkowane Lwiątko“ nosiły na beretach wstążkę o barwach „Royal tartan“, a na niej odznakę baonową — dwójkę ze szkockim lwem.

Dość często odwiedzałem Baon w różnych sprawach służbowych. Któregoś dnia przyjechałem do Baonu jak zwykle samochodem. W drodze motor zaczął odmawiać posłuszeństwa; z trudem dowlekliśmy się na miejsce. Motor samochodu poddano natychmiast dokładnym oględzinom i wówczas okazało się, że uszkodzenia nie da się naprawić na poczekaniu. Trzeba było zanocować. Baon stał wówczas w małej mieścinie w północnej Szkocji, w Huntly. O jakiegokolwiek godziwej rozrywce i mowy być nie mogło, oficerowie z konieczności spędzali czas w kasynie, grając w brydża, lub w jakiejś mniej wymyślnej grze, jak na przykład w „dziewiątego wała“.

Znałem wszystkich oficerów w Baonie. Rozglądając się przy stole podczas kolacji zauważyłem jakąś nową twarz.

— Kto to jest? — zapytałem sąsiada.

— Radziwoń, b. wicestarosta wileńsko-trocki. Jest u nas od tygodnia. Przybył z Litwy przez Szwecję.

Wiadomość ta zelektryzowała mnie. Z Litwy przez Szwecję — to coś nowego.

Postanowiłem przeprowadzić z nim obszerniejszą rozmowę, licząc, że od niej się nie uchyli.

Po kolacji porucznik Radziwoń rozsiadł się w fotelu i sięgnął po „Dziennik Żołnierza“. Usadowiłem się obok niego i po wzajemnym przedstawieniu potoczyła się rozmowa.

— Nie gra pan — zagadnąłem.

— W brydża gram słabo, a w tego „dziewiątego wała“ grać nie chce, bo tej gry zupełnie nie znam, a do tego zdaje mi się, że jest to gra zupełnie nie ciekawa.

— Przed chwilą dowiedziałem się, że pan niedawno do nas spłynął. Jak to się stało, że pan znalazł się w Kownie?

— To bardzo krótka historia. Jak wojska sowieckie zajęły Wilno, gdzie pracowałem przez szereg lat, na ucieczkę na zachód było już za późno. Ze względu na bezpieczeństwo własne w Wilnie nie mogłem pozostać no i wy-

brałem Kowno, licząc, że stamtąd jakoś łatwiej się wydostanę. Okazało się, że się grubo pomyliłem. Wprost cudem udało mi się stamtąd wyrwać. Straciłem już nadzieję i byłem już prawie pewny, że odbędę wędrówkę na Syberię. Ale Opatrzność jakoś mnie ustrzegła od tej przymusowej podróży...

— Był to koniec listopada 1939 roku — ciągnął swoje opowiadanie porucznik. — Dał bardzo mroźny wiatr. Podniosłem kołnierz jesionki i szedłem ze spuszczoną głową ulicami Kowna, szedłem bez celu, w głębokiej zadumie, przybity niepowodzeniem, już nie pamiętałem którym z kolei. Wracalem z Królewskiego Konsulatu Szwecji, gdzie od czterech tygodni po pięć godzin dziennie wyczekiwałem na słoce i zimnie na... zmiłowanie Boże — na tranzytową wizę przez Szwecję. Dwukrotnie już mi jej odmówiono, ale pomimo to, po raz trzeci złożyłem podanie wraz z paszportem i dziś właśnie, nawet bez wpuszczenia mnie do wewnątrz, woźny rzucił mi mój paszport i zapowiedział, abym się więcej nie pokazywał, bo mogę się narazić na przykre konsekwencje. Zapowiedział mi również, że wizy nie dostanę.

— Szedłem zmartwiony, bo czułem się jak szczur w pułapce. Jedyna droga z Litwy na zachód wiodła przez Szwecję, ale na tej drodze stanęła zapora nie do przebycia. Taka drobna zdawało by się rzecz — wiza tranzytowa — urosła do rozmiarów olbrzymiego znaczenia, której ja nie byłem w stanie pokonać. Moje przygnębienie było zbyt widoczne na mojej twarzy, bo przechodnie raz wraz zaczęli się za mną oglądać. Co robić? co robić? — powtarzałem sobie w duchu, a smutek i rozpacz kołatały mym sercem. O Boże! cudem chyba wydostanę się z tej matni! No i cud się stał...

— Ktoś nagle dotknął mego ramienia. Odwróciłem się gwałtownie. Przede mną stała siwowłosa staruszka, o twarzy zoranej wiekiem, ale o żywym spojrzeniu i wprost anielskim uśmiechu na ustach.

— Czy pan jest z Polski? — zapytała.

Przytaknąłem głową, nie zdradzając ochoty do rozmowy z nieznanymi mi ludźmi, co zresztą w Kownie w ówczesnych czasach nie było zbyt bezpieczne.

— Oto mój dom. Niech mi pan zrobi przyjemność i wstąpi na chwilę. Może pan głodny? Zaraz zrobię herbatę. Tak

bardzo chciałabym porozmawiać o Wilnie. Jestem Polką, ale tu mam swój dom i żyję w Kownie już od lat. Nazywam się Gimbut. Nazwisko litewskie, ale serce polskie. Szowinizm oddzielił nas od Korony, ale i to minie — szczeniotała życzliwie, ciągnąc mnie za rękę. Zanim zdażyłem dojść do słowa i odmówić, już byłem pod jej dachem.

— Poznałem od razu, że jest pan Polakiem. Był pan taki strasznie smutny, że serce mnie zabolowało i zaczęłam pana. Czy może ma pan jakieś przykrości? Czy nie ma pan gdzie mieszkać? Bez trudu znajdzie dla pana pokój...

Pani Gimbut indagowała mnie nieustrudzenie. Swą bezgraniczną dobrocią zawojowała mnie kompletnie. Opowiedziałem więc jej swoje troski wizowe.

— A to chwala Bogu, że nie poważniejszego. Wiza — to kłopot, ale nie zmartwienie, a na kłopot to się jakoś radę znajdzie. Muszę pomyśleć, jak się do tego kłopotu zabrać. Tymczasem napijmy się herbaty...

Co za życzliwa dusza ze słonecznym usposobieniem i jakaż dobrotliwa naiwność. Osłodziła moją depresję psychiczną swym dobrotliwym świergotem, ale ani na chwilę nie wznieciła nawet iskierki nadziei w mym sercu. Po prostu jakoś nie mogłem uwierzyć, by pani Gimbut mogła mi pomóc.

Herbata wkrótce zjawiała się na stole i niestrudzona staruszka dalej ciągnęła swój dyskurs: „A to zły człowiek, ten szwedzki konsul. Ale dlaczego musisz, kochaneńki, jechać koniecznie przez Szwecję? Ot, na przykład, dlaczego nie przez Finlandię? To jest taki miły kraj, a ludzie otwarci i szczerzy, no i jakże uczynni. Znam dobrze konsula fińskiego, pana Aarnio. Po herbacie pójdziemy do niego po radę. Jestem pewna, że on nam pomoże. On taki uczynny i dobry człowiek. Przed rewolucją mieszkałam z mężem w Wyborgu. Mieliśmy tam domy, które są wydzierżawione i przez konsula fińskiego co miesiąc otrzymuję rentę. Stąd więc znamy się bardzo dobrze...“

Słowo „Finlandia“ otworzyło furtkę w mej skołataną głowę. Serce żywiej zabiło. Pamiętałem z geografii, że Finlandia ma wspólną granicę z Norwegią. A może rzeczywiście będę mógł ominąć Szwecję...

Konsul Aarnio przyjął nas uprzejmie i uważnie wysłuchał mojej historii. Chętnie by mi dał wize, ale, wyjaśnił zaraz, nic mi to nie pomoże. Fińska

granica z Norwegią znajduje się daleko na północy, w rejonie Koła Polarne-go. Laplandia — to kraj bezdroży i bardzo ostrego klimatu i mowy być nie może, abym mógł tamtędy przedostać się do Norwegii. Sam zaofiarowałem się zbadać, dlaczego konsul szwedzki odmawia mi wizy tranzytowej. Przeprowadzona natychmiast rozmowa telefoniczna należycie zorientowała go w sytuacji. Konsul Aarnio wyjaśnił mi krótko: — Szwecja w toczonej wojnie ogłosiła neutralność. Konsul szwedzki nie daje wizy tym, którzy przez Szwecję śpieszą na zachód, by ewentualnie tam zaciągnąć się do wojska. Mój młody wiek w zupełności usprawiedliwia jego odmowną decyzję.

— A czyż na to nie znajdzie pan jakiejś rady, panie konsulu? — wtrąciła pani Gimbut, podczas gdy ja siedziałem milczący, bo rozpacz zaczęła mnie znów ogarniać.

— Rada jest tylko jedna, droga pani — stwierdził kategorycznie konsul Aarnio. — Jeżeli pani przyjaciel dostarczy mi zaświadczenie lekarskie, że jest niezdolny do służby wojskowej, albo że jest chory, to obiecuję pani, że podejmę się osobiście interweniować w jego sprawie u mego szwedzkiego kolegi.

— Naturalnie, że my takie zaświadczenie panu dostarczymy — zapewniła spokojnie pani Gimbut ku mojemu niezmiernemu zdziwieniu. — Chodźmy szukać lekarza — zakomenderowała niestrudzona staruszka.

— Ale jak i gdzie, moja pani? Jestem zdrow jak ryba — powiedziałem do niej na ulicy.

— Kochaneńki, tu nie ma wyboru. Zaświadczenie koniecznie musimy dostać. Znam tu lekarke pochodzenia polskiego. I dziemy do niej... Poszliśmy. Odmówiła.

— Nie martw się, mój drogi. Odwagi. Znam innego lekarza, specjalistę. To bardzo dobry człowiek. Chodźmy do niego.

Doktor Adelson, starszy siwy pan, po krótkiej rekomendacji pani Gimbut, przyjął mnie, obejrzał mój paszport i kazał mi się rozebrać za parawanem.

— Ależ, panie doktorze, ja jestem klient nie pacjent — wyjaśniłem.

— Nie szkodzi. Proszę się rozebrać i położyć na tapczanie.

Pukał z prawej, pukał z lewej strony, słuchał, macał i kręcił głową. Gdy się ubierałem, doktor Adelson zasiadł przy biurku i coś pracowicie pisał na oficjalnym formularzu, potem przyłożył pieczętkę i zapytał czy rozumiem po litewsku. Na moje „nie“ przetłumaczył mi treść pisma, które brzyżało mnie więcej tak: „W dniu dzisiejszym zbadałem pacjenta (nazwisko, imię, numer paszportu) i stwierdziłem po-

czątki gruźlicy. Ognisko w lewym płucu. Pożądane jest intensywne leczenie sanatoryjne albo klimatyczne. Najlepsza jest południowa Francja lub Włochy...“ Doktor Adelson odmówił honorarium i z uśmiechem życzył mi rychłego powrotu do zdrowia.

Moja opatrnościowa opiekunka cierpliwie czekała na mnie; w radosnym nastroju pośpieszyliśmy do Konsulatu Finlandii. Pan Aarnio dotrzymał słowa. Wziął mój paszport i świadectwo lekarskie i pojechał natychmiast do swojego kolegi. Po dwudziestu minutach powrócił i wręczył mi mój paszport z wizą szwedzką.

— Jedź z Bogiem, kochaneńki, moja modlitwa będzie z toba. — Tymi słowami pożegnała staruszka, mój jakże opatrnościowy „Anioł Stróż“, sprawczy „cudu“, którego wcale nie oczekiwałem.

#### TAMARA KAREN

## „PIERWIASTEK Z MINUS JEDEN“

Tytuł ostatniej sztuki Mariana Hemara wystawionej w „Ognisku Polskim“ w Londynie „Pierwiastek z minus jeden“ zadziwił wszystkich. Co to znaczy? Większość zastanawiających się nie wiedziała, część nie chciała przyznać się do takiego braku w edukacji, część udawała, że wie i wymądrzała się w bardzo zawile sposoby. Byli chyba i tacy, którzy wiedzieli, że taka liczba nie istnieje (ja do nich nie należałam, dla mnie pierwiastek z plus dwa byłby takim samym misterium). Tytuł ten zaintrygował a jednocześnie trochę zaniepokoił. Co to będzie za sztuka? Czy bardzo trudna? Czy będzie to wykład jakiejś teorii matematycznej ubrany w sceniczne sytuacje? Czy Hemar pozazdrościł Cwojdziańskiemu sztuk popularnonaukowych?

Możemy uspokoić przyszłych widzów (bo ci dotychczasowi już to wiedzą), że nie jest to sztuka naukowa. Jest to raczej „dreszczowiec“. Dreszczowiec niepozabawiony dna filozoficznego, a można by go nawet nazwać współczesnym moralitetem. A że autorem sztuki jest Hemar, nie dziwne, że ideę swą wyraża w sposób inteligentny, błyskotliwy i cięty. Na tle bardzo prostego konfliktu najwykleszych ludzi, w dialogach iskrzących dowcipem i sygnalnymi powiedzonkami iście po hemarowski czepliwymi, porusza autor odwieczny i nierozwiązalny problem dobra i zła, przemycia pomiędzy szybkimi ripostami niejedną głęboką myśl, niejedną odkrywczą prawdę.

Treści dreszczowca nie należy opowiadać, można więc tylko powiedzieć,

W trzy dni później statkiem „Estonia“ płynąłem nocą z Tallina do Sztokholmu, uwożąc ze sobą dozgonny dług wdzięczności dla pani Gimbut. Ładując rano w Szwecji dowiedziałem się, że tej właśnie nocy Rosja zaatakowała Finlandię. Wojna rozgorzała więc i w Zatoce Fińskiej i droga morską z Tallina do Szwecji przestała istnieć. Przysłowio-owy łut szczęścia tym razem mi dopisał.

Minęło już sporo lat od pamiętnego dla mnie spotkania w Kownie. Wojenna zawierucha, a po wojnie wcielenie Litwy do Rosji Sowieckiej, nie pozwoliły mi na utrzymanie kontaktu z zącną Gimbut, ani na spłacenie chociażby w małej części mego długu wdzięczności, ale jakże często jest ona w mych myślach i wspomnieniach.

Stanisław Błaszczak

że w odróżnieniu od klasycznych utworów tego rodzaju niewiadomą, którą należy rozwiązać, nie jest przysłowio-we „kto to zrobił?“, ale „co robić, aby to, co się stało... odstało się?... Wkraczamy więc tu w dziedzinę niezupełnie realną, a więc autor sięga do świata nadprzyrodzonego — wprowadza postać Obcego. Może to być „istota nieczysta“ przywołana do pomocy w rozwiązaniu konfliktu, może to być zło, które chce zapanować nad dobrem w tej rozgrywce dwóch moralności — męża i żony; a może być i wizją ich zaniepokojonych i zmagających się z trudnym problemem myśli. Może też być i snem, który im się przysnił pomiędzy jednym uderzeniem zegara a drugim, a który od realnego i banalnego „happy endu“ przynosi podkład metafizyczny, wzbogacając go pojedynkiem myśli i przekonań.

Niby to wszystko proste i nie nowe, nawet ten faustowski szatan kuszący i straszący jednocześnie cyrografem oddającym mu duszę w posiadanie, ale... jakżeż to zrećnienie powiązane, jak na przemian bawiące, poruszające, zaskakujące i nigdy nie nudzące. Autor, gdy moralizuje, czyni to z przymrużeniem oka, gdy zaś w pewnych wypowiedziach wyraża pesymizm, z którego mógłby zrodzić się cynizm — rozbija szybko to wrażenie strzałą ironii, skierowaną przeciwko samemu sobie.

Nie ma żadnych wątpliwości, którą z pięciu postaci sztuki autor obdarza największą sympatią (zarażając nią publiczność). Jest nią żona, Krystyna — „dobra, dzielna dziewczyna“. Nie

ma jednak również wątpliwości, że wszystkie swe najmądrzejsze i najzabawniejsze myśli i powiedzonka wkłada w usta Obcego, tego przybysza z diabelskich czeluści. Bawi on i gorszy, pobudza do myślenia i chyba będzie jedyną postacią w tej sztuce, której się nie zapomni. To on jest tym „pierwiastkiem z minus jeden“, tą „urojoną liczbą“, która w matematyce jest koniecznym ogniwem pewnych podstawowych równań, a w życiu tym bodźcem do „dialektyki względności“, koniecznym „do wahań, do pokusy, do wyrzutów sumienia, do zwątpień, do sceptycyzmu, do ironii“. I to on wypowiada owo przepyszne w swym „dorosłym“ sceptycyzmie, „credo“ do którego nie należy się przynawać przed mniej „dorosłymi“ bliźnimi, a które jest przecież z lekka tylko wykrzywionym stosunkiem do omal wszystkich pewników i dogmatów, to maleńkie zdanko, które można przyczepić wszędzie, rozbijając ostrzem satyry wszystkie ustalone prawdy — owo niewinne „to zależy“. „To zależy“ dorosłego wieku, kiedy już nic nie jest ani zupełnie brzydkie, ani dobre ani złe, ani prawdą ani kłamstwem, bo wszystko może być, bo wszystko „zależy“. Bo wszak „zabić jest czasem dobre, czasem złe, czasem to szubienica, czasem Virtuti Militari, ukraść czasem grzech, czasem patriotyzm, skłamać czasem ohyda, czasem zbawienie...“

A dla kontrastu, aby rozbić ten pesymizm i ten sceptycyzm, wyznanie z zupełnie innego wymiaru — na pytanie Krystyny, jak tam jest naprawdę, odpowiedź: „naprawdę jest to w co się wierzy“

Wśród pięciu postaci sztuki cienie i blaski rozłożone są wyraźnymi czarno-białymi plamami. Krystyna Dygat jako żona była naprawdę „dobrą, dzielną dziewczyną“, szczerą, prawdziwą, żywą, a do tego jeszcze śliczną i pełną wdzięku. Witold Schejbal (mąż) był tym, kim chciał go widzieć autor: słabym, tchórzliwym człowiekiem, nie umiejącym nawet w chwili kruszącej katastrofy zdobyć się na gest prawdziwej skruchy, czy prawdziwej rozpacz. Był mały i takim powinien być. Wiesław Skoczylas w roli suchoego i dość bladego mecenasa, potrzebnego w sztuce tylko jako rodzaj „deus ex machina“, do rozwiązania intrygi, nie wiele miał do powiedzenia. A była jednak taka chwila, kiedy mogło się wydawać, że postać ta wcale nie jest tak nieważna, jak to się pozornie wydawało... Charakterystyczna i bardzo zabawna rola akuszerki Felicji w rękach komediowej czy nawet farsowej aktorki bez wątplenia wywoływałyby głośniejsze wybuchy śmiechu. Irena Brzezińska pokazała, że utalentowana ak-

— Jeżeli mama chce wiedzieć — powiedział mój syn Janek — to ten siwy pan, który chodzi na spacer z czarnym kotem na czerwonej smyczy — to Polak.

— Skąd wiesz? — spytałam. Znałam z widzenia starego człowieka, o którym mówił mój syn. Miał olbrzymią grzywę siwych włosów nad czołem i oczy takiej kondensacji błękitu, jaką się rzadko spotyka w anglosaskich twarzach. Codziennie spacerował rażno wraz z kotem po spokojnych uliczkach naszego podmiejskiego osiedla, a gdy kupował prowiant w sklepiku na rogu, kot siadał cierpliwie przed drzwiami i czekał.

— Wiem, bo rozmawiałem z nim



torka dramatyczna artystycznym i drobiazgowo przestudiowanym ujęciem roli może stworzyć typ bardzo komiczny rozweselający, jeśli nie wybuchowo, to ciepło i serdecznie. Ubiór i charakteryzacja — zachwycająco brzydkie! Droga od Ksantypy z „Obrony Sokratesa“ i pięknej pani Patrick z „Kochanego kłamecy“ — daleka.

„Gwoździem“ przedstawienia był jednak Roman Ratschka w roli Obcego. Znalazł on w niej „rolę swego życia“ i trzeba przyznać, że wydobyl z niej wszystkie jej wspaniałe możliwości. Był śmieszny w swym niefortunnym wcieleniu pijanego marynarza i groźny powiewem świata, z którego przybył. Czasem tylko myślę, że może byłby jeszcze bardziej zaskakujący i jeszcze perfidniej zabawny, gdyby do swojego raczej obrzydliwego „eksterieru“ do-czepił głos tego, kim był naprawdę — to znaczy szatańskiego intelektualisty.

N ewątpliwie najtrudniejsze zadanie

## “MRS.

— odpowiedział Janek. Spytałam się jak się ten jego kot nazywa. Odpowiedział mi — niech no tylko mama posłucha: Mój kot nazywa się Mrs. Midnight the Fifth. A to „Fifth“ wymówił chyba jeszcze gorzej od mamy. Więc zaraz domyśliłem się, że jest Polakiem i zagadałem do niego po polsku. Ucieszył się bardzo i zaprosił mnie do siebie na oglądanie znaczków. Ma wszystkie serie polskich znaczków wojennych. Idę do niego w poniedziałek po szkole.

Tak się zaczęła przyjaźń Janka i moja z siwym Polakiem. Na imię miał Adam, nosił kresowe nazwisko, które echem wspomnienia z mojej najpierwszej młodości przyniosło mi zdawna zapomniane obrazy białych koni szwoleżerskich na ulicach Warszawy, gwarne stoliki w kawiarni Europejskiej, niefrasośliwy blichtr warszawskiego życia i chłodny po-blask srebrnych wężyków na kołnierzach oficerskich mundurów. Po-przez mgłę minionych lat przypominałam sobie świątynny profil pana Adama, oglądany niegdyś podczas konkursów hippicznych z trybun w Łazienkowskim Parku. Stał wówczas niedbale oparty o poręcz rządowej łoży, śmiał się do pięknie ubranych kobiet, a jego zaborczy profil na tle bezchmurnego warszawskiego poranka odcinał się od nie-

w stworzeniu tego udanego przedstawienia miał reżyser Leopold Kielanowski. Przejął pracę nad sztuką od autora, który reżyserię rozpoczął sam. To tak, jakby przejął niedokończony utwór od pisarza i kończyć go nie zmieniając intencji i stylu autora, a jednocześnie zachowując swój własny indywidualny wyraz. Kielanowski potrafił zastosować się wiernie do pierwotnego ustawienia się sztuki i wskazówek autora-reżysera, a jednak stworzył przedstawienie o własnym, choć dyskretnie zaznaczonym piętnie. Potrafił nawet przez jakieś delikatne zaakcentowanie jednej sceny pomiędzy Krystyną a Mecenasem wywołać nieoczekiwany wstrząs, sugerujący nowy wymiar sztuki.

Tadeuszowi Orłowiczowi udało się z małej scenki w „Ognisku“ wyczarować przestrzenne i estetyczne wnętrze.

Tamara Karen

# MIDNIGHT''

OPOWIADANIE  
Paula Powileńska

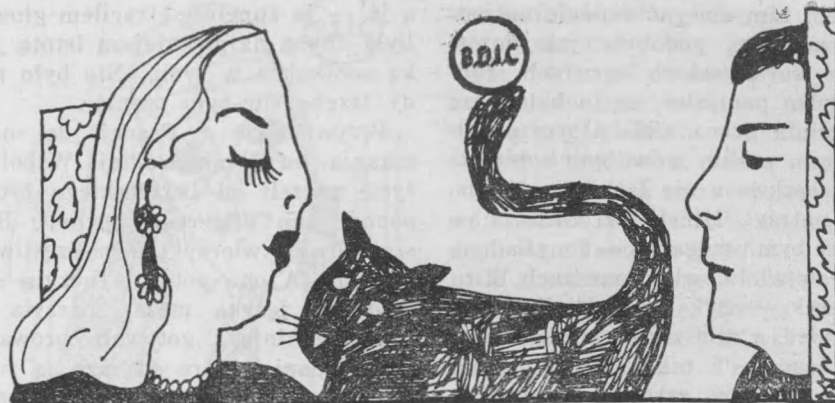
Rysunki  
PIOTRA NICZEWSKIEGO

ba i łażenkowskiej zieleni surowym i pięknym rysunkiem. Teraz z dawnej świetności jego wyniosłej sylwetki zostały tylko ruchy — gwałtowne i niemal chłopięce. Patrzyłam w jego wypłowiałe, stare oczy, ukryte w zmarszczkach i bruzdach wspaniałej niegdyś twarzy — w te oczy ogromnie znużone, a wciąż niespokojne i jakby wyczekujące — i nie stało mi odwagi aby wspominać z nim przeszłość.

Angielscy sąsiedzi i stara Irlandka, u której mieszkał o trzy ulice od naszej nazywali go „The Colonel“. Z czasem dowiedziałam się, że rangi tej dosłużył się w szeregach AK.

Był bardzo samotny. Mówił źle po angielsku. Nie miał nikogo z bliskich ani tu w Londynie, ani tam — w Polsce. Ciężka rana żołądka, rana ze Starówki, odnawiała się często. Gdy źle zrosnięta szrama bolała za mocno na zmianę pogody, przytulał do siebie ciepłe ciało swej czarnej kotki i czekał na zlitowanie Boże, a może na śmierć. Kotka mrucała mu na kolanach, w pokoju zapadał mrok, ból mijał z wolna. Pan Adam prostował sztywne plecy, grzał mleko, wychodził na spacer. Szedł z głową odkrytą pod wiatr, pod londyński kapryśny wiatr wiejący z nad obcego morza. Szedł i roztrącał młodymi krokami opadłe liście.

Z Jankiem zawarł nieśmiałość, ale wierną przyjaźń, która szybko stała się niezbędną dla nich obu. Czasami opowiadał mojemu synowi swoje przeżycia wojenne i powstańcze, legionowe przygody i sagi, ale najczęściej mówił o sprawach którychby próżno było szukać w najlepszych nawet podręcznikach historii: opowiadał o złocie jesiennych liści na trawnikach Łazienek i o tym jak warszawskie dzieci pędziły przed sobą w Ujazdowskim Parku olbrzymie drewniane koła i o tym także jak to warszawscy baloniarze sprzedawali na rogu ulicy Pięknej, tuż koło Parku, kolorowe balony napełnione gazem — najpiękniejsze baloniki świata, które miały swe własne życie



i uciekały het, wysoko pod najpiękniejsze warszawskie niebo aby z góry zza najpiękniejszych warszawskich chmur oglądać to cudowne miasto. Opowiadał także o galarach wiślanych i o łąkach, kwitnących na wiosnę pożarem kaczeńców w dzikim, wspaniałym ogrodzie Agrykoli. A Janek słuchał, oglądał znaczki, gotował herbatę w kuchni i pisał po angielsku pięknie brzmiące oferty na prace z ogłoszeń, prace których pułkownik jednak nigdy nie dostawał.

Często zachodziłam do pana Adama aby wyciągnąć Janka do domu. Przysiadalam na chwilę na stołku, przysłuchiwałam się opowieściom, które dla mnie nie były opowieściami, ale szeregiem obrazów znanych z dzieciństwa; gładziłam czarne futerko Mrs. Midnight i pytałam o zdrowie obojga. Zdrowie szwankowało, Mrs. Midnight znów spodziewała się potomstwa i była nerwowa, ale po szczęśliwym rozwiązaniu Janek miał dostać od pułkownika najpiękniejszego jej syna.

— Ach co ja mam z tymi kotkami — powiedział kiedyś pan Adam — Mińcia urodzi lada dzień. Znów trzeba będzie szukać dobrych rąk dla jej kociaków. Bo przecież nie zgładzę żadnego. Już mi dwa razy po sześcioro rodziła, skaranie boskie. Ale umieścimy jakoś, umieścimy... Ale najgorsze to wie pani to, że ja nie lubię kotów.

Zdumiałam się. — Nie lubi pan kotów? A Mrs. Midnight? I dlaczego mówi pan o niej — Mińcia? Przecież to pana stworzenie nazywa się do prawdy niecodziennie: Mrs. Midnight the Fifth, więc jaka znowu Mińcia?

— Opowiem pani o Mińci — roześmiał się pan Adam. Zmarszczki wkoło jego oczu pogłębiły się jeszcze bardziej, a jego śmiech prze-

bił coś w mojej pamięci i znowu pod starą skórą i białą czupryną dojrzałam wyraźnie jego dawny, drażniący profil.

— Opowiem pani — powtórzył pan Adam — A jak opowiem, to przesztanie pani tu do mnie zachodzić. Bo pani jest po prostu ciekawa co w starym dziwaku siedzi, prawda? Każdego Polak w moim wieku, każdy wojak na Assistance Board zaraz musi opowiedzieć o sobie wszystko od Adama i Ewy. A ja nic. Nikomu. Tylko Mińcia wie wszystko o mnie. Więc panią to korci, no nie?

W rzeczywistości niebardzo interesowały mnie losy ludzi na Assistance Board, chociażby dlatego, że były tak szare, tak smutno do siebie podobne. O przeszłości pana Adama wiedziałam już i tak sporo, chociaż powierzchownie. Właściwie to co w nim interesowało mnie prawdziwie, to był jego stosunek do Mrs. Midnight — jego niezaprzeczalny magnetyzm, którym potrafił ujarzmić zazwyczaj trudne do ujarznienia zwierzę do tego stopnia, iż wydawało się, że kotka rozumie wszystko co się do niej mówi i że jeszcze chwila, a odpowie mu naszym ludzkim językiem. Poza tym niezależność pułkownika imponowała mi. Był stary, schorowany, ale rwał się do pracy, do jakiegokolwiek pracy, jak młody, pełen energii chłopak. A przecież w przedwojennym beztróskim życiu był awanturczym „złotym szwoleżerem“, szafawilą, koniarzem i kobiecierzem, lekkomyślnym i nieprawdopodobnym tworem nieprawdopodobnych skojarzeń historii.

Wie pani — powiedział kiedyś, gdy gdy przyniosłam nieco mięsa dla kotki, bo wiedziałam, że głodził się aby ciężarna Mrs. Midnight miała codziennie porcję wątróbki — Wie pani, prawie, że już miałem pracę, cudowną pracę w ogrodzie miejskim.

Miałem tam zbierać śmiecie na ost-ry szpikulec, podobnie jak dozorc-ycy w warszawskich ogrodach. Pro-szę tylko pomyśleć, co to byłaby za wspaniała praca. Chodziłbym po ol-brzymim parku, mówiłbym sobie, że to Warszawa a nie Londyn, w niebo bym patrzył. Mińcię dla zdrowia po trawce bym przeganiał — i myślałbym sobie o wielu, wielu rzeczach. I tu papierek — cyk — nadziałbym na szpikulec, a tam znów skórę od po-marańczy — i takbym zarabiał na chleb. Ale cóż, szramę na brzuchu wymacali, spytali o prawdziwy wiek i znów nic z tego. Inwalida. A jabym im jeszcze pokazał...

Podrapał pod brodę Mrs. Midnight i dodał: A może oni mają rację? Może naprawdę jestem już do nicze-go? Może naprawdę już nie mam na co czekać? Gdybym umarł, pro-szę zaopiekować się Mińcią. Przy-rzeka mi to pani? Dobrze. To teraz opowiem pani o jej imieniu, czyli wszystkim o sobie.

Z Legionów wrócił do kresowego folwarku ojca. Szybko przepuścił te zaniedbane włości najpierw u Geor-ge'a w Wilnie, potem w Oazie w Warszawie. Z kresowej ziemi uniósł ze sobą na życie w stolicy wspom-nienia rozhukanego dzieciństwa, mi-łość do psów, polowań i koni, oraz patologiczną wprost niechęć do ko-tów. Ta niechęć, jak w każdym ra-sowym, myśliwym, drzemała w nim zapewne dlatego, że w każdym kocim drapieżniku czuł podświadomie nie-prześcignionego konkurenta — naj-doskonalszego myśliwego natury.

Przed samą wojną, już w wieku męskim, który niedarmo w ludowej mądrości przysłów i powiedzeń na-zywa się wiekiem kłęski, jak uczył nas Mickiewicz w swoich „Lirykach Lozańskich“ — zakochał się. W słoń-cu francuskiej Riwiery, na beztros-kiej plaży — dziewczyna Mireille położyła mu się dosłownie cieniem na sercu. Spał w słońcu rozleniwio-ny winem i pogodą, zbudził się od cienia — ktoś sobą przesłonił go-rące słońce. Otworzył oczy: czarno-włosa Venus stała nad nim ocieka-jąc wodą, bezradna, z kolanem roz-krwawionym na żwirze morskiego dna.

— Nie uwierzyłaby mi pani, ale wtedy byłem jeszcze bardzo przys-tojnym mężczyzną. Mireille od razu zakochała się we mnie, nawet pa-trzeć nie chciała na młodszych. No

a ja — ja zupełnie straciłem głowę. Była chyba najpiękniejszą istotą ja-ką spotkałem w życiu. Nie było ra-dy trzeba się było ożenić...

Przywiózł ją z Francji do mie-szkania na Myśliwieckiej. Wspólne życie zaczęli od beztroskiego życia ponad stan oficerskiej pensji. Był szczęśliwy i wierzył, że uszczęśliwia Mireille. A ona potulnie uczyła się trudnego języka męża, marzyła o dużej rodzinie i gotowała prowan-salskie dania, które od razu ją roz-sławiły wśród wymagających war-szawskich gospodyń.

Kiedyś wróciwszy późną nocą za-stał ją czekającą cierpliwie z małym kociakiem na kolanach. Zwierzątko było ranne, brudne, ledwo żywe. Spojrzał na nie z obrzydzeniem. Mireille wiedziała, że nie znosił ko-tów. Odwrócił wzrok od strzępków pokrwawionego futerka, powiedział: „Spróbuj to odratować jak chcesz, ale zostać u nas nie może. Niena-widzę tych fałszywych szkodników.“ Ku jego zdumieniu Mireille uniosła z nad kota swe świetliste oczy, od-powiedziała spokojnie. „Zostanie. Na zwałam ją Madame Minuit, bo taka jest czarna. Nie oddam jej, bo jes-tem bardzo sama w twoim domu. Muszę kogoś kochać, gdy ciebie przy mnie nie ma. A ciebie coraz częściej nie ma przy mnie...“

Opuścił wtedy głowę ze wstydem, zdał sobie sprawę z tego, że to już czwarta noc mijała z kolei, jak wrac-ał nad ranem z wesołych biesiad koleżeńskich.

— Tak ją kochałem, a przecież zdarzyło się nie raz i nie dwa, że ją zdradziłem. I nawet wyrzutów su-mienia nie miałem. Warszawskie pa-nie były takie urocze, takie zabaw-ne, a we mnie krążyła przecież krew moich kresowych przodków, chanów tatarskich. — A zresztą, ponieważ kochała mnie sądziłem, że jest bar-dzo szczęśliwa...

Kotka została. Trudno było jed-nak narzucić jej długie francuskie imię warszawskiej służącej. Zwolna więc „Madame Minuit“ przemieniła się w ustach Marysi do wszystkiego w „Madaminie“, aby wreszcie za ci-chą zgodą Mireille pozostać zwycza-jną polską „Mińcią“.

— Kiedy wojna wybuchła — cią-gnął dalej pan Adam — i kiedy woj-na skończyła się dla nas wszystkich w kilka strasznych tygodni — wró-ciłem spod Kocka na Myśliwiecką.

Szedłem do siebie nocą ukradkiem, zawszony, kulawy i głodny. Wkrada-łem się na schody mego domu jak złodziej aby mnie nikt nie dojrzał. Doszedłem do swoich drzwi, zoba-czyłem, że są otwarte. Mireille cze-kała na progu z kotką u nóg. Mi-reille czekała pachnąca francuską perfumą, ubrana w najlepszą sukien-kę. W jadalnym dojrzałem dwa na-krycia na stole. „Czekałam codzien-nie — powiedziała Mireille — Co-dziennie do rana. Codziennie.“

Kiedy wykąpany, odwieszony, opa-trzony, leżał przy boku Mireille mię-dzy pachnącymi lawendą przeście-radłami, a kotką mruczała śpiewnie na skraju kołdry — Mireille bez-bronnym ruchem przytuliła twarz do jej futerka. Uniosła ciemną głowę z nad grzbietu Madame Minuit i pułkownik dostrzegł, że patrzyły te-raz na niego dwie pary jednakowych oczu. Mireille i Mińcia spoglądały na niego topazowymi, ogromnymi oczami, w których czaiły się niepew-ność i strach. Jego żona patrzyła bezbronnymi oczami kotki w których dojrzał prymitywny strach ściganego zwierzęcia.

— Wróciłeś — powiedziała Mi-reille — Nie zostawiaj mnie. Oni przyjdą po mnie...

Wtedy nie wiedział jeszcze o czym mówiła, co przeczuwała. Dotknął jej stężelej niepokojem twarzy, poglą-dził po czarnych włosach, west-chnął z ulgą i zasnął w ciepłe jej ciało, tuląc obolałe stopy do rozgrza-nego futerka Mińci.

Pan Adam dotknął w zamyśleniu trójkątne pyszczka Mrs. Midnight i mówił dalej.

— Nie zostawiaj mnie — powie-działa wtedy Mireille, a ja ją zos-tawiłem. Musiałem. Od następnego niemal poranka miał się rozpocząć mój nowy los — służba w Organi-zacji. Tam właśnie dosłużyłem się rangi pułkownika. Ale nie o tym chciałem mówić.

Opuścił mieszkanie na Myśliwiec-kiej, opuścił Mireille. Wszedł w sa-mo jądro spraw, które były najważ-niejsze. „Złoty szwoleżer“ wracał po dwudziestoletnim odkomenderowaniu na przeznaczone sobie w historii miejsce. Niedługo po rozstaniu z Mireille nadeszły pierwsze oświad-czenia okupanta, pierwsze łapanki i aresztowania.

— Ja już nigdy nie wróciłem na Myśliwiecką — ciągnął dalej pan

Adam. Po nowym roku Mireille wraz z Mińcią przeniosła się pod Wilanów na Oficerską Sadybę do domu przyjaciół. Tam któregoś wiosennego wieczora spotkałem się z nią po raz ostatni. Następnego dnia wyszła do miasta — i nie wróciła. Szukałem jej przez znajomych, przez Organizację, przez ludzi, którzy mieli nawet styczność z Niemcami na Szucho. Nie wiem czy wywieziono ją, czy zabito, czy schwytano w łapance, czy nawet sama odeszła, bo nie zostałem z nią w godzinie jej śmiertelnej trwogi? Nie wiem, Mireille rozplynęła się na ulicach wojennej Warszawy jak sen. A może naprawdę była jedynie moim niedoświadczonym snem o spokojnym szczęściu?

Dotknął ręką serca, jakby chciał sprawdzić, czy jeszcze bije.

— W kilka tygodni po zniknięciu Mireille — mówił dalej — mieszkańców willi na sadybie także nie stało. Dom opustoszał. Została w nim tylko Mińcia, która nie chciała odejść. Dobrzy sąsiedzi karmili ją, a Mińcia trwała w pustych ścianach, przygotowując się na swe pierwsze macierzyństwo.

Pewnej nocy, gdy wszystkie znane mi adresy zostały spalone, bezdomny i ścigany przypomniałem sobie niezamieszkałą willę pod Wilanowem. Wciąż miałem przy sobie klucz Mireille, który zostawiła rzucony niedbale wraz innym swoim dobytkiem w dniu ostatecznego odejścia. I tak jak niegdyś na Myśliwiecką, późną nocą wkradłem się przez zapuszczony ogród do bezpiecznego domu. W saloniku na dole, który oświetlał księżyc, bo właśnie była pełnia, dojrzałem Mińcę, karmiącą na fotelu swoje świeżo urodzone dzieci. Jej topazowe oczy lśniły niechętnie i wrogo w srebrnej poświacie księżyca, śledziły uporczywie każdy mój ruch, pytały: to ty, a gdzie jest ona? Gdzie ona jest — moja bezbronna siostra, moja opiekunka, moja pani?

Zasnąłem szybko. Zapewne tuż przed samym świtem, bo księżyc zszedł już nisko i w pokoju panował szarawy mrok — obudziło mnie przeraźliwe wołanie Mińci. Zerwałem się na równe nogi. Kotka stała pod drzwiami do ogrodu. Rozpięła przednie łapy na szybie, jej ciemny kształt rysował się wysmukłym krzyżem na zakurzonej szkle. Nie zmieniając pozycji odwróciła ku mnie swój trójkątny łeb i zamiauczała znowu, nie



zamiauczała, jęknęła jak człowiek. Uchyliłem drzwi. Mińcia oderwała się od szyby, skoczyła na fotel schwyciła pierwsze z brzegu kocię i wywlekła je w ogród potykając się pod swym ciężarem. Za chwilę wróciła po drugie. Teraz spieszyła się już bardzo, mocowała z pomiotem, wybiegała i wracała, aż wyniosła wszystkie. Wynosząc ostatnie zatrzymała się w pół drogi i odwróciła ku mnie. I nagle grzbiet jej zjeżył się nienawistnie. Parsknęła z głębi zduszonego gardła, podbiegła do mnie, otarła się najeżonym futrem o moje nogi i zaraz jak strzała skoczyła w noc.

Stałem bez ruchu, zdumiony. Oto Mińcia opuszczała dom, uciekała z ledwo urodzonymi dziećmi z domu, w którym czekała na Mireille — dlaczego Mińcia uciekała?

I nagle zdjął mnie przeraźliwy strach. Takiego strachu nie odczuwałem jeszcze nigdy przedtem, ani nigdy potem. Przecucie śmierci, zdrady, śmiertelnego niebezpieczeństwa chwyciło mnie za gardło, niewypowiedziana groza podpiłyła krwią pod serce, kolana ugięły się pod mną, zacząłem drżeć i szczełkać zębami. Byłem śmiertelnie znużony, nie spałem wiele nocy, byłem ścigany, za wszelką cenę musiałem odpuścić. Ale coś silniejszego od znu-

żenia, jakiś nakaz instynktu, dany mi przez przerażoną kotkę, zmusił mnie do ostatecznego wysiłku. Schwyciłem marynarkę z kanapy i wybiegłem z domu na szarzejącym świtem wilanowską szosę.

W dwadzieścia minut potem obława Gestapo przyjechała moimi śladami do opuszczonej willi.

Od tego czasu zawsze miałem przy sobie czarną kotkę. Druga Mińcia żyła u mojej siostry i wraz z nią zginęła w powstaniu. Trzecia z uwagi na kwarantannę w Anglii — musiała zostać u chłopców pod Anconą. Czwartą przejechał samochód w obozie PKPR. Piąta jest właśnie ta, I ostatnia.

Pan Adam westchnął jakby mu było coraz trudniej mówić. — Znowu mi dokucza moja rana — powiedział — Jakoś coraz wyżej boli, ale to nie. Dokończę pani mojego opowiadania, chociaż właściwie jest już skończone. Widzi pani, człowiek, który jest bardzo samotny wraca w przeszłość i dziwacznie. Sam wierzy i nie wierzy w to co myśli. Sam siebie łudzi, aby tylko wierzyć. Dla mnie te czarne kotki — to wieź z Mireille. Bo właściwie skąd mogę wiedzieć, że ona na pewno nie żyje? Może jakaś czarna kotka doprowadzi mnie kiedyś do niej? Może Mireille wróci do mnie któregoś dnia i zastanie wszystko niezmienione tak jak zastałem ją, kiedy wróciłem do niej z wojny? Może zjawy się niespodziewanie, a ja jej wyjdę naprzeciw z kotką naszej przeszłości kręcącą mi się u nóg — z Madame Minuit, Mrs. Midnight — z Mińcią? Bo ja proszę panj wierzę, że tak jak tamta pierwsza Mińcia ostrzegła mnie przed niebezpieczeństwem śmierci, zamknawszy w swoim zwierzęcym ciałku coś z przywiązania i miłości Mireille — to tak samo inna czarna kotka, inna Madame Minuit doprowadzi mnie w końcu do niej, do mojej żony? Albo jeszcze tu, albo może już tam?

W kilka dni po naszej rozmowie dowiedziałam się od sąsiadek, że Mrs. Midnight urodziła jedyne kocię, bardzo słabiotkie. Trzeba więc było odwiedzić nowy dobytek pana Adama.

Stukałam długo do drzwi Irlandki. Gdy wreszcie otworzyła mi zrozumiałam, że coś się stało.

— My old pet, the colonel is dead — powiedziała płacząc. — The old sweet man is dead.

Znalazła go z rana przy szeroko

otwartym oknie. Zimowe słońce oświetlało mu twarz, leżał skurczony na ziemi, uśmiechał się w swoim ostatnim śnie. Prawą ręką miał wyciągniętą ku oknu jakgdyby w geście powitania. W koszyku przy łóżku pułkownika kwiliło czarne kocię. Mińci nie było.

Pochowaliśmy pana Adama na polskim cmentarzu w cieniu angielskich drzew, niedaleko parku, w którym tak bardzo chciał pracować. Jankowi zapisał album polskich znaczków, a dla mnie zostawił zdawna napisany list, aby po jego śmierci zająć się Mińcią i jej rodziną. Po pogrzebie któryś z sąsiadów powiedział mi, że słyszano jak pułkownik w nocy otwierał okno i mówił po polsku w ciemność ogródka podniesionym i radosnym głosem. Sąsiad przypuszczał, że Mińcia poprosto napraszała się na nocny spacer. Ale dlaczego nie wróciła? Dlaczego opuściła swego pana i swoje słabe, ledwo co urodzone dziecko? I dlaczego pan Adam wypuszczał ją przez okno na piętrze? A może wydało mu się, że go za oknem ktoś wołał?

Mrs. Midnight the Fifth nie odnalaziono nigdy. Pytaliśmy się o nią i w zakładzie oczyszczania miasta. Nie, nie odnalaziono zwłok czarnego kota. Nie, nikt nie widział Mińci.

Jej syna Janek zabrał do nas w dniu śmierci pułkownika. Nocami i dniami karmiliśmy go na zmianę kroplówką. Syn Mińci zdychał kilkanaście razy, dostawał konwulsji, tężał i stygł, ale wyżył. Gdy piszę te słowa przesłiczny czarny kotek ociera mi się przymilnie o łokieć. Nazywa się dwujęzycznie: Mińcio the Last. Ma jeszcze dziecięco niebieskie oczy, o błękitach tak intensywnym jak oczy jego zmarłego pana. Po trudnym niemowlęctwie wyrasta na wspaniałego samca. Na nim więc kończy się saga wszystkich Mesdames Minuits, wiernych towarzyszek samotnych mężczyzn.

## Czy jesteś członkiem SPK?

## PRZEGLĄD POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

(Dokończenie ze str. 8)

ideologii. Do raportu powyższego doszły wiadomości o rzekomych wątpliwościach czerwonych marszałków chińskich, czy systematyczne drażnienie Rosji Sowieckiej i cały konflikt ideologiczny Pekinu z Moskwą wyjdzie na zdrowie chińskiemu komunizmowi i czy nie naraża na bezpieczeństwo Chińskiej Republiki Ludowej, której słabość wojskowa w stosunku do Sowieców pekińskiemu sztabowi najlepiej jest znana.

Z kolei przyszła kolej na intelektualistów i ostatnio prasa partyjna — a właściwie, co charakterystyczne, część jej, krytykująca zarazem inne dzienniki — przystąpiła do ataku na szereg czołowych osobistości tego świata, oskarżając je o „prawicowe odchylenia“ i dopatrując się w nich „grupy antypartyjnej“. Na skutek tych ataków z sensacyjną samokrytyką wystąpił Kuo-Mo-dzo, wiceprzewodniczący stałej komisji parlamentu Chińskiej Republiki Ludowej i jeden z najwybitniejszych pisarzy. Warto zanotować, że był on kiedyś pionierem przyjaźni z Sowiecami i lauretem nagrody Stalina. Czyżby za stał się teraz przedmiotem napaści władz partyjnych, co było by potwierdzeniem przypuszczeń, że „towarzysze“ moskiewscy mają coś niecoś wspólnego z kryzysem chińskiego komunizmu.

Wyjątkowo ostry atak na odchyleńców wszelkiego gatunku i na partię sowiecką w szczególności przypuścił 8 maja sekretarz generalny partii chińskiej (Mao-Tse-tung jest jej przewodniczącym) Teng-Hsiao-Ping. Równocześnie jednak notowane są fakty, które dowodzą, że współdziałanie obu reżymów tak całkowicie nie zamarło, jak wskazywały by chińskie ataki propagandowe. I tak okazuje się, że transporty sowieckiego zaopatrzenia idą chińskimi kolejami do Wietnamu i nawet — według niektórych informacji — zawarty został w początku maja układ moskiewsko-pekiński w tej sprawie, zapewniający im bezpłatny przejazd chińskimi kolejami.

### BREŻNIEW SPOTKA CZU-EN-LAIA?

Ostatnio donoszą też korespondenci zachodni z komunistycznych stolic, że Breżniew wybiera się „prywatnie“ do Bukaresztu w tym właśnie czasie, kiedy z oficjalną wizytą przybyć tam ma premier czerwonych Chin, Czu-En-lai. Nowy sekretarz generalny sowieckiej partii w ideologicznym konflikcie z

Pekinem przyjął, jak wiadomo, linie umiarkowania i na XXIII-im, marcowym kongresie wystąpił nawet z propozycjami ugodowymi w stosunku do partii chińskiej. Linia taka, jak można się domyślać, obliczona jest właśnie na te koła wśród komunistów chińskich, które są przeciwne zaostrzeniu konfliktu z Sowiecami i które stały się ostatnio przedmiotem wzmoczonej nagonki z estrony pekińskiej centrali partyjnej, zwłaszcza sekretarza generalnego Teng-Hsiao-pinga. Premier Czu-En-lai natomiast zaliczany jest do przywódców bardziej umiarkowanych, a w razie choroby czy śmierci Mao-Tse-tunga nabierających tym większego znaczenia.

Toteż, ewentualne spotkanie jego z Breżniewem posiadało by na tym tle poważną wymowę. Wbrew głośniejszej propagandzie sowieckich rzeczoznawców prasy zachodniej, która systematycznie wyolbrzymia konflikt komunistów sowieckich z chińskimi i podkreśla jego rzekomą „nieodwracalność“, ostatnie fakty wskazują na tendencję z obu stron przeciwną. W Moskwie przedstawicielami jej są przywódcy Kremla; w Pekinie, jak dotychczas, opozycja wobec chorego lub przynajmniej absentującego się na publicznej scenie Mao-Tse-tunga. Opozycja ta jednak zdaje się mieć przed sobą przyszłość.

Zdzisław Stahl

## XV Krajowy Walny Zjazd SPK w Holandii

### KOMBATANCI PROTESTUJĄ PRZECIW PRZESŁADOWANIU KOŚCIOŁA

W dniach 16 i 17 kwietnia obradował w Utrechcie XV Krajowy Walny Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Holandii. Obrady, którym kolejno przewodniczyli: mgr. S. Merło z Brukseli, H. Urbański z Amsterdamu i inż. J. Minkiewicz z Vlissingen, odbywały się w lokalu fundacji św. Wincentego przy ulicy „Springweg“ 8.

W zjeździe udział wzięli delegaci i prezesi Kół SPK: „Amsterdam“, „Luttede“, „Ridderkerk“, „Utrecht“, „Venlo“ i „Vlissingen“.

Otwarcia zjazdu dokonał prezes ustępującego zarządu inż. J. Minkiewicz, który po powitaniu uczestników i gościa zjazdu w osobie sekretarza SPK w Belgii, mgr. S. Merły, odczytał depesze i listy z życzeniami nadesłane przez Zarząd Główny Federacji Światowej SPK w Londynie oraz Za-



rzędy krajowe (SPK w WBrytanii, Francji, Belgii, Niemczech, Szwajcarii, Italii, Norwegii, Argentynie, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Australii).

Sprawozdania z rocznej działalności składali: prezes inż. J. Minkiewicz, wice-prezes S. Werner, skarbnik B. Opoliski oraz referent prasowy red. B. Strenk. Poczesne miejsce w działalności SPK w Holandii zajmuje akcja wydawniczo-prasowa, która w miarę upływu lat stale i systematycznie wzrasta i przybiera na znaczeniu. Obejmuje ona m.in.: redagowanie i wydawanie wspólnego organu prasowego SPK w Belgii i Holandii pt. „Kombatant Polski w Beneluxie“, redagowanie i wydawanie czasopisma w języku holenderskim „De Poolse Oudstrijder“, a ponadto publikacje artykułów, sprawozdań i notatek w prasie holenderskiej, belgjskiej i polskiej.

Ze sprawozdań Kół na szczególne podkreślenie zasługują: liczne reprezentacyjne wystąpienia Koła SPK „Amsterdam“ na uroczystościach i obchodach holenderskich, powstanie szkoły przedmiotów ojczystych w Utrechcie oraz długoletnia, wytrwała i owocna w swych skutkach działalność prezesa Koła SPK „Rotterdam“, p. A. Gara w niesieniu pomocy i otaczaniu opieką uchodźców polskich — głównie marynarzy, wybierających wolność w Holandii.

Bezprzykładna kampania niewybrednych szkalowań i oszczerstw, rozpętna w roku obchodów Tysiąclecia Chrześcijaństwa przez warszawski reżim komunistyczny przeciwko ks. Kardynałowi Wyszyńskiemu i polskiemu Episkopatowi oraz odmowa wiz biskupom zagranicznym na wyjazd do Polski w celu wzięcia udziału w uroczystościach Millenniumnych, spotkały się z należytą odprawą w rezolucji uchwalonej przez krajowy zjazd polskich kombatantów w Holandii.

Punktem nieprzewidzianym w porządku obrad było wręczenie przez prezesa SPK, inż. J. Minkiewicza, srebrnej honorowej odznaki SPK zasłużonemu działaczowi Koła „Amsterdam“ p. M. Bielowi.

Prezesem SPK w Holandii na następną dwuletnią kadencję wybrany został ponownie i jednogłośnie inż. J. Minkiewicz z Vlissingen. Zarząd Krajowy wybrany został w składzie: B. Opoliski (Utrecht), red. B. Strenk (Vlissingen), H. Urbański (Amsterdam), S. Werner (Venlo), W. Kziuk (Utrecht) oraz D. Sudnik (Venlo).

Delegatem SPK w Holandii na VIII Światowy Zjazd SPK w Londynie wybrany został red. B. Strenk.

## UCZCZENIE ZASŁUŻONEGO PRACOWNIKA FIRMY ADAMA ROBIŃSKIEGO

B.D.I.C

W „Ognisku Polskim“ w Londynie odbyła się rzadka uroczystość jubileuszowa uczczenia pracy komandora marynarki wojennej, Artura Reymana, długoletniego pracownika znanej firmy hurtowej, Adama Robińskiego.

Podkreślamy, iż była to rzadka uroczystość, albowiem chyba nie często się zdarza, by jakaś firma uczciła swego pracownika, który przez lata całe z nią współpracował, przyczyniając się także swą rzetelną pracą do jej rozwoju. W tym konkretnym wypadku z inicjatywy p. Robińskiego wszyscy pracownicy zostali ubezpieczeni na sumę kilkuset funtów, które wypłaca się z chwilą osiągnięcia wieku emerytalnego. W dodatku składkę ubezpieczeniową opłaca firma, nie potrącając grosza z zarobków swych pracowników. Kmdr. Reyman był pierwszym, który z tego gestu korzystał, gdyż po 10-letniej pracy przeszedł na emeryturę. W związku z tym właśnie odbyła się w „Ognisku“ uroczystość, w której — poza właścicielem i jego małżonką p. Teresą — wzięli udział wszyscy pracownicy firmy oraz przedstawiciele różnych zaprzyjaźnionych

przedsiębiorstw. Zjednoczenie Polskie oraz redakcję „Orla Białego“ reprezentował red. P. Heciak.

Jako pierwszy przemówił dyr. Adam Robiński, podnosząc zasługi odchodzącego pracownika. Z kolei p. Teresa Robińska wręczyła kmdr. Reymanowi kilkusetfuntowy czek na „kupno samochodu“. Przemawiali także — w czasie świetnego bankietu — dr F. Bajorek i K. Majewski — dyrektorzy firmy A. Robiński oraz F. Pawlak, reprezentujący firmę ubezpieczeniową, Z. Plezia — b. kapitan marynarki wojennej i dyr. Kośmider — właściciel firmy Schweizer, który wręczył jubilatowi złotego „Ronsona“.

Bankiet odbywał się w niezwykle miłym nastroju, świadczącym o tym, jak świetnie czują się pracownicy tej znanej powszechnie firmy, wyspecjalizowanej w imporcie artykułów kontynentalnych. Ostatnim mówcą był kmdr Reyman, który z nieukrywaniem wzruszeniem podziękował swoim przełożonym i kolegom za wszystkie dowody życzliwości, przyjaźni i troski. Na pomysłość jubilata goście odśpiewali: „Sto lat!“.

### LUdzie EMIGRACJI

## DOPIAŁ SWEGO — MA DUŻĄ FABRYKĘ

Długa i daleka była droga Zbigniewa Tadeusza Gruszkosia z Dzikowa pod Tarnobrzegiem do własnej fabryki w Bolton. Urodzony nad Sanem, wychowany we Lwowie, gdzie kończy szkołę średnią i uczęszcza do Wyższej Szkoły Handlowej.

Podczas kampanii włoskiej 2 Kor-

pusu jest ciężko ranny w akcji 1 Pułku Ułanów Krechowieckich nad rzeką Chienti. Wyeliminowany z walki leczony prawie dwa lata w szpitalu wojennym w W. Brytanii. Demobilizuje się jako inwalida. Zachowuje jednak zdrową postawę wobec życia.

Już w roku 1948 zakłada własny

ś. † P.

# Dr TADEUSZ BORNHOLTZ

## HISTORYK, PEDAGOG, ŻOŁNIERZ I SZCZERY PRZYJACIEL

zmarł nagle w Londynie, dnia 13 maja 1966 roku  
przeżywszy lat 65.

żegnamy Go z bólem wraz z pokoleniami jego  
wychowanków oraz w imieniu Kolegów i Przyjaciół

REDAKCJA „ORLA BIAŁEGO“

prymitywną maszyną i przy pomocy warsztat. Skromnie, z jedną starą i jednego starca-emeryta rozpoczyna życie wyrobów skórzanych. Nie liczy po wiele godzin wypadnie pracować dziennie. Wie, że podstawa powodzenia to zdobycie dobrych narzędzi pracy. Stopniowo rozszerza warsztat produkcyjny. Po paru latach ma już sporą fabryczkę wyrobów skórzanych i zatrudnia do 60 pracowników. W roku 1964-65 produkował ponad pół miliona toreb na zakupy, teczek i torebek damskich. Kontraktował duże dostawy. Ale to jeszcze nie był szczyt dążeń.

Dopiero w roku 1965 kupuje wielką czteropiętrową fabrykę na przedmieściu Bolton. Modyfikuje gmach. Przenosi tu produkcję zorganizowaną już na sposób nowoczesny, w dużym stopniu zautomatyzowany. Rozwija też we własnym zakresie końcową produkcję prasowania i farbowania skór. Na rynku angielskich wyrobów staje się jednym z poważniejszych producentów.

Na pytanie czemu zawdzięcza swój sukces odpowiada krótko: pracy i uporowi. Nie mogłem się pogodzić z tym, ażeby wojna wyeliminowała mnie z życia, zanim naprawę zacząłem żyć.

Chociaż z zawodu handlowiec przez 17 lat samodzielnej pracy we własnym warsztacie, a następnie fabryce, poznał wszystkie tajniki produkcji. Znajomości handlu i produkcji zawdzięcza szybkie przystosowanie się do potrzeb angielskiego rynku skózanego, a to w konsekwencji zapewniło sukces życiowy. Dziś obok gmachu fabryki „Dean Mill” — T. & P. Leather Industries Ltd. stoi ciemny Mercedes. Tadeusza Gruszkosia stać już na uprawianie sportów morskich. Na wybrzeżu morza Irlandzkiego ma dużą kabinową motorówkę, prawie jacht. Wypadki nad morze urządza sportowym samochodem. Cieszy się, że stać go już i na to, by poważnymi sumami wspomagał polską parafię i lokalny Dom Polski „Orzeł Biały”.

Upór pracy i upór stanowczego postawienia z bogaceniem się świecą jeden jeszcze polski sukces.

## ZNACZENIE WYRAZÓW

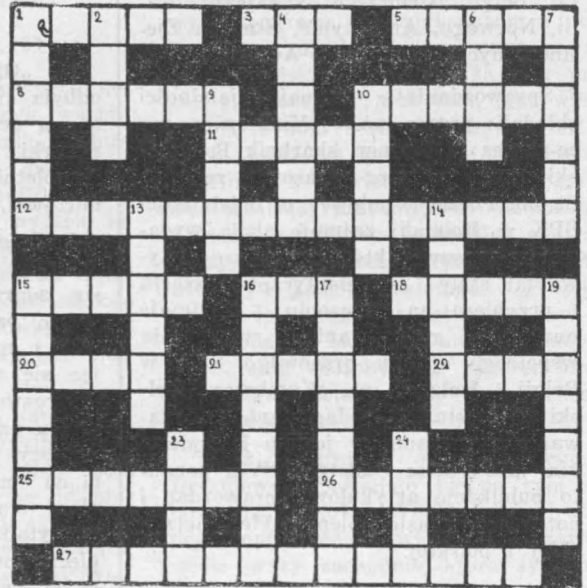
**Poziome:** 1) i 5) jedni mają je ku dobru, inni ku złemu; 3) i 16) postać z „Faraona”; 8) symbol pokuty; 10) uroczyste przyjęcie zwycięskiego wodza w Rzymie, lecz nie triumf (wspak); 11) pierwsze słowo z wróżby z listką akacji (wspak); 12) „Sierota” poślubiona Batoremu (4, 11); 15) w poezji jak śnieg biała; 18) choć nie okulary czasem przez nie patrzysz?; 20) jeśli je kręcisz, to balamucisz (wspak); 21) majaki (wspak); 22) część lampy; 25) napoje; 26) opierający się na doświadczeniu; 27) uporządkowany.

**Pionowe:** 1) ostrze; 2) zdobycze pirackie; 4) bohater, heroiczny; 6) znak; 7) popularny święty (wspak); 9) bohater Żeromskiego (wspak); 10) grupa dbająca o własne interesy (wspak); 13) rodzaj pokoju; 14) należy do stroju Temidy; 15) w tym roku mówimy o nim specjalnie; 16) kierunek związany z Epikurem; 17) inspektor; 19) kochanka królewska; 23) najsilniejszy kolor? 24) bardzo dobry w swoim zawodzie.

**ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 582/66**

**Poziome:** 2) mniemanie, 6) plot, 7) po-

## KRZYŻÓWKA NR 583/66



zór, 8) noga, 9) Marna, 10) i 11) Jan Długosz, 12) wykup (wspak), 14) Wesołych Świąt, 19) i 20) miernota, 21) groza (wspak), 22) swar, 23) rura (wspak), 24) kompan, 25) Trebia.

**Pionowe:** 1) kopiejka, 2) Matylda, 3) mazurek, 4) zgodnie (wspak), 5) Stańczyk, 12) pełnia, 13) wyścig, 14) wniosek, 15) sarkazm, 16) chromy, 17) baranki (wspak), 18) tatarka.

# fraszki

## Niewłaściwa zachęta

*Mierz siły na zamiary!*

*Cóż stąd, gdy już człowiek stary?*

## Postęp

*Ta chwila, moi państwo, jest już bardzo blisko:*

*Przelot — godzina, cztery — dojazd na lotnisko.*

## Ach, ta niepewność!

*„Ten to źle skończy!” — tak mówiła ciotka,*

*Więc ciągle czekam, co mnie jeszcze spotka.*

RAWICZ

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf” — 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka” — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.”, Dakling House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf”, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa”, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

wszystkie wydatki obronne ponosiły Stany Zjednoczone.

Wreszcie, twierdzenie, że przyjaciel więcej wart od slugi — jest chyba słuszne.

Nie myślę bynajmniej przedstawiać gen. de Gaulle jako „nieomylnego“. Obok ogromnych zalet, ma niewątpliwie i jaszkrawe wady. Lecz w danym wypadku, wydaje mi się, Polacy, patrząc na naszą sprawę nie przez amerykańskie czy brytyjskie okulary — powinni uznać, że obrona przez Prezydenta Francji droga jest... godna naśladowania.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Wiktor Junosza-Dąbrowski  
3, rue Gérard de Nerval  
Creil (Oise) France

#### SPRAWOZDANIE Z „AKCJI POMOCY NA KRAJ“ NASZEGO PRZEDSTAWICIELA W PARYŻU

Przedstawicielstwo nasze w Paryżu prowadzi Akcję Pomocy Chorem w Kraju w formie wysyłania lekarstw najbardziej potrzebującym. Akcję tę podtrzymują finansowo jedynie członkowie Oddziałów Wartowniczych we Francji. Na prośbę naszego Przedstawicielstwa, Komisja Rewizyjna Oddziałów Wartowniczych zbadała w dniu 14 marca 1966 całokształt gospodarki finansowej i celowość tej akcji.

W czasie od 24 marca 1965 do 31 grudnia 1965 następujące jednostki wpłaciły:

— 6954 L. S. Ln. Det. ... .. Fr.	271.00
— 4011 L. S. Co. ... .. „	281.77
— 4013 L. S. Co. ... .. „	384.20
— 4085 L. S. Co. ... .. „	286.12
— 4088 L. S. Co. ... .. „	219.50
— 4096 L. S. Plat. ... .. „	260.50
— 4158 L. S. Co. ... .. „	319.00
— 4505 L. S. Plat. ... .. „	73.00
— 4507 L. S. Co. ... .. „	900.00
Inne wpływy (w tym Stow. Polskie Dauphine 50,00) ..	53.59
Saldo na 23 marca 1965 ..	2.740.40

Razem WPLYWY Fr. 5.789.08

#### Wydatki:

Wysłano 118 paczek z lekarstwami do 31. 12. 1965	
z rabatem 20 proc. Fr.	4.515.81
— opłaty pocztowe ... .. „	203.80
— materiały kanc. i maszynopisy ... .. „	193.50

Razem WYDATKI: Fr. 4.913.11

Saldo na 1. I. 1966 Fr. 875.97

przy czym opłacono w styczniu 1966 rachunki za grudzień 1965 za lek w kwocie Fr. 660.04.

Saldo gotówkowe w dniu kontroli 14. 3. 1966 wynosiło Fr. 241.85 a rachunki do opłacenia za lekarstwa Fr. 394.51.

Komisja Rewizyjna stwierdziła, że akcja jest prowadzona bezinteresownie, celowo i bardzo oszczędnie.

Ofiary członków O.W. na tę akcję świadczą o docenianiu jej celowości, jako symbolu realnej łączności ze społeczeństwem w Kraju na niwie charytatywnej. Komisja Rewizyjna składa w imieniu Ofiarnodawców wyrazy podziękowań Przedstawicielstwu „Orzeł Biały/Syrena“ w Paryżu za

# SOS recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski  
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego ..... A. Pomorski

Rp.

Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)

Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)

Persantin 75 dragées (NIEMCY)

Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)

Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)

Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data Poznań 2.1.1966

Dr. Med. K. Kratowski  
Podpis i stempel lekarza

P.S. Doradzam załatwić przez TAZAB w Londynie, bo wykona natychmiast!

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100, EAST 10th ST., N. YORK 3. NY.  
WE FRANCJI: TAZAB, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17., Tel. 429-00-45

jej żmudne i staranne prowadzenie tej akcji, oraz apeluje o jej kontynuowanie, a ze swej strony Przedstawicielstwo „Orzeł Biały/Syrena“ w Paryżu składa Drogim Ofiarnodawcom serdeczne podziękowanie za ich ofiary na ten cel, mimo aktualnie trudnych warunków organizacyjnych w Oddziałach Wartowniczych.

Przedstawicielstwo Orzeł Biały/Syrena  
w Paryżu

DO NASZEGO PRZEDSTAWICIELSTWA  
W PARYŻU WPŁACILI NA LEKARSTWA  
DO KRAJU:

4088 L.S.Co. (kpt. K. Rogoziński) Fr. 56.00,  
4013 L.S.Co. (kpt. J. Jaworski) Fr. 45.24,  
4507 L.S.Co. (mjr. T. Kroja-Kopeć) Fr. 100.00.

Serdecznie dziękujemy!

NA SPRZEDAŻ

Obraz olejny na drzewie

WOJCIECHA  
KOSSAKA

w wymiarach 17½" × 12"

Przedstawia Kirasjera  
14 pułku jazdy  
Księstwa Warszawskiego

Oferty prosimy nadsyłać  
do Wydawnictwa

„ORZEŁ BIAŁY“

# BILETY

KOLEJOWE,  
SAMOLOTOWE,  
OKRĘTOWE

Formalności związane  
ze sprowadzaniem rodzin  
z Kraju  
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

## TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,  
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16  
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2  
39, Corporation Street  
Tel. MID 1526



# GRYF — Księgarnia S.P.K.

GRYF PUBLICATIONS LTD. i P.C.A.  
PUBLICATIONS LTD.

20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W.7. Tel.: KNI 3500

## Mina Tomkiewicz — BOMBY I MYSZY.

Str. 336. Cena: 35/-, \$ 5.00 lub F. 24.00.

„Powieść mieszczańska“, obejmuje schyłkowy okres współzycia Żydów i Polaków. Nie jest to powieść bohatera. W piekle warszawskiego getta toczy się życie normalnych ludzi, toczy się nieublaganie w kierunku śmierci. Trafność obserwacji, szczerłość ekspresji oraz styl czynią z tej książki pomnik literacki.

## Lidia i Adam Ciołkoszowie — ZARYS DZIEJÓW SOCJALIZMU POLSKIEGO. Tom I.

Str. 520 + 65 plansz ilustracyjnych. Cena: 63/-, \$ 9.00 lub F. 40.00.

Na wielką skalę zakrojone dzieło o polskim socjalizmie i polskim ruchu robotniczym od jego początków do czasów Powstania Styczniowego. Autorzy w swej pracy wykorzystali mnóstwo materiałów dokumentarnych, dotychczas nigdzie nieogłoszonych. Nieodzowna książka dla poznania społecznych i politycznych dziejów Polski XIX stulecia, ukazuje w prawdziwym świetle niepodległościowe tendencje polskiego ruchu socjalistycznego.

## Michał Sokolnicki — DZIENNIK ANKARSKI.

Stron 567. Ilustracje i indeks. Cena: 52/6, \$ 7.00 lub F. 42.00.

Senior historyków i dyplomatów polskich, współpracownik Józefa Piłsudskiego sprzed I wojny światowej i w czasie czynu zbrojnego Legionów, autor „Roku 1914“. Druga wojna światowa zastaje go na placówce polskiej ambasady w Ankarze, gdzie przebywa do dziś. Autor pamiętnika przedstawia panoramę wojenną Europy, widzianą oczyma wnikliwego dyplomaty z ważnego i interesującego punktu obserwacyjnego.

## Zygmunt Nowakowski — WIECZORY POD DĘBEM.

Str. XX + 506. W opracowaniu Lidii Ciołkoszowej. Ilustracje Ireny Ludwig.  
Cena: 42/-, \$ 6.00 lub F. 30.00.

Autor — niezrównany felietonista, publicysta, dramaturg i pisarz — występuje tym razem w roli historyka w znakomitym zbiorze gawęd z dziejów Polski. „Wieczory pod dębem“ to opowieść o naszej tysiącletniej przeszłości, wyzwolona ze sztywnych więzów pedanterii, błyskotliwa, potoczna, pełna humoru i przypieczętowana historiozoficzną pointą.

## Kazimierz Klochowicz — CZTERY NIEDOTRZYMANE PAKTY.

Str. około 184. Cena: 21/-, \$ 3.00 lub F. 15.00.

Zwizyły i syntetyczny przegląd czterech paktów, zawartych przez Polskę, celem ratowania pokoju w Europie. Żaden z nich nie został dotrzymany wobec Polski: pakt nieagresji z Sowiecami i Niemcami oraz pakt o wzajemnej pomocy z Francją i Wielką Brytanią. Autor obiektywnie omawia skutki niedotrzymania tych umów nie tylko dla Polski ale i dla całej Europy.

BIBLIOTEKA „KULTURY“  
Tom XCIX

## Wincenty Witos MOJE WSPOMNIENIA

*Dokument pisany ręką wielkiego  
wodza chłopów polskich  
i czołowego męża stanu Polski  
współczesnej*

Trzy tomy o łącznej objętości  
1.325 stron

Cena: £ 6.10.0, F. 87.00, \$ 18.00

W Wielkiej Brytanii do nabycia w  
GRYFIE — 171, Battersea Church  
Road, London, S.W.11, oraz we  
wszystkich księgarniach polskich

## W PRZYGOTOWANIU :

ZBIGNIEW GRABOWSKI

OJCZYŻNA EUROPA

PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

(Wydanie drugie)